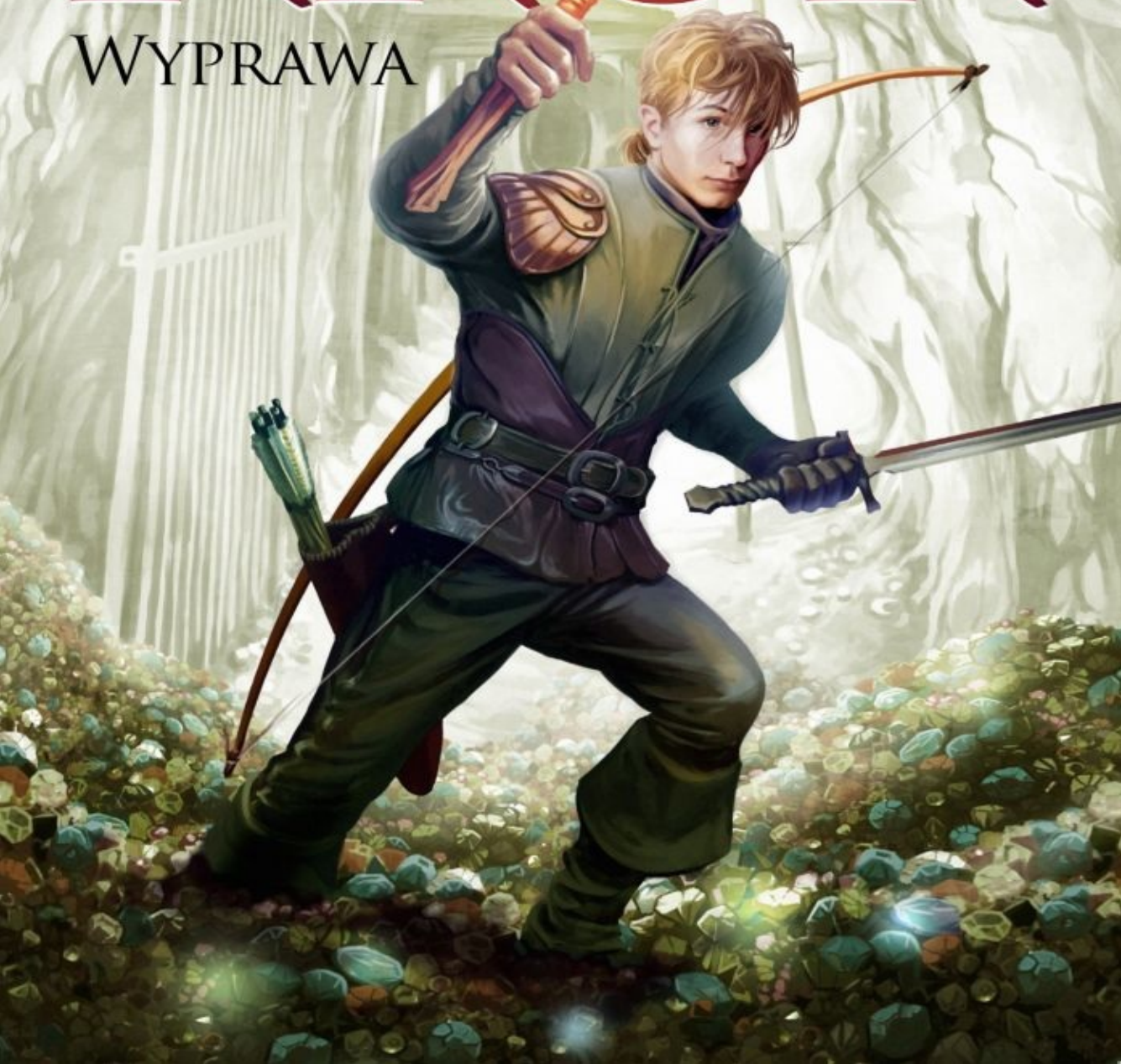


RAFAŁ DĘBSKI

ŻELAZNY KROK

WYPRAWA





RAFAŁ DĘBSKI

ŻELAZNY KROK

KSIĘGA I
WYPRAWA



Spis treści

Rozdział 1 - Syn kowala

Rozdział 2 - Leśna kryjówka

Rozdział 3 - Verilla

Rozdział 4 - Stalowe szpony strachu

Rozdział 5 - Decyzja

Rozdział 6 - Gród

Rozdział 7 - Baron di Rukkon

Rozdział 8 - Kupiecka karawana

Rozdział 9 - Kupiec Harimi

Rozdział 10 - Stolica księstwa

Rozdział 11 - Zaufki Salmary

Rozdział 12 - Mistrz wróżbiarstwa

Rozdział 13 - Pierwszy trop

Rozdział 14 - Grzywa

Rozdział 15 - W drogę!

Rozdział 16 - Kemarski Moczar

Rozdział 17 - Noc na bagnach

Rozdział 18 - Trakt do Migry

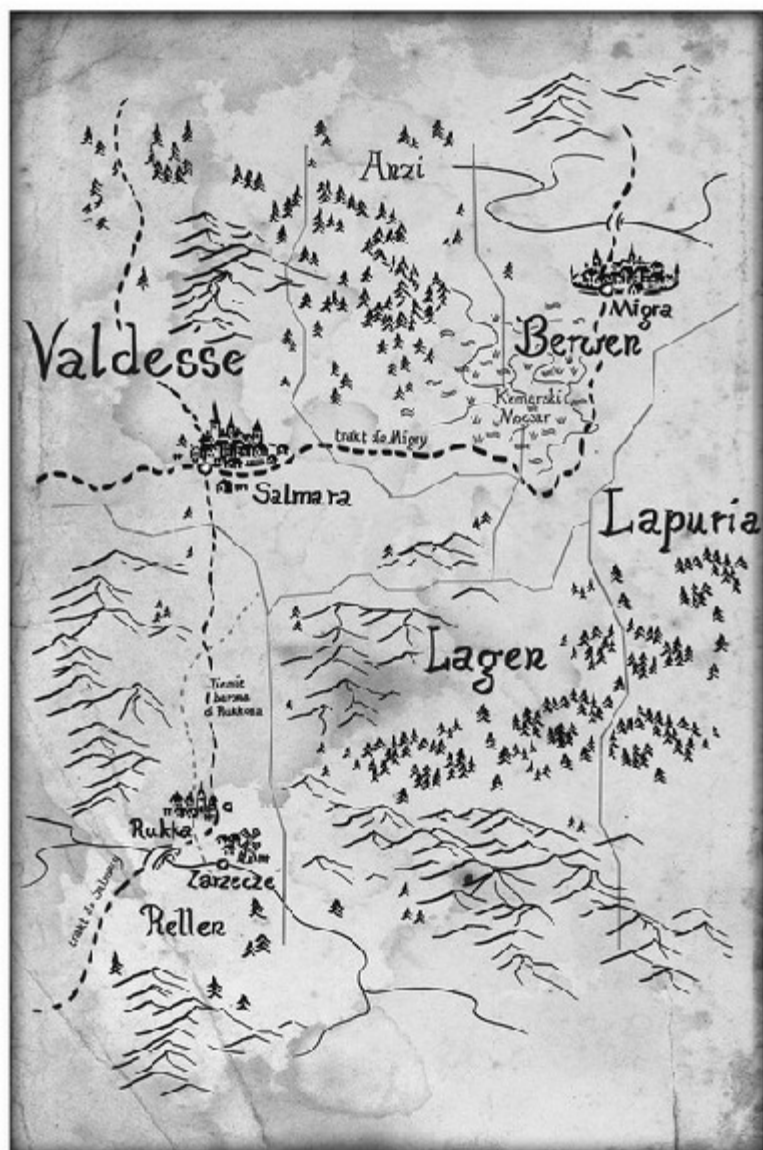
Rozdział 19 - Stolica Berwen i okolice

Rozdział 20 - Świętobliwy Szatri

Rozdział 21 - Próba prawdy

Rozdział 22 - Modlitwa i rad

Rozdział 23 - Wiedza i zdrada



Rozdział 1

Syn kowala



Srebrzysta ryba zatrzepotała na końcu linki. Mocno opalony chłopiec z wielką wprawą chwycił stworzenie, zdjął je z haczyka.

– Za mała jeszcze jesteś, żeby iść do garnka – mruknął, przyglądając się rybce.

Wypuścił ją z powrotem do wody, umieścił na miejscu nową przynętę i znów zarzucił wędkę.

Właściwie mógłby już wracać do domu, gdyż połów tego dnia całkiem się udał. I również dlatego mógł sobie pozwolić na wspaniałomyślność w stosunku do wodnej istoty. Ale nad rzeką zrobiło się tak przyjemnie, że postanowił zostać jeszcze trochę. Ciekawe, czy ojcu równie dobrze udała się wyprawa łowiecka. Nie było go w domu już drugi tydzień, a to mogło oznaczać zarówno powodzenie, jak i coś wręcz przeciwnego. Doświadczony myśliwy zazwyczaj wracał z bogatym łupem, ale zdarzało się również, że przynosił kilka marnych wiewiórczych futerek. Leśne duchy bywają kapryśne, a przynajmniej ojciec tak uważał.

Chłopiec spojrział w błękitne niebo i uśmiechnął się błogo. Koniec wiosny był piękny. Nie jak w zeszłym roku, kiedy o tej porze padało i trzeba było przynosić dużo chrustu, żeby ogrzać dom. Ojciec też łowił niewiele, wracał ponury z wielodniowych wypraw. Ten rok zapowiadał się jednak doskonale.

Rozmyślenia przerwało chłopcu drgnięcie wędki. Bijący czerwienią w oczy spławik z piór karmazynowej gęsi zanurzył się mocno, co świadczyło, że przynętę wzięła większa ryba. Młody człowiek czekał cierpliwie, aż spławik pójdzie jeszcze dwa razy w dół, zanim zaciął z wprawą. Od razu poczuł, że ma do czynienia z prawdziwym wodnym potworem. Wędzisko wygięło się w łuk,

zatrzeszczało, a on sam o mało nie wpadł do rzeki, kiedy stwór szarpnął potężnie.

– Na wszystkich bogów, to mi się trafiło – mruknął chłopiec pod nosem. – Szkoda, że nie ma nikogo do pomocy. No cóż, Evahu, musisz radzić sobie sam, nie oglądać się na innych.

Ostatnie słowa często powtarzał ojciec, kiedy mały Evah potrzebował pomocy przy prostych czynnościach, jak zawiązanie rzemyków kaftana czy zmiana słomy w sienniku.

Ciągnął z całych sił, opuszczając wędzisko ku wodzie, żeby sprężysty kij nie pękł. Ale solidne wędzisko nie poddawało się łatwo. Evah obawiał się tylko o linkę. Wprawdzie została porządnie spleciona z włókien czeremuchy i wzmocniona bardzo mocną jedwabną nicią, ale nikt nie używał tego rodzaju sznurka do połowu dużych stworzeń rzecznych. W tym celu splatano linki z mocniejszych materiałów, a ich końce, narażone na przecięcie ostrymi zębami albo wypustkami rogowymi rzecznych potworów, zbrojono metalem.

„Kto wie, może to sum?” – przemknęło chłopcu przez głowę. Przestraszył się tej myśli. Z sumem rogatym ledwie sobie radzili dorośli mężczyźni, a co dopiero on. Lepiej, żeby to był jednak po prostu duży szczupak.

Ciągnął z całych sił, a właściwie nie tyle już ciągnął, co zaparł się bosymi piętami w trawę niewysokiej skarpy, próbując nie dać się zawlec w nurt poniżej. Widział cielsko tuż pod powierzchnią, raz i drugi płetwa rozchlapała wodę, wreszcie na chwilę wynurzył się wielki łeb, zwieńczony dużymi, ostro zakończonymi wypustkami. A jednak sum rogaty!

W pierwszej chwili Evah miał już wypuścić wędzisko, zrezygnować z walki, lecz zaraz pomyślał, jak wielką by się okrył chwałą, gdyby przytargał do wioski taki łup. Zazdrościliby mu nawet najsprawniejsi poławiacze, a Verilla... Och, jakże by na niego patrzyła. Może z jeszcze większym podziwem niż wtedy, kiedy pomógł ojcu upolować wielkiego dzika, który pustoszył pola rolników nie tylko z ich wsi, lecz także kilku okolicznych.

Tyle że wtedy nie on, lecz ojciec najpierw postrzelił bestię z kuszy, a potem walczył z nią, mając tylko oszczep w dłoni. Zasługą chłopaka było tylko to, że odwracał uwagę dzika, krążąc wokół walczących i rzucając w niego szyszkami. Niemniej, ojciec i tak był pełen uznania dla odwagi chłopca. „Niejeden doświadczony myśliwy nie odważyłby się zbliżyć do tego olbrzyma – mówił potem, gdy cała wioska zgromadziła się przy ognisku, aby wysłuchać opowieści. – A ten smyk podchodził na dwa, trzy kroki i trzaskał w niego, czym popadnie. Gdyby nie to, że dzik musiał się oganiać również od Evaha, sam nie dałbym rady”.

Chłopak uważał, że jest w tym sporo przesady, nie protestował jednak. Spojrzenie jasnych oczu Verilli zdawało się w tamtej chwili bezcenne.

Ryba szarpała się coraz mocniej. W każdej chwili mogło w końcu nie wytrzymać albo napięte w tej chwili do granic drewno wędziska, albo linka. Ależ przydałby się ktoś odważny z ościeniem, kto by wszedł do wody i przebił cielsko suma. Musiałby być przy tym nie tylko odważny ale i wprawny, aby trafić prosto w serce, bo inaczej rybsko mogłoby na niego zaszarżować niczym ranny dzik. Sum rogaty był wyjątkowo niebezpieczny dla nieuwważnych lub zbyt pewnych siebie śmiazków. Niejeden skończył pojedynek z rybą na dnie rzeki, zamiast zasłużyć na podziw współmieszkańców.

Jednak w tej chwili Evah o tym nie myślał. Zapalił się w zmaganiach, strach przed groźnym rzeczonym stworem odszedł gdzieś daleko, zastąpiły go zawziętość i podniecenie walką. Gdyby tak się udało... Gdyby się udało!

Wparł się mocniej stopami w darń, ale sum powoli i nieuchronnie ciągnął go ku krawędzi skarpy. Jeśli nie utrzyma się na brzegu, w wodzie będzie musiał zrezygnować i czym prędzej uciekać. Przebiegło mu przez myśl, żeby wydobyć nóż, paść na ziemię i wbić go w grunt, trzymając wędkę jedną ręką. Widział kiedyś, jak coś podobnego zrobił Sinoh, wytrawny rybak. Jednak Evah zdawał sobie sprawę, że jest zbyt słaby, aby utrzymać suma w ten sposób. Wędzisko natychmiast wyśliznęło się z zaciśniętych palców.

Do krawędzi została nie więcej niż stopa, potem pięćdziesiąt... Zaparł się jeszcze mocniej, pociągnął ostatkiem sił. Miał nadzieję, że rogaty siłacz szarpiący się na haczyku również jest już chociaż odrobinę zmęczony.

I nagle ręce z wędką wystrzeliły do góry, a Evah potoczył się i padł na trawę z takim impetem, że na dłuższą chwilę odebrało mu oddech. Dopiero po kilku uderzeniach serca zrozumiał, że stało się to, czego się właśnie obawiał. Linka nie wytrzymała, nie wiedział tylko na razie, czy pękła, czy uległa zębom suma. W zasadzie było to obojętne. Zdobycz uszła w głębinę.

Na razie leżał tylko, usiłując wciągnąć powietrze głębiej niż tylko do gardła. Wreszcie się udało i zaczął szybko oddychać, wyrzucając z siebie zmęczenie.

– No proszę, Evah, niby dumny syn wielkiego myśliwego Krunnaha, a z rybą nie umie sobie poradzić! Żeby takiego dużego chłopaka byle płotka zmordowała – rozległ się nagle drwiący głos.

Evah od razu go rozpoznał, zerwał się, chociaż ciało zdawało się zaklinać duszę na wszystkie świętości, żeby tego jeszcze nie robić. Domyślił się, że Norog miał niezłą zabawę, obserwując jego zmagania.

– W naszej rzece nie ma płoci – burknął. – Ponoć w dole je łowią, lecz nie tu. To był...

– Jak nie płotka, to okoń – zarechotał Norog. Był starszy od Evaha i wyższy o pół głowy. – Tak czy inaczej, wstyd dać się pokonać takiej drobnicy.

Evah pobladł z oburzenia, zupełnie zapomniał o zmęczeniu.

– Sam widziałeś, że miałem na końcu linki wielkiego suma...

– Widziałem, widziałem – przerwał mu Norog. – Zaraz powiesz, że okoni też się u nas nie łowi. Biorą tylko szczupaki i wielkie sumy.

– Okonie akurat są – odparł Evah. Postanowił, że nie pozwoli się wyprowadzić z równowagi. – Złowiłem dzisiaj trzy. Są też klenie i wiele innych. Muszę ci to tłumaczyć jak małemu dziecku?

Norog wzruszył ramionami.

– Co za różnica? Nie umiesz złapać marnej ryby, a chcesz złowić dziewuchę?

Jak prawie podczas każdej ich rozmowy – o ile utarczki słowne można nazwać rozmową – zeszło na Verillę. Norog uważał, że dziewczyna powinna się spotykać z nim i z nikim innym, ale ona wołała towarzystwo Evaha, choć był od konkurenta młodszy i pochodził z uboższej rodziny. Ojciec Noroga miał kuźnię, a jego stryj dzierżawił młyn o trzy stajania w górę rzeki.

– Nie twoja rzecz – warknął Evah. Bezcelność i pewność siebie Noroga były znane w całej okolicy. Miał się za równego jeśli nie potomstwu starosty, to przynajmniej dzieciom grodzkiego poborcy podatkowego.

– Moja czy nie, lepiej nie łaż więcej pod chatę Verilli. Ja i ojciec mamy co do niej swoje plany.

Evah wzruszył ramionami. Myślałby kto, że taki szczeniak już gada o ożenku. Toż jeszcze mleko miał pod nosem. On sam również, ale nie przychodziły mu do głowy podobne myśli. Wszyscy byli jeszcze dziećmi. Podrośniętymi wprawdzie, ale dziećmi. Norog był wysoki i solidnie zbudowany po ojcu, ale Evah niewiele przecież ustępował mu wzrostem, a gdyby byli w jednym wieku, może byłby nawet wyższy. Ojciec śmiał się, że Evah posturę odziedziczył po dziadku, bo sam myśliwy był niezbyt wysoki, szczupły, niektórzy mówili, że wręcz chudy. Co nie zmieniało faktu, że był też silny, a przy tym zwinny, a do tego służył przez kilka lat w armii pod namiestnikiem królewskim, potrafił więc także walczyć i uczył syna sztuki władania nie tylko mieczem, lecz także włócznią i toporem. I oczywiście łukiem, ale to już z racji profesji, którą się parał po powrocie z wojska.

Właśnie w nagrodę za dobrą służbę otrzymał pozwolenie na polowanie w okolicznych lasach należących do barona Edmira Salazara di Rukkona. Baron nie był zachwycony, ale glejt kancelarii królewskiej to poważny dokument, szczególnie zaopatrzony w pieczęć wszechwładnego namiestnika Oresta de Verry. Rzecz jasna, ojciec nie poznał osobiście wysokiego urzędnika, widział go jedynie z daleka na polu bitwy, z bliska zaś ledwie raz podczas dekorowania medalami za dzielność, ale to właśnie on podpisywał podobne pergaminy.

– Będę chodził, gdzie mi się podoba – oznajmił Evah, patrząc prosto w oczy Noroga. Stali od siebie o kilka kroków. – Nie możesz mi rozkazywać.

– Jak ja cię nie pogonię, zrobi to jej ojciec – ostrzegł syn kowala. – Nie widzi mu się, że zawracasz w głowie dziewczynie. Golce jesteście z tym twoim rodzicem, ot co. Golce i zwyczajne nieroby...

Tego było Evahowi za wiele. Zupełnie zapomniał o zmęczeniu, o sumie i ciężkiej walce. Zanim zdążył pomyśleć, przyskoczył do starszego i silniejszego wyrostka.

A tamten tylko na to czekał. Wiedział, że na kije nie sprosta młodszemu chłopakowi, ale w zwyczajnej bójce do tej pory zawsze brał górę, choć sam przed sobą nie przyznawał się, że sprawiało mu to coraz większą trudność.



Na widok Evaha matka załamała ręce. Miał podbite oko, z nosa musiała mu niedawno lecieć krew, bo widać było czerwone smugi na byle jak zapranej w rzece, potarganej koszuli.

– Skaranie boskie z tobą! – wykrzyknęła. Śpiąca w chuście przewieszanej przez szyję i ramię kobiety dziewczynka poruszyła się niespokojnie. – Znów się biłeś?

Evah nie odpowiedział. Podał matce lniany worek z rybami, a potem poszedł do studni. Nabrał lodowatej wody i wylał zawartość cebrzyka na głowę. Wstrząsnął nim dreszcz od zimna, ale nieco ustało łupanie w lewej skroni i ból w stłuczonym policzku.

– Ojciec będzie zły, jak wróci – wyrzekła matka, która poszła za synem. – Tyle razy mówił, żebyś się z kowalami nie zadawał i nie zadzierał. Mogą nam mocno zaszkodzić, jeśli się rozeźlą.

– Ja mogę się nie zadawać – burknął Evah. – Tylko że to Norog łązi za mną, nie ja za nim.

Matka machnęła ręką i udała się do kuchni gotować polewkę rybną. Tak naprawdę była zadowolona, bo syn przyniósł spory połów, ale nie zamierzała go za to chwalić, skoro wdał się w bójkę mimo tylu ostrzeżeń. A Evah pomyślał, że tym razem kowal może się naprawdę rozeźlić. Bo okazało się, że to syn myśliwego dał porządnie w kość Norogowi. Po raz pierwszy. A ojciec pokonanego przecież zawsze szczyił się, że jego latorośl potrafi stłuc każdego chłopaka w okolicy. Na dodatek, już odchodząc, Norog mocno się odgrażał, że jego rodzic przyjdzie na skargę do domu Evaha.

Nie potrafił się pogodzić z przegraną, która zresztą zaskoczyła młodszego chłopca równie mocno jak jego. Przecież kiedy ostatni raz się poczuli...

Evah potrząsnął głową i zmarszczył brwi.

Zaraz, ostatnim razem Norog przecież wygrał podstępem! W pewnej chwili sypnął przeciwnikowi piaskiem w oczy, a potem bił go gdzie popadnie, bez zastanowienia i litości! Tutaj nie mógł czegoś podobnego zrobić, bo tarzali się

po trawie. Wychodziło na to, że syn myśliwego stawał się mocniejszy od syna kowala. A jeśli nie mocniejszy, to na pewno o wiele sprytniejszy i lepiej sobie radził w walce. Poza tym chwytły, których tak cierpliwie uczył go ojciec, zaczynały dobrze działać i przynosić prawdziwe efekty dopiero teraz, kiedy siły chłopców nieco się wyrównały.

Evah znów zakręcił kołowrotem, wyciągając z ciemnej czeluści studni pełne wiadro. Spojrzał na przejrzystą ciecz i uśmiechnął się. Gdyby woda w rzece była tak kryształowa, widziałby wszystko do samego dna. Żadna ryba nie ukryłaby się przed jego wzrokiem, a dzięki temu mógłby wybranej zarzucić przynętę tuż przed jej pysk. Ale to były tylko marzenia. Ojciec twierdził, że nigdy nie widział przejrzystej rzeki, a już na pewno jeśli była tak duża jak Mrvina. Bo w górskich potokach było inaczej, tam łowiono ryby nawet gołymi rękami.

Evah opryskał twarz wodą, zmoczył rękaw koszuli i przyłożył go do policzka. Poczuł ulgę, ale nie trwała długo, bo materiał zaraz zagrzał się od ciała i trzeba było znów go zwilżyć. Teraz miał chwilę na to, żeby pomyśleć dokładniej o przebiegu walki.

Kiedy rzucił się na Noroga, ten chciał swoim zwyczajem zejść z linii ataku i podciąć przeciwnika. Tym razem jednak się przeliczył. Evah tylko udał szaleńczą szarżę. Wyczekał do ostatniej chwili, kiedy syn kowala zacznie unikać, i podążył z impetem w tę samą stronę. Norog był zaskoczony, kiedy upadł i potoczył się po ziemi. Wstał błyskawicznie, ale Evah już przy nim stał. Nie bił podnoszącego się przeciwnika, nie chciał mu zrobić krzywdy, chociaż Norog nigdy nie zważał na to, że atakuje bezbronny.

„Jeśli kiedyś będziesz musiał walczyć o życie, nie wahaj się – mawiał ojciec. – Gdy rzecz idzie o sprawy najważniejsze, człowiek nader często nie ma wyjścia, musi okazać brutalność. Ale w zwykłej bójce pilnuj przede wszystkim, aby samemu nie doznać niepotrzebnej krzywdy, ale też nie skrzywdzić niepotrzebnie tego drugiego”.

Norog niespodziewanie szczupakiem rzucił się na nogi Evaha, zanim jeszcze całkiem się wyprostował. Syn myśliwego odskoczył w samą porę, tak że jego przeciwnik zarył w trawę. Mógł go teraz kopnąć w brzuch albo w głowę, jednak wciąż się powstrzymywał, pamiętając o naukach ojca. Przyszły dziedzic majątku kowali przetoczył się i poderwał na równe nogi.

– Rozgniotę cię! – warknął.

Evah pokręcił tylko głową. Słyszał to za każdym razem. Owszem, przegrywał pojedynki, jednak przeciwnik nie ważył się nigdy pobić go do nieprzytomności. Nie miał zresztą możliwości, najczęściej sam zmęczony tak bardzo, że ledwie dyszał.

Norog rzucił się z pięściami. To wtedy Evah otrzymał ciosy w policzek i skroń. Ale atak nie trwał długo, bo młodszy chłopak przejął rękę przeciwnika,

wykręcił ją i pchnął Noroga tak mocno, że ten znów upadł i potoczył się po ziemi. Najwyraźniej nie mógł uwierzyć, że nie poradzi sobie z Evahem, ufał w przewagę siły i popełnił kolejny błąd. Spróbował chwycić syna myśliwego wpół, unieść go i rzucić na ziemię. Zamiast tego sam wylądował na trawie z takim impetem, że stracił oddech. Leżał przez chwilę, zanim znów się zerwał i zaszarżował, tym razem próbując pokonać przeciwnika bykiem. Evah tylko wystawił kolano i... właściwie było po walce. Norog z rozbitym nosem legł na ziemi, zaczął się po niej tarzać, trzymając się za twarz i miotając obelgi na młodszego chłopca.

Sypał tak paskudnymi słowami, że przez chwilę Evah miał ochotę jeszcze mu przyłożyć, nie bacząc na to, że tamten leży. Ale w tej chwili dotarło do niego, że oto właśnie zwyciężył w odwiecznej batalii z synem kowala! Norog stracił ochotę do walki, nie zamierzał wstawać. Obawiał się nowego upokorzenia i kolejnej porcji bólu.

Evah uniósł głowę, spojrział na korony drzew i niebo. A potem roześmiał się radośnie.

– Co jesteś taki wesół?

Chłopiec aż podskoczył, kiedy tuż obok rozległ się cichy głos.

– Tato?! – Wyrzeczył oczy na szczupłego, niewysokiego mężczyznę, który opierał się o studnię po drugiej stronie. Miał na sobie zgrzebną koszulę, przy pasie długi myśliwski nóż, przez plecy przerzucony solidny łuk.

– Będziesz musiał mi pomóc – powiedział mężczyzna. – Udało się polowanie jak rzadko, dlatego sam nie dam rady przenieść wszystkiego naraz, a nie chcę chodzić dwa razy, żeby ktoś nie podejrzwał, gdzie chowam zdobycz. Zjemy coś i wieczorem pójdziemy do lasu.

Przyjrzał się uważnie synowi, zmarszczył brwi.

– Znów biłeś się z kowalukiem? – spytał.

Evah pokiwał tylko głową.

– I znów przegrałeś? – Ojciec zlustrował sylwetkę syna, popatrzył mu w oczy. – O nie, po oczach widzę, że wygrałeś. I nie jesteś taki sponiewierany jak zazwyczaj.

Evah ponownie przytaknął bez słowa.

– To świetnie, synu. Kowal pewnie będzie wściekły i wymyśli coś, żeby nam dopiec, ale to doskonale.

– Mama nie jest taka zadowolona – mruknął Evah.

Myśliwy roześmiał się.

– Martwi się o ciebie, to rozumiałe. Ale dla mnie to ważny dzień. Skoro potrafiłeś wlać temu pniakowi, to znaczy, że poradzisz sobie w życiu. Oby tylko duma cię zbyt nie rozděła. Nie ma nic gorszego dla wojownika i łowcy, niż zanadto uwierzyć we własne siły.

Dotknął rozbitego policzka syna.

– To również nauczka. Jeśli podejmujesz walkę, musisz być przygotowany, że sam solidnie dostaniesz. Zapłaciłeś cenę za pokonanie Noroga. Twoje obrażenia nie są jego zwycięstwem, ale twoją stratą. Zapamiętaj tę chwilę na zawsze. Nieraz udało mi się wyjść z bitew bez szwanku, ale szybko nauczyłem się, że to nie dzięki moim wielkim umiejętnościom. Miałem po prostu trochę szczęścia. Innym razem zaś go nie miałem i płaciłem za to krwią oraz bólem. Ten, kto wie, jak bolą rany, sam później nie jest taki skory do ich zadawania. Może kowaluk też się dzisiaj czegoś nauczył.

Myśliwy zamilkł na chwilę, a potem uśmiechnął się smutno.

– Chociaż, prawdę mówiąc, wątpię. Prędzej poleci do swojego ojczulka na skargę, niż zastanowi się, dlaczego dostał cięgi.

Poklepał syna po ramieniu.

– Chodź do domu. Już stąd czuję, że matka szykuje ryby. Głodny jestem jak wilk.

Evah ruszył za ojcem. Czuł dumę ze zwycięstwa, ale też dziwny smutek. Ojciec niby go pochwalił, ale też zarazem jakby zganił. Chociaż nie, nie zganił. Wyglądało to tak, jakby starał się odebrać synowi radość ze zwycięstwa. A może wcale się z niego nie cieszył? Może w głębi duszy obawiał się zemsty kowali tak samo jak matka?

Nie, to niemożliwe! Ojciec nie bał się nikogo i niczego! Nawet wielkiego i zwalistego kowala. To tamten schodził myśliwemu z drogi. Niechętnie i rzucając złe spojrzenia, ale schodził. Musiało w tym niespodziewanym smutku chodzić o coś innego. Evah westchnął ciężko – świat dorosłych bywał bardzo skomplikowany, a coraz bardziej stawał się jego udziałem.

Rozdział 2

Leśna kryjówka



Siedzieli przy małym ognisku, trzymając kije, na końcach których piekło się nad płomieniem aromatyczne mięso. Krople tłuszczu od czasu do czasu skapywały w żar, wznecając iskry, a potem paliły się z sykiem.

– Co mogłem, zasoliłem – opowiadał ojciec. – Dopóki wystarczyło soli oczywiście. Trzeba będzie udać się do grodu na targ, żeby sprzedać trochę skór i kupić sól. Zapowiada się obfity rok.

– To znakomicie – ucieszył się Evah. – Weźmiesz mnie ze sobą na polowanie?

– Wezmę – odparł Krunnah. – Tylko na razie pilnuj się i sprawuj dobrze, żeby matka znów za karę nie zabroniła ci iść. Bójki z kowalukiem na pewno nie pomogą.

– No przecież nie będę stał jak kołek i pozwalał się znieważać albo wręcz bić – burknął chłopiec.

– Pewnie, że nie – zgodził się ojciec. – Dlatego postaram się ugłaskać matkę. Zresztą nie ruszę wcześniej niż za parę dni, bo trzeba skóry wyprawić i mięso uwędzić.

Myśliwy z dumą opowiadał synowi o łupach z polowania. We wnyki wpadło z dziesięć zajęcy, zdołał ustrzelić dzika i czteroletniego jelenia. A jeszcze do tego kuny i inne stworzenia, których skórki można sprzedać. Wprawdzie futra nie były tak gęste jak zimą, więc mniej cenne, ale zysk zapowiadał się i tak naprawdę niezły. Wracając, zabrał tylko cztery zajęce i trochę innej drobnicy.

Całe pozostałe dobro spoczywało w ukrytej przemyślnie ziemiance, którą ojciec wykopał, jeszcze kiedy Evah był mały, a potem z pomocą dorastającego syna znacznie ją powiększył. Można tam było nie tylko ukrywać łup, lecz także

nawet zamieszkać. Oczywiście nie teraz, kiedy znajdowało się w środku tyle dobra. Zapach skór i mięsa mógł przyprawić o zawroty głowy.

Dotąd nikt nie zdołał wytropić kryjówki myśliwego. Ale też i ludzie ze wsi nie bardzo się do tego kwapili. Owszem, kowal chętnie by się dobrał do tego miejsca, chociażby po to, żeby zrobić na złość nielubianemu człowiekowi, ale kłocowaty olbrzym był zbyt nieruchawy i mało zmyślny, żeby odgadnąć tajemnice Krunnaha, nie miał zaś się nawet kim wyręczyć. Rolnicy nie chcieli zadzierać z byłym żołnierzem, a poza tym cenili go i darzyli sympatią. Nie tylko dlatego, że umiał walczyć jak żaden z nich, ale przede wszystkim ze względu na to, że nigdy nie odmawiał pomocy, a jego żona znała się na leczeniu i również nie skąpiła potrzebującym ziół.

Mięso dopiekło się wreszcie i wygłodniały Evah zaczął je łapczywie pochłaniać, parząc sobie usta. Ojciec patrzył na niego z uśmiechem.

– Nigdy nie należy się zbyt śpieszyć – powiedział. – Ale młodość jest niecierpliwa, jeszcze cię życie tego nauczy.

Pożywali się w milczeniu, a kiedy skończyli, Krunnah zarządził ciszę nocną. Evah, zmęczony przeżyciami minionego dnia i drogą przez las, zasnął natychmiast, ale myśliwy siedział jeszcze długo przy ogniu, dorzucając gałązki i rozmyślając o przeszłości.

Nie bardzo chciał, żeby jego syn został myśliwym, bo zbyt wiele zależało w przypadku tego zajęcia od szczęścia i pańskiej łaski, a przywilej odławiania grubszej zwierzyny nie miał przejść na potomka Krunnaha. Aż taki łaskawy królewski namiestnik nie był. Jeszcze bardziej nie miał ochoty nakłaniać Evaha, żeby zgłosił się do wojska. W czasie pokoju to całkiem znośna służba, ale nigdy nie wiadomo, kiedy wybuchnie wojna, jako że wszystkie królestwa i księstwa dookoła patrzyły na siebie wrogo i czyhały tylko na okazję, żeby urwać innym jakieś ziemie.

Wprawdzie myśliwy uczył syna bić się wedle najlepszego własnego wykszolenia, jednak tylko po to, żeby chłopak radził sobie w życiu i umiał ocalić własną głowę. Nie powinien jej narażać dla widzimi się wielkich panów.

Gdyby go było stać, posłałby syna do szkół, lecz to wymagało wielkich pieniędzy. Kowala może byłoby stać, ale ten nie zamierzał marnować grosza na nieprzydatne w kuźni umiejętności. Sam Krunnah nauczył się czytać podczas służby, trafił bowiem w swoim oddziale na byłego bakałarza, wygnanego z urzędu za zbyt twarde kark. Mężczyzna uczył Evaha składać litery, jednak szło to opornie, bo ani on nie miał zbyt wiele cierpliwości, ani chłopcu nie chciało się ślęczeć nad tabliczką czy splechciem piachu i rysować słów. Czegoś się tam jednak nauczył.

– Trzeba cię będzie trochę bardziej przymusić do tej domowej nauki – mruknął Krunnah pod nosem, spoglądając na śpiącego spokojnie chłopca. –

Zawsze inaczej patrzą na kogoś, kto umie czytać, pisać i rachować, a inaczej na zupełnie niegramotnego.

Owinął się szczelniej derką, bo nadciągnął nocny chłód, a potem legł na boku i spojrzął w górę. Korony drzew przesłaniały nocne niebo, widział jednak trochę gwiazd na ciemnogramatowym kobiercu. Nagle drgnął. Na firmamencie przesunął się cień, gasząc na chwilę kilka z wiecznych światełek. W pierwszej chwili pomyślał o polującym nietoperzu, zaraz jednak zdał sobie sprawę, że cień poruszał się zbyt wolno i za mało zwinnie. I wydawał się płynąć bardzo wysoko.

Po chwili zniknął Krunnahowi z oczu. Myśliwy potrząsnął głową, przymknął oczy. Może to były tylko zwidy ze zmęczenia? W końcu miał za sobą tydzień wyęzania wzroku, zastawiania sideł, walkę z odyńcem, który okazał się trudnym i niebezpiecznym przeciwnikiem. Zmordowanemu człowiekowi nieraz przed oczami przeleca jakieś mrocзки.

Jednak wspomnienie dziwnego cienia nie dawało spokoju doświadczonemu mężczyźnie. Spał płytko i niespokojnie, a rano powitał z ulgą.



Wracali do domu powoli, co jakiś czas odpoczywając. Mieli co nieść. Ojciec zadał sobie na kark jelenia, dzika już zawczasu oprawił i odrzucił wszystko, co niepotrzebne, pozostawiając ciężką skórę i najlepsze kawałki mięsa. To brzemię przypadło Evahowi. Do tego musieli obwiesić się resztą zdobyczy.

– Najlepiej, jeśli do chałupy dotrzemy po zmierzchu – mówił ojciec. – Nie chcę, żeby co poniektórzy widzieli, jak mi się powiodło.

Evah był zadowolony z takiej decyzji. Nie śpieszyło mu się do domu, gdzie matka na pewno znowu zacznie wyrzekać, że pobił się z Norogiem. Tuż po obiedzie, zanim zdążyli wyruszyć, przybył ze skargą uboższy krewniak chłopaka. Sam kowal nie zamierzał się fatygować do „byle myśliweczka”, jak pogardliwie mawiał o Krunnahu.

Ojciec Evaha wysłuchał cierpliwie nieproszonego gościa, chociaż widać było, jak kilka razy zaciska szczęki, żeby nie powiedzieć czegoś przykrego. Z przemowy leciwego Lineha wynikało bowiem, że to syn myśliwego zaczepił Noroga i napadł na niego podstępem. To musiał być podstęp, wszyscy powinni wiedzieć, bo twarzą w twarz by sobie kowalski potomek przecież poradził jako starszy i silniejszy.

Sam Evah słuchał tych kłamstw obojętnie. Niczego lepszego się po przeciwniku nie spodziewał, jedynie kiedy Lineh opisał, jak to rzekomo skoczył na plecy oddalającego się spokojnie Noroga, zaprotestował. Ale ojciec natychmiast go uciszył.

Kiedy przybyły skończył, Krunnah milczał dłuższą chwilę, wpatrując się w twarz tamtego. Lineh zaczął się niespokojnie wiercić, aż wreszcie wstał.

– To ja już pójdę. Co miałem przekazać, przekazałem. Ukaranie szczeniaka to już twoja sprawa, Krunnahu.

– Zaraz! – zatrzymał go myśliwy. – Nie chcesz usłyszeć, co ja mam do powiedzenia?

Stryj Noroga spojrzął z niechęcią i stanął w drzwiach.

– Szepnij tam swojemu kuzynowi – rzekł Krunnah – że skończyły się czasy, kiedy jego synek mógł bezkarnie krzywdzić mojego. Znosiłem to do tej pory, wiedząc, że Evah prędzej czy później zacznie sobie radzić z tym osiłkiem. Nieraz miałem ochotę pójść do kowala, żeby dać mu nauczkę, kiedy przechwalał się w karczmie, jak to Norog wszystkich chłopców potrafi zlać i nawet się nie spoci. Ale, jak sam już mógł się przekonać, uległo to zmianie. Niech syn kowala nie wchodzi w drogę mojemu, jeśli nie chce znów dostać za swoje.

– Ale on przecież na plecach Norogowi... – zaczął gniewnie Lineh, ale myśliwy nie pozwolił mu skończyć.

– Evah nie zaatakowałby z tyłu. Już prędzej ten wasz ukochany chłopaczek. A teraz wynoś się, mam dość kłamstw i biadolenia.

Widząc, że Krunnah naprawdę się rozsierdził, niefortunny posłaniec wyszedł czym prędzej. Wprawdzie nie spodziewał się, że spokojny i cierpliwy na ogół łowca znieważy go pod własnym dachem, a już na pewno nie podniesie na niego ręki, ale płonące oburzeniem oczy mężczyzny zrobiły swoje. Nie było przyjemnie w nie patrzeć, tym bardziej że sam Lineh zdawał sobie sprawę, jakim ziółkiem jest syn jego kuzyna. Ale rodzina to jednak rodzina, musi się trzymać razem.

Evah potknął się, skóra dzika zsunęła mu się z ramienia i upadła w paprocie, przez które właśnie się przedzierali. Chociaż w przypadku doświadczonego łowcy, jakim był Krunnah, trudno było to nazwać przedzieraniem. Sprawnie znajdował drogę przez gęstwinę w taki sposób, żeby zostawiać jak najmniej tropów. Chłopiec naśladował jego ruchy, dlatego próżno by po nich szukać połamanych roślin i poszarpanych liści.

– Niech to! – syknął Evah, podnosząc brzemię.

Ojciec zatrzymał się i obejrzał, ale widząc, że syn nie potrzebuje pomocy, ruszył dalej. Kilka razy przyłapał się na tym, że spoglądał w niebo ledwie widoczne między gałęziami drzew starego lasu. Wciąż męczyło go to, co dostrzegł w nocy, i chociaż starał się sobie tłumaczyć to w różny sposób, czuł dziwny niepokój. Zupełnie jakby coś miało się zdarzyć. Jak wtedy, kiedy w bitwie pod Venurą odniósł poważne rany. Przecież nie mógł tego przewidzieć, a jednak odczuwał przez cały dzień o wiele większy niepokój niż zazwyczaj przed starciami z wrogiem.

Wreszcie wyszli na skraj lasu. Słońce chyliło się ku zachodowi, a Krunnah zarządził postój.

– Czekamy na zmierzch – rzekł. – Odpocznij, bo potem już jednym marszem dotrzemy do domu. Mam nadzieję, że twoja matka przygotowała coś dobrego.

Nagle zamilkł, spojrzał w górę. Evah podążył za wzrokiem ojca.

– Sokoły stepowe? – zdziwił się. – Polują jeszcze o tej porze?

Krunnah nie odpowiedział, śledził tylko tor lotu ptaków. Szybowały wysoko, rzeczywiście wyglądały jak sokoły wypatrujące zdobyczy. A jednak było w nich coś niepokojącego. Dałby wiele, żeby zobaczyć je z bliska, żeby mieć coś podobnego do lunety, przez którą wielki marszałek zwykł lustrować ugrupowania armii przeciwnika przed walką.

– Stało się coś? – zapytał Evah, zaniepokojony wyrazem twarzy ojca.

– Nie, synu – odparł myśliwy. – Po prostu wróciły niedobre wspomnienia.

Nie chciał straszyć chłopca. Być może to naprawdę tylko pamięć niespokojnych czasów. W końcu sokoły stepowe mogły polować nawet o tej porze. Rzadko się to zdarzało, ale nie było niczym wielce niespotykanym. Tyle tylko, że krążące w górze ptaki miały nieco dziwne, jakby kanciaste sylwetki.

– Zaraz pójdziemy – powiedział Krunnah, patrząc na chowające się za horyzont słońce.

Evah pokiwał głową, położył się na mchu i przymknął oczy. Zapadł w płytką drzemkę, w którą wdzierały się odgłosy lasu. Jedne zwierzęta szykowały się do snu, inne wręcz przeciwnie – budziły się, żeby spędzić noc na poszukiwaniu pokarmu. W oddali zahuczała sowa, zatrzeszczała gałąź, na której usiadł duży ptak.

Evah uśmiechnął się do siebie pod nosem. Uwielbiał te wyprawy z ojcem. Myśliwy traktował go wówczas zupełnie inaczej niż w domu – nie jak winnego posłuszeństwo syna, ale raczej pełnoprawnego towarzysza podróży. A to było przyjemne i napawało dumą. Norog dla swojego rodzica zawsze był tylko potomkiem, który wprawdzie miał przejąć kuźnię, ale na razie był jeszcze za głupi, żeby powierzyć mu jakiegokolwiek ważne zadania czy rodzinne sekrety.

Kiedy zaczęło się już porządnie zmierzchać, Krunnah obudził syna.

– Pora na nas. Wyśpisz się już na własnym pośłaniu.

Rozdział 3

Verilla



Ranek wstał rześki, ale słoneczny.

Evah wyszedł przed dom, energicznym krokiem skierował się do studni. Matka potrzebowała wody i do obmycia się, i do przygotowania posiłku. Ojciec też już nie spał, krzątał się w szopie, przygotowując skóry do wyprawienia. Już wczoraj umieścił mięso w piecu wędzarniczym, więc po obejściu snuł się wonny opar, wywołując ściskanie w żołądku. Wprawdzie wczoraj Evah zjadł porządną kolację, ale czuł już głód. Cóż, przecież to był nader pracowity dzień.

Już przymierzył się do kołowrotu, kiedy zobaczył za niskim płotem znajomą postać.

– Zaczekaj! – zawołał. – Verilla, zaczekaj!

Dziewczyna przystanęła, spojrzała na niego i uśmiechnęła się, ukazując drobne białe zęby.

– Wcześniej wstałeś, Evahu – zauważyła.

Chłopiec podszedł do płotu, położył na nim rękę.

– Ojciec wrócił z polowania, muszę mu pomóc – powiedział. – Ale i ty dzisiaj zerwałaś się o świcie.

Dziewczyna spoważniała.

– Nie zerwałabym się, ale właśnie twój ojciec... – Urwała na chwilę, a Evah uniósł pytająco brwi. Po chwili Verilla podjęła: – Twój ojciec jeszcze wczoraj w nocy przyszedł do nas. Wiem, bo się obudziłam, kiedy mój podniósł głos. Nie wiem, o co chodziło, ale dzisiaj obudzili mnie wcześniej i kazali obejść wioskę, żeby zwołać wszystkich dorosłych mężczyzn na naradę.

Evah potrząsnął głową. Najchętniej pobiegłby do ojca od razu i zapytał, o co chodzi, ale nie mógł odejść przecież w środku rozmowy. To byłoby niegrzeczne i dziewczyna mogłaby się obrazić, a tego za nic by nie chciał.

– Podobno biłeś się wczoraj z Norogiem – powiedziała Verilla. – Znowu... Tyle razy prosiłam cię, żebyś tego nie robił. Choćby nie wiem co mówił, na pewno się z nim nie będę spotykać, nawet gdyby mój rodzic miał się gniewać.

– Norog tak gada, jakbyście byli już narzeczonymi – odparł z tłumioną pasją Evah.

Verilla zaśmiała się perliście.

– Chyba jeszcze jesteśmy na to za młodzi, nie sądzisz? Noroga dopiero rok temu kapłan przyjął do grona starszych młodzieńców, a tobie jeszcze trochę brakuje.

– Rodzina kowala chciałaby bardzo spokrewnić się z rodziną sołtysa – mruknął chłopak. – Pobrać się jeszcze nie pobierzecie, ale wasi ojcowie mogą już zawrzeć umowę ślubną.

– Po moim trupie! – Dziewczyna zarumieniła się ze złości. – Jeśli mój tatko by się na to zgodził, ucieknę z domu!

– Razem uciekniemy – rzucił Evah i również się zaczerwienił, ale ze wstydu.

Verilla spojrzała na niego przeciągle. Myślał, że go ofuknie, ale jej oczy stały się miękkie i rozmarzone.

– Nie opowiadaj bzdur – napomniała chłopca. – Nikt nie będzie nigdzie uciekał. A na Noroga nie chcę nawet patrzeć. Choćby mi kuźnię do stóp rzucił razem z młynem stryja. Nie lubię go.

Evah chciał jeszcze coś powiedzieć, ale dziewczyna uniosła rękę.

– Muszę iść. W południe będzie zgromadzenie rady wiejskiej, a wszystkich trzeba zawiadomić. Podobno to jakaś ważna sprawa.

Chłopiec patrzył za dziewczyną, kiedy oddalała się drogą. Westchnął przeciągle. Czy kiedyś odważy się powiedzieć jej, co naprawdę czuje? Czy nie zostanie potraktowany jak natręt? Nie on jeden oglądał się za Verillą, która wyrastała na niewiastę równie piękną jak jej matka.

Co prawda rozmawiała z nim chętnie, chętniej niż z innymi, ale to niekoniecznie coś zaraz znaczyło. Mogła go po prostu lubić tak, jak się lubi kota czy oswojoną łasicę.

– Evah! Gdzie ta woda, nicponiu? – Rozmyślenia przerwało mu wołanie matki. – Sama mam dźwigać cebrzyk?

Oderwał się od płotu i szybkim krokiem poszedł do studni.

– Już niosę!

Kiedy zataszczył wodę do izby kuchennej, postanowił iść do ojca.

– Ładna ta Verilla – powiedział Krunnah na powitanie. – Nic dziwnego, że wpadła ci w oko.

– Nikt mi nie wpadł...

– Daj spokój, synu – roześmiał się myśliwy. – Oko łowcy i tropiciela widzi więcej i wyraźniej. Ale tutaj nie trzeba nawet wielkiej przenikliwości, żeby

dostrzec, jak na nią spoglądasz. A i ona wyraźnie...

– Przestań, proszę – jęknął Evah, zawstydzony. Nie sądził, że to aż tak widać. Postanowił zmienić temat. – Powiedz, ojczu, dlaczego zwołałeś naradę?

Twarz Krunnah spoważniała, skrzywił się lekko.

– Powiedz, synu, czy kiedyś przedtem zauważyłeś te sokoły, które widzieliśmy wczoraj o zachodzie słońca?

Chłopiec zastanowił się.

– Sam nie wiem. Może je widziałem, ale nie zwróciłem uwagi. Kiedy idziesz na polowanie, mam sporo pracy.

– Przypomnij sobie.

– Być może. – Evah potrząsnął głową. – Ale kiedy? Niedawno, może dwa, trzy dni temu. To ważne?

– Może być ważne – odparł Krunnah.

– Ale dlaczego? – dopytywał chłopiec.

– Nie teraz – uciał myśliwy. – Pomóż mi lepiej.



Z narady w domu sołtysa Krunnah wrócił zły jak osa. Spojrzał tylko na polewkę serową, którą postawiła przed nim żona, a potem poszedł do szopy ze skórami. Evah chciał ruszyć za nim, ale matka go zatrzymała.

– Daj na razie ojcu spokój. Musi się sam wydyszeć. Widać wszystko poszło nie po jego myśli.

Po niedługim czasie myśliwy wrócił, zasiadł do stołu i zaczął się pożywiać.

– Zbierz najpotrzebniejsze rzeczy, Marunna – powiedział do żony, kiedy skończył. – Jeszcze dzisiaj przenosimy się do lasu.

Kobieta wytrzeszczyła na męża oczy. Karmiła właśnie córeczkę, ale aż wstała z wrażenia.

– Dlaczego? Jak to?

– Te sokoły... – Krunnah spojrział na żonę. – Ach, ty nic nie wiesz. Jeszcze w lesie dostrzegłem w nocy dziwne sylwetki na niebie. A potem za dnia o dziwnej porze nad okolicą krążyły dwa sokoły, podobne do stepowych. Przecież jest mnóstwo pożywienia, nie muszą polować tuż przed zmierzchem, wbrew własnemu obyczajom.

– I dlatego chcesz się wynieść do lasu? – spytała z niedowierzaniem żona myśliwego.

– Na jakiś czas – odparł. – Zamieszkamy w ziemiance.

– Tylko z tego powodu, że zobaczyłeś dziwne ptaki?! – zaprotestowała Marunna. – Jakie niby miałyby to być zagrożenie? Polować na nas zaczną? Przecież to śmieszne.

Krunnah wstał również. Podszedł do żony, położył rękę na główce przysypiającej córeczki.

– Dbam tylko o was. Gdyby nie to, że trzeba się zebrać i zadbać też o wszystko dla Arnilki, już byśmy byli w drodze. No i skóry muszą jeszcze trochę przeschnąć po wymoczeniu, bo z tym nie mogłem czekać. Ale natłuszczę je i dokończę garbowania już w lesie. Zrozum, te ptaki mogą być zwiastunami czegoś złego. Nie słyszałaś, że zanim na osiedle spadnie Żelazny Kruk, wysyła swoich poddanych, aby obejrzelik okolicę?

Matka Evaha pokręciła głową.

– To tylko takie gadanie. Myślisz, że zwykłe ptaki służą tej bestii?

– Tylko że te dwa niby sokoły nie wyglądają mi na takie zwykłe – mruknął Krunnah.

– Ludzie ci nie uwierzyli, prawda? – domyśliła się Marunna.

Myśliwy nie odpowiedział. Nie musiał. Powinien się zresztą czegoś podobnego spodziewać, ale musiał ostrzec współmieszkańców, nawet narażając się na drwiny.

– W naszej okolicy nigdy nie grasował Żelazny Kruk – zauważyła kobieta. – Ledwie docierają do nas wieści o nim...

– A czy to znaczy, że nie może się pojawić? – wszedł jej w słowo mąż. – Ja wiem, że niektórzy nawet nie wierzą w jego istnienie. Jeśli ktoś nie był dalej niż we młynie i grodzie, to mu się zdaje, że świat jest mały i bezpieczny. Tymczasem jest zupełnie inny.

Zamilkł na chwilę, nalał sobie do kubka wywaru z rojownika, którego matka czasem używała, kiedy nie mogła zasnąć, martwiąc się o nieobecnego męża.

– Posłuchajcie. Widziałem wsie i sioła opustoszałe po wizycie Żelaznego Kruka. Bodaj jeden świadek się nie uchwował w takich miejscach. Jest tylko trochę zabitych, którzy stawiali bardziej zacięty opór, i tyle. Wszyscy inni znikają bez śladu, jakby ktoś na rozgrzane kamienie wylał kroplę wody.

Odetchnął głęboko.

– Ale tak naprawdę nikt tutaj nie wierzy, że taki stwór istnieje. Kowal oczywiście zarzucił mi, że chcę zaszkodzić jemu i młynarzowi, bo jak wszyscy pójdą w las, to mu kuźnię jacyś maruderzy rozkradną, a zboża nie będzie miał kto zbierać, i jego brat będzie stratny. Inni zaś wolą po prostu nie widzieć tego, co się dookoła dzieje. „Jakoś to będzie”, mówią sobie, „Mnie przecież nic złego się nie stanie, bo i z jakiego powodu?”

– Nie widzieli tego, co ty, ojciec – zauważył milczący dotąd Evah. – Ja ci wierzę. Ale jeśli zaraz nie pójdziemy, trzeba będzie nocować po drodze gdzieś w lesie.

– Poradzimy sobie. – Myśliwy machnął ręką. – Las nie jest straszny nocą, jeśli się go zna i szanuje. Małą się dobrze otuli, na deszcz się nie zbiera. A wolę,

żeby później wytykali mnie palcami, że jestem nazbyt ostrożny i bojaźliwy, niż paść ofiarą tego porywacza ludzi.

– Podobno Żelazny Kruk pożera swoje ofiary – szepnął chłopiec.

– Tak powiadają. – Ojciec usłyszał jego słowa. – Tym bardziej nie mam chęci się z nim zapoznawać.

Nie wyruszyli jednak tego dnia. Wprawdzie wszystko było już prawie gotowe, ale Arnilka nagle zachorowała. Czy udzieliło jej się zdenerwowanie dorosłych, czy też może włożyła ukradkiem do buzi coś, co jej zaszkodziło, ale dostała gorączki. Marunna orzekła, że nie wyruszy nocować, nie wiadomo gdzie, z dzieckiem w takim stanie, a Krunnah nie naciskał.

– Myślę, że ta noc będzie jeszcze spokojna – rzekł. – Nie widziałem dzisiaj tych dziwnych sokołów. Może naprawdę jestem zbyt ostrożny?

Wyszedł, żeby zrobić porządek ze skórami, które już zrolował i przygotował do zabrania. Evah poszedł za nim.

– Były – powiedział, kiedy zatrzymali się przed szopą.

Krunnah odwrócił się gwałtownie.

– Co mówisz?

– Te ptaki były dzisiaj. W południe krążyły nad lasem i wsią. Siedziałeś wtedy u sołtysa...

Myśliwy zaklął cicho pod nosem, ale tak, żeby syn nie słyszał paskudnych wyrazów, jakie Krunnah poznał podczas służby w wojsku dzięki pewnemu srogiemu sierżantowi.

– To niedobrze. Ale mam nadzieję, że noc minie spokojnie. Z tego co wiem, zwiadowcy pojawiają się kilka dni przed Żelaznym Krukiem. Wyruszymy z samego rana. Nawet jeśli Arnilka będzie nadal chorować.

Na szczęście okazało się, że dziewczynka zaczęła zdrowieć już tego samego wieczora. Było jednak zbyt późno, aby ruszać w drogę.

Rozdział 4

Stalowe szpony strachu



Evah patrzył prosto w oczy Noroga. Straszne oczy. Po raz pierwszy, odkąd pamiętał, naprawdę bał się starszego chłopaka. Nawet wtedy, gdy byli dziećmi i Norog miał nad nim miażdżącą przewagę, nie odczuwał aż takiej obawy.

Spotkał go niespodziewanie na leśnym dukcie. Evah sam nie wiedział, jak się w tym miejscu znalazł. W ogóle nie znał okolicy, to nie były lasy w pobliżu rodzinnej wsi ani nawet nieprzebyta puszcza, w jaką się zamieniały na zachodzie i południu. A w każdym razie nie była to jej część, którą przemierzył już z ojcem. Jednak nie to okazało się najdziwniejsze, że on sam się tu znalazł. Najbardziej zaskoczyła go obecność Noroga. Przecież syn kowala nie chadzał dalej niż kilkaset kroków za pierwsze drzewa. A teraz nagle znalazł się w głębi ciemnego lasu na mrocznej drodze.

Wszystko wokół spowijał dziwny opar, niby niewidoczny, ale Evah nie mógł dostrzec niczego za plecami Noroga. A ten stał nieruchomo, wlepiając wzrok w syna myśliwego. Twarz wykrzywił mu grymas wściekłości, potężne dłonie zacisnął w pięści. I te oczy... Były zupełnie czarne, a ta czerń wypełzała na twarz. Evah nie dostrzegwał w czerni źrenic, ale czuł, że tamten uważnie go obserwuje i na pewno nie ma dobrych zamiarów.

Chciał uciec, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Stał, jakby jego stopy uwięziło gęste bagno, które zastygło od razu w kamień.

Tymczasem Norog zaczął się zbliżać. Wyszczrzył zęby, wyciągnął rękę. Teraz nie były już zacisnięte w pięści, ale Evah stwierdził, że to jeszcze gorzej, bo gruzłowate palce kończyły się srebrnymi ostrymi szponami.

Norog otworzył paszczę... Tak, paszczę! Bo trudno było nazwać inaczej potężne szczęki, które rozdziawiły się, ukazując rzędy wielkich kłów. Z gardła napastnika wydobył się potężny warkot, przywodzący na myśl grom pioruna.

– Evah! – usłyszał chłopak. – Evah!

Norog wciąż jeszcze miał otwarte usta, ale teraz już nie dochodził z nich grom, tylko coś, co przypominało krzyki przerażonych ludzi. Potwór, w jakiego zamienił się starszy z chłopców, nagle skoczył, przypadł do Evaha i zaczął go szarpać. Pazury wbiły się w ramiona, ale ból był dziwny – odległy, jakby nie dotyczył napadniętego. Zresztą Evah miał wrażenie, że całą scenę ogląda zarówno jako jej uczestnik, ale także jakby zupełnie z boku, cudzymi oczami.

A potem kły zbliżyły się do jego szyi. Miały się już wbić i zakończyć młode życie, kiedy nagle...

– Evah! Budź się! Evah!

Chłopak otworzył oczy. Stał nad nim ojciec, jego twarz była doskonale widoczna w czerwonym blasku wpadającym przez okno.

– To już świt? – wymamrotał Evah. Poczuł ogromną ulgę, że Norog zamieniony w potwora to tylko zły sen.

Ale rzeczywistość miała okazać się jeszcze gorsza.

– Żaden świt! Wstawaj! To Żelazny Kruk! Wylądował na skraju wsi! Jego siepacze otoczyli wszystkie domy! Nikt się nie wyrwie!

Evah natychmiast zapomniał o koszmarze sennym, zerwał się na równe nogi. Ojciec trzymał w ręku miecz, matka tuliła płaczącą Arnilkę.

– Podaj jej swoich ziół na uspokojenie, żeby szybko usnęła! – polecił żonie Krunnah.

– Takiemu dziecku nie można... – próbowała zaprotestować Marunna, ale myśliwy nie chciał tego słuchać.

– Chcesz uratować dzieci?! Za parę chwil słudzy, których Kruk ma ze sobą, dotrą do nas!

Matka nie dyskutowała już, zamoczyła gałganek w wywarze i włożyła go do ust córeczce. Ta zakrzuszyła się, ale przełknęła, a potem jeszcze raz i jeszcze...

Tymczasem Krunnah skinął głową na syna.

– Skrytka pod podłogą!

Pobiegli do kąta po prawej stronie. Myśliwy odgarnął kilka wyliniałych skór rzuconych niedbale w to miejsce, włożył sztych miecza w szparę między deskami, podważył je, a potem uniósł. Ukazało się wykopane w ziemi i zabezpieczone drewnem niewielkie pomieszczenie, ni to maleńka piwniczka, ni to spiżarka. Tutaj myśliwy chował przed poborcami podatków część co ładniejszych skór, a także wisiory i naszyjniki sporządzone przez Mirunę z kłów i pazurów drapieźników. Inaczej chciwi urzędnicy zabieraliby więcej, niż im się należało. Rzecz jasna, dostawali coś ponad to, co oddawali później swoim przełożonym, żeby nie węszyli zbyttnio, ale gdyby wiedzieli, ile dobytku potrafi zgromadzić Krunnah w dobrych latach, chętnie pozbawiliby go sporej części

owoców ciężkiej pracy. To nigdy nie było oczywiście wielkie bogactwo, ale pozwalało rodzinie godnie przeżyć trudne pory roku.

– Właz! – rozkazał myśliwy synowi.

– Będziesz walczył! – Evah bardziej to stwierdził, niż zapytał.

– Będę. Arnilka musi mieć czas, żeby się uspokoić i zasnąć. Inaczej znajdą was, jeśli zacznie płakać. I niech się mną lepiej zajmą, nie będą was zbyt gorliwie szukać.

– Ja też będę się bił! – zawołał Evah. – A mama z małą się ukryją...

– Nie, synu – powiedziała matka, która właśnie zbliżyła się z córką w objęciach. – Wy jesteście najważniejsi. Nie mogłabym żyć, wiedząc, że poświęciłam ciebie. A w jamie nie ma miejsca dla trojga.

Jej głos był zadziwiająco spokojny. I właśnie bardziej jego ton niż słowa matki przemówił do chłopca. Zdał sobie sprawę, że nie czas na pertraktacje.

– Nie poradzisz sobie z pancernymi! – dodał ojciec. – Widziałem przez okno, że mają na sobie zbroje. Nie wiem, co to za stwory, ale noszą płaszcze z ptasich piór i hełmy zakończone jak dzioby. Właz już!

Prawie wrzucił syna do skrytki. Matka podała mu płaczącą siostrzyczkę.

– Zaraz zaśnie – zapewniła. – A ty się nie ruszaj.

Potem kłapa opadła, rozległ się chrobot, kiedy ojciec zarzucał z powrotem skóry, żeby zamaskować szpary w deskach, i nagarnął na to jeszcze trochę popiołu z paleniska.

– Pora na mnie – doleciał Evaha przytłumiony głos. – Postaram się zatrzymać ich jak najdłużej, a ty spróbuj uciec.

Skrzypnęły drzwi, na zewnątrz rozległ się chrapliwy okrzyk i szczęk oręża. Arnilka przestała wreszcie płakać, chlipnęła tylko jeszcze parę razy, a potem zasnęła w ramionach brata. Matka powiedziała, żeby się nie ruszał... Ale w tej klitce było trudno w ogóle rozprostować nogi. Evah siedział z podkurczonymi kolanami, głową prawie dotykał kłapy. Szkoda, że ojciec nie wykopał nieco większej jamy, ale przecież nie planował ukrywać tutaj ludzi.

Chłopiec z zaciśniętymi zębami słuchał odgłosów walki. Szczęk broni przerwał głośny krzyk. To nie ojciec, na pewno. Musiał ranić albo nawet zabić przeciwnika. Ale już rozległ się tupot wielu nóg. Ciężki tupot, jakby biegnący ważyli więcej niż zwykły człowiek.

No tak, przecież byli opancerzeni. A poza tym wiadomo to, jakie istoty nosi na grzbiecie Żelazny Kruk?

Na myśl o tym chłopiec zadrzał. A jeśli mimo wszystko wywęszą go pod podłogą? Lepiej już zginąć w walce.

Znów rozległ się krzyk, a Evah odruchowo wydał z siebie długi jęk. Tym razem rozpoznał głos ojca. Matka też krzyknęła cicho, a potem zatupotały jej

lekkie kroki. Już wcześniej powinna spróbować ucieczki, ale nie miała siły odejść, dopóki jej ukochany mąż jeszcze walczył.

Nie zdążyła dopaść okna prowadzącego na tył obejścia, kiedy drzwi z hukiem wyleciały z grubych, skórzanych pętlic, zastępujących żelazne zawiasy, na które niewielu w wiosce było stać. Gdyby zresztą nawet zdołała wyskoczyć, i tak wkrótce zostałaby schwytana. Nie na darmo mówiono, że tam, gdzie przyleci Żelazny Kruk, nie pozostają świadkowie. Nikt nie umiał nic pewnego powiedzieć o wyglądzie i obyczajach potwora ani jego siepaczy.

– Nie chcę! – zawołała Marunna.

Evah zacisnął powieki, jakby w ten sposób mógł odciąć się od tego, co działo się nad jego głową.

– Zostawcie mnie!

Na krzyk kobiety odpowiedział niski, chrapliwy głos. Mówił w nieznanym chłopcu języku, ale brzmiało to groźnie i rozkazująco. Marunna próbowała się bronić, ale rozległ się głuchy stuk i szarpanina ustała. Evah odgadł, że któryś z napastników uderzył matkę w głowę, pozbawiając ją przytomności.

Chłopiec jeszcze mocniej zacisnął powieki, próbując powstrzymać szloch i rozsadzający pierś strach pomieszany z wściekłością, ale i tak po jego policzkach potoczyły się łzy.

Tymczasem dwóch albo trzech napastników myszkowało po izbach domu. Przesuwali sprzęty, spadł gliniany garnek, głośno brzęknął trącony mieczem kociołek. Na szczęście nie szukali zbyt gorliwie. Może uznali, że małżeństwo nie miało dzieci? Oby tak było.

Rwetes na zewnątrz powoli gasł, a potem rozległ się potężny głos, jakby zagrało tysiąc trąb, a potem do uszu chłopca dobiegł odgłos przypominający nadchodzącą burzę i głośny łopot.

Evah widział nieraz łabędzie podrywające się z wody do lotu. Ich skrzydła biły wtedy mocno, wydając głuchy, a jednocześnie świszający dźwięk. Dźwięk na dworze właśnie to przypominał, ale łabędź musiałby być wielkości co najmniej młyna i mieć do tego proporcjonalnie wielkie skrzydła, żeby aż tak hałasować.

Chłopiec siedział w zupełnych ciemnościach, struchlały i przerażony. Łzy płynęły mu z oczu niepowstrzymanym strumieniem. Arnilka spała spokojnie, jakby nic się nie wydarzyło.

Wreszcie Evah legł na boku, siostrę ułożył na jakiejś zapomnianej skórze, na szczęście dość miękkiej.

Czekał na poranek. A poza tym obawiał się, że we wsi mogli zostać strażnicy, żeby wyłapać tych, których przeoczyli w ciemnościach.

A może nie? Tak czy inaczej, wołał zaczekać. Odpowiadał teraz nie tylko za siebie, lecz także za siostrzyczkę.



Wieś wyglądała strasznie i żałośnie zarazem. Dwa spalone domy w sąsiedztwie obejścia rodziny myśliwego oskarżycielsko wskazywały w niebo kikutami spalonych belek, jakby chciały oznajmić całej okolicy, że to właśnie stamtąd przybyła zagłada.

Jednak inne domy stały spokojnie, jakby nic się nie stało. Niewydojone krowy porykiwały w obórkach, kury gdakały niespokojnie...

Evaha z gorączkowego snu obudziło pianie koguta. Przez szpary niedokładnie zakryte skórą sączyło się mdłe światło. Arnilka leżała obok, wciąż śpiąca, ale przez jej twarzyczkę przemykały skurcze, usteczka przez sen wyginały się w podkówkę. Wywar ziołowy działał, ale chłopak zdawał sobie sprawę, że mała musi być głodna. Wydostał się bez większego trudu z kryjówki i z siostrą na rękach ruszył przez wieś.

W obejściu było pusto, nie dostrzegł śladu żywego ducha.

Poszedł do zagrody z kozą. Zwierzę kulilo się w rogu, wciąż przerażone nocnymi zajściami.

– Chodź – powiedział łagodnie. – Muszę cię wydoić. Arnilka zaraz się zbudzi i będzie płakać z głodu...

Koza boczyła się przez chwilę, ale uspokoiła ją obecność znanego i lubianego człowieka. Kto jak kto, ale Evah zawsze był dla niej dobry. Pozwoliła się wydoić w samą porę, bo dziewczynka zaczęła już kwilić. Evah martwił się, czy sobie poradzi.

Do tej pory wciąż jeszcze matka karmiła ją piersią. Czy Arnilka zechce ssać gałganek z pachnącym zupełnie inaczej mlekiem zwierzęcia?

Na szczęście głód okazał się silniejszy niż kaprysy niemowlaka. Dziewczynka chciwie ssała szmatkę nasączoną białym pożywnym płynem, a potem znów zasnęła.

Evah ułożył ją w szopie na sianie, na którym położył grubą derkę. Powinna być tutaj bezpieczna, nie mogła spaść, kręcąc się, a pełzać jeszcze nie umiała. On musiał zobaczyć, jak wyglądało to wszystko dalej.

Lecz zaledwie wyszedł za furtkę, kolana się pod nim ugięły i usiadł. Na drodze prowadzącej w głąb wsi leżał ojciec. Wciąż ścisnął w rękę krótki miecz, lewą rękę podkurczył, jakby chciał się podnieść, z pleców sterczała mu złamana w połowie włócznia. Cios musiał go dosięgnąć, właśnie gdy wstawał, powalony w starciu przez opancerzonego przeciwnika.

Evah poczuł łyzy płynące po policzkach. Ojciec zawsze powtarzał, że jeśli idzie się do bitwy, trzeba przynieść na pole też własną głowę. Na początku chłopiec nie rozumiał, co to dokładnie znaczy, ale później zaczął pojmować, że

w walce ryzykuje się nie tylko zdrowie, ale i życie, można nie tylko pokonać wroga, ale samemu zostać pokonanym.

– Ale dzisiaj to ty zwyciężyłeś, tatko – szepnął Evah, patrząc na skłute ostrzami ciało. – Oni tego nie wiedzą, ale zwyciężyłeś. Bo my żyjemy. Żyjemy, tak jak chciałeś.

Pomyślał, że trzeba będzie pogrzebać ojca, ale na razie powinien się jeszcze rozejrzeć. A nuż ktoś ocalał i potrzebuje pomocy? Martwi mogą poczekać, najpierw trzeba zatroszczyć się o żywych. To też były słowa Krunnaha.

Wstał z trudem, ruszył przed siebie. Słuchając ryku skarżących się na bolące wymiona krów, gdakania kur i gęgania głodnych gęsi, nie mógł pojąć, jak to możliwe, że wieś się wyludniła, a cały inwentarz został. Z tego co wiedział z opowieści ojca, jeśli gdzieś zawitają wrogie armie, pustoszą wszystko do pnia, zabierają zapasy i zjadają zwierzęta.

No tak, ale na nich nie najechało wojsko tylko Żelazny Kruk ze swoimi potwornymi sługami. I zabrał wszystkich, których ci słudzy nie zabili...

Lecz nagle jakiś dźwięk zwrócił uwagę pogrążonego w rozpacz chłopca. Nadstawił uszu. Tak, to ludzkie głosy! Dochodziły od strony drogi prowadzącej do młyna. Podbiegł kilka kroków, ale przystanął. Czy to nie przedwczesna radość? Kto wie, kogo tutaj przyniosło o poranku po strasznej nocy. A jeśli Żelazny Kruk powrócił? Osiadł gdzieś dalej i wysłał swoich siepaczy, żeby dokończyli dzieła?

Ale chyba nie. Przecież ojciec mówił, że potwór napada tylko nocą, najlepiej bezksiężycową, w dzień nie pojawia się w ogóle, a jeśli już, to szybuje tak wysoko, że ledwie go widać na niebie.

Tyle że opowieści to jedno, a prawda zawsze może się okazać zupełnie inna.

Głosy zbliżały się. Evah skoczył za płot najbliższej zagrody, przycupnął w wysokich łopianach rosnących w samym rogu. Po niedługim czasie słyszał już wyraźniej nadchodzących. Odzywali się od czasu do czasu, ale ich głosy nie przypominały na szczęście chrapliwych komend wydawanych przez pancernego sługę Kruka. A potem chłopak mógł usłyszeć również słowa. Odetchnął z ulgą. To ludzie z okolicy.

– Tu też nikogo. Dobrze gospodarz mówił, że musiał się zjawić Żelazny Kruk, jak ostrzegał wczoraj myśliwy – mówił grubym głosem mężczyzna.

– Może to nie on? – odparł z wyraźną nadzieją drugi z przybyłych. – Może to coś innego?

– Dlategośmy przyszli sprawdzić. Żywego ducha. Trupów też niewiele. Tak wście wyglądają ponoć właśnie po najeździe bestii. Byłem wczoraj u sołtysa, bo to mnie gospodarz kazali iść, sam słyszałem, co opowiadał Krunnah. Tylko nikt mu nie wierzył, że bestia może spaść na naszą okolicę.

Zbliżyli się do kryjówki Evaha. Chłopiec poznał wreszcie Henczka i Reczka, braci pracujących w młynie. Musiał ich przysłać młynarz, żeby zobaczyli, co się stało. Na pewno słyszeli nocne hałasy i widzieli łunę z płonących domów.

– Patrz, tam na drodze ktoś leży! – zawołał nagle Reczko, młodszy z braci.

– To mój ojciec. – Evah wyszedł z łopianów.

Parobkowie spojrzeli na niego przerażeni, odbiegli nawet kilka kroków, ale zaraz wrócili.

– Krunnah nie żyje? – spytał Henczko. Był tęgi i wysoki, rzadkie włosy opadały mu na oczy, dlatego bezustannie je odgarniał. Różnił się bardzo od brata, któremu natura poskąpiła i wzrostu, i bujnych kędziorów, za to miał znacznie więcej rozumu.

– Nie żyje – potwierdził Evah. Z trudem przełknął rosnącą w gardle gulę, powstrzymał łzy. – Walczył z nimi.

– Ale ty się uratowałeś – rzekł podejrziwie Reczko.

Evah wyszedł na drogę i zacinając się, pokrótce opowiedział młodym mężczyznom, co się wydarzyło i jak ojciec ocalił swoje dzieci.

Słuchali, kiwając głowami.

– Dzielny był człowiek, chociaż nasz gospodarz za bardzo go nie lubił – mruknął Henczko.

– Bo jaki pożytek dla młynarza z myśliwego? – zaśmiał się Reczko, ale zaraz spoważniał. Nie wypadało żartować przy chłopcu, który stracił ojca. – Wracaj z nami do młyna. Tutaj niczego nie zwojujemy. Trzeba będzie posłać kogoś do Błotniska, żeby ludzie stamtąd zadbali o tę całą chudobę. I do grodu ktoś poleci powiadomić barona.

– A nie wyrzuci mnie młynarz? – Evah się skrzywił.

Reczko potrząsnął głową.

– Nie waży się. Merah to mocny i zawzięty chłop, ale tak naprawdę nie on rządzi we młynie. Będzie tak, jak zechce jego żona. A która kobieta wyrzuci sieroty na poniewierkę?

Evah rozważał przez chwilę słowa młodszego z braci. Wreszcie pokiwał głową.

– Niech tak będzie, ale najpierw chcę pochować ojca – rzekł stanowczo.

– Ludzie z Błotniska o to zadbają – zaoponował Reczko.

– Nie godzi mi się zostawiać rodzica na środku drogi – upierał się chłopak. – I siostrę jeszcze muszę nakarmić, inaczej cały czas będzie płakać z głodu.

Parobkowie spojrzeli na siebie. Reczko wzruszył ramionami.

– Niech ci będzie. Razem szybko się uwiniemy. Albo zrobimy inaczej. Henczko zostanie z tobą, bo do kopania mogiły trzech to za dużo, a ja pobiegnę do młyna, a potem do Błotniska i do grodu.

Evah i starszy z braci pokiwali głowami na zgodę.

Rozdział 5

Decyzja



Evah obudził się w środku nocy. Musiał wyteńczyć umysł, żeby przypomnieć sobie, gdzie jest. Zajmował ciasną komórkę na podstryszu już od kilku dni, ale wciąż jeszcze po przebudzeniu miał wrażenie, że znajduje się we własnym domu. I za każdym razem tłumił szloch. Nie chciał budzić parobków śpiących za cienką ścianą.

Musiał przyznać, że Henczko i Reczko traktowali go bardzo dobrze, w odróżnieniu od młynarza, który z wrogością patrzył na syna myśliwego. Wprawdzie Libba, żona Meraha, mitygowała mocno męża, widać było jednak, jak zawzięty chłop przeżuwa w sobie niechęć. Evah nazbyt mu z twarzy przypominał Krunnaha. A poza tym bezczelny chłopak smalił cholewki do Verilli, stając na przeszkodzie zamiarom kowala, a przez to także i jego. Spowinowacenie się z rodziną sołtysa powinno przynieść wszystkim spore korzyści.

Ale nie tylko o to chodziło. Historia, jak powiadają, lubi się powtarzać. Swego czasu, we wczesnej młodości, Merah upatrzył sobie późniejszą żonę Krunnaha, Marunnę i miał co do niej poważne zamiary. Ubiegł go jednak myśliwy. Potrafił tak w sobie rozkochać dziewczynę, że nawet kiedy go wzięli do wojska, wiernie na niego czekała. Młynarz ożenił się z Libbą, był z tego nawet bardzo zadowolony, bo niewiasta była gospodarna i wniosła duży posag, ale zapiekły żal pozostał na dnie twardej duszy.

Evah usiadł na posłaniu. Okropnie mu się chciało pić, a w izdebce panowała duchota. Namacał dzbanek z wodą. Pusty. Zupełnie zapomniał wieczorem go napełnić. Trzeba zejść na dół, zaczerpnąć z cebra w kuchni. Poruszając się ostrożnie, podszedł do drzwi. Skrzypnęły leciutko przy otwieraniu. Schodził powoli, macając każdy stopień, bo nie chciał narobić hałasu. Kiedy był w

połowie drogi, usłyszał głosy. Niski należał do młynarza, wyższy do jego żony. Siedzieli w kuchni i o coś się najwyraźniej spierali.

Chciał się już wycofać, ale zaciekawiło go, o czym dorośli rozmawiają tak późną porą. Zszedł jeszcze kawałek, żeby lepiej słyszeć, ale nie na tyle, by go zauważyli.

– A ja ci powiadam, daj chłopakowi spokój – mówiła Libba. – Przeszedł swoje, musi okrzepnąć, porządnie odpocząć.

– Ja ci zaś mówię, że nie będę karmił darmożjada – buczał Merah, starając się zapanować nad głosem, co marnie mu wychodziło w chwili wzburzenia. – Jutro niech jeszcze się powałkoni, ale potem do roboty! Worki nosić już może. W tym roku nie będzie wielkich zbiorów z Przyrzecza, bo ludzie z Błotnisk i innych wsi mają swoje pola do oporządzenia.

– Z głodu nie umrzemy – odparła młynarzowa. – Będzie trochę mniej ziarna i zysku, bo rzeczywiście z Przyrzecza bodaj najwięcej zboża przychodziło, ale to nie szkodzi. Za rok, dwa znajdą się ludzie, żeby zasiedlić tamto miejsce. I pola tam żyzne, i rzeka w pobliżu, a co też ważne, Żelazny Kruk już tam chyba nie wróci. Nie nawiedzi przecież dwa razy tego samego miejsca.

– Wiadomo to, jakie bestia ma obyczaje – burknął młynarz. – Do tej pory naszej okolicy nie dręczyła. Dobrze, że młyn kawałek drogi od wsi, bo i nas by dopadła.

Kobieta milczała przez chwilę.

– No dobrze, stary – odezwała się wreszcie. – Jak musisz, bierz chłopaka do roboty. Ale nie każ mu cały dzień worków dźwigać, za młody jeszcze jest. Płot niech naprawi, na żniwa można go też do Błotnisk posłać.

– A z dziewczynką co postanowimy? – zapytał Merah.

– Co niby chcesz postanawiać? Toż to oserek jeszcze. Wykarmimy, odchowamy. Zawsze chciałam mieć córeczkę, ale tylko synów rodziłam.

– Chcesz ją u nas na zawsze zostawić?

Znów zapanowało milczenie, które przerwała Libba.

– Dlaczego nie? Mnie nie wadzi, że jej matką była Marunna, a ojcem Krunnah. A ty się na dzieciach nie mścij za własne klęski. Tak, mój stary, dobrze mówię. Za klęski. I nie krzyw mi się tutaj. Myślisz, że ludzie zapomnieli, jak umizgiwałeś się do tamtej za młodu? Nie gadają o tym, bo nie ma o czym, ale pamiętają. I ja też.

– Nie gadaj byle czego – odparł młynarz. – Już dawno zapomniałem.

– Zapomniałeś czy nie, dziewczuszka zostanie. Krewni myśliwego z Błotnisk nie zechcą się o nią upominać, za biedni są, żeby brać sobie na kark jeszcze jedno dziecko. Zresztą Krunnah jak pokłócił się z bratem lata temu, to ze sobą do tej pory nie rozmawiali. Tylko Evah do nich czasami zachodził odwiedzić kuzynów. A Marunna wszystkich bliskich miała w naszej wsi.

– Chłopak może chcieć ją kiedyś zabrać – zauważył Merah.

– Wtedy będziemy się tym martwić – ucięła młynarzowa. – A teraz kładziemy się spać, jutro od świtu czeka robota.

Evah cichutko wycofał się na podstrysze, legł na sienniku. Za przepierzeniem pochrapywał basowo Henczko, a Reczko odpowiadał mu o wiele wyższym tonem.

Chłopiec po raz kolejny uświadomił sobie, że ojciec nie żyje, a matkę porwał Żelazny Kruk. Powiadano, że żywi się ludźmi, a oni, umierając, oddają mu w niewolę swoje dusze, co czyni go coraz bardziej potężnym i całkiem nieśmiertelnym.

– Pomszczę was – wyszeptał Evah.

Nadleciało wspomnienie chwili, kiedy stał nad grobem ojca.

Pochowali go pod starą gruszą rosnącą na tyłach obejścia. Drzewo było tak leciwe, że prawie nie dawało owoców, ale Krunnah nie zamierzał go ścinać, dopóki trzymało się zdrowe. „Smakują cudownie jedna czy dwie gruszki, kiedy urodzi je ta staruszka. Lepiej niż cały wóz z innych” – zwykł żartować. Oczywiście owoce ze starego drzewa wcale nie smakowały wyjątkowo, ale zasadził ją jeszcze pradziad myśliwego, a mówiono nawet, że jest jeszcze starsza. Krunnah traktował ją tak, jak możni tego świata klejnoty rodowe. Była pamiątką, a dbałość o nią świadczyła o szacunku dla przodków.

– Ziemi, przyjmij ciało swojego sługi – powiedział Henczko. Te słowa powinien wypowiedzieć kapłan, ale trzeba by go sprowadzić z grodu i opłacić. A Evah nie wiedział, gdzie ojciec chowa zaoszczędzony z trudem grosz. Kapłan nie zadowalał się skórami ani wędzonym mięsem.

– Przyjmij je – odrzekł Evah.

– Niech będzie mu lepiej w twoich objęciach, niż kiedy po tobie stapał – ciągnął dalej parobek. Wprawdzie nie potrafił wypowiedzieć dokładnie tych samych słów, co kapłan podczas obrzędu, ale ich sens był właśnie taki.

– Spoczywaj w pokoju, a twoja dusza niech uniesie się ku niebu, gdzie przyjmą ją bogowie i osądzą Przedwieczni – odpowiedział Evah. Również nie była to wierna formuła modlitwy, ale to musiało wystarczyć.

Kiedy skończyli, Evah poszedł po siostrę. Nakarmiona kozim mlekiem, nie spała wprawdzie, ale też nie marudziła. Przyglądała się w skupieniu małemu pajęczkowi, który spuścił się po nitce spod belki nad samą główkę dziecka i zastygł, zupełnie jakby chciał obejrzeć z bliska małą istotę.

– Poczekaj na mnie – rzucił Evah do Henczka. – Niech malutka też pożegna się z ojcem.

Stanął nad grobem z siostrą na rękach. I nagle poczuł niesamowitą rozpacz, pomieszaną z wściekłością i nienawiścią. Poszedł z powrotem pod szope,

wydobył spod sągu drewna ojcowy miecz, który tam przedtem schował. A potem wrócił nad grób.

– Przysięgam nad twoim grobem i na ten miecz, że pomszczę śmierć twoją i mamy. Pomszczę was po stokroć i tysiąckroć... – Słowa same wyrwały się z ust, płynęły nisko nad ziemią, osiadały w grudkach i zdawały się w nie wsiąkać. – Nie spocznę, dopóki nie znajdę tego potwora i nie zniszczę go całkowicie! Choćbym miał całe życie poświęcić, dokonam tego. Zwycięzę lub sam zginę...

Evah potrząsnął głową, odsuwając obraz ojcowego grobu. Jego przynajmniej mógł pochować, ale matka... Ona stanie się karmą bestii, a jej dusza pójdzie w niewolę.

Lecz jak dopiąć swego? Czy tymczasem miałyby się poświęcić pracy w młynie? Poczekać, aż dorośnie, i dopiero wyruszyć na poszukiwanie zemsty?

O nie! Jeśli nie zrobi tego zaraz, później może być coraz trudniej. Poza tym, im szybciej znajdzie potwora i unicestwi go, tym prędyj będzie mógł odebrać siostrę od młynarzy. Jeśli oczywiście nie zginie.

Poderwał się z siennika, sięgnął pod niską prycę po krótki miecz. Nie miał wiele do zabrania, więc już po chwili schodził po schodach cicho, żeby nie budzić gospodarzy. Młynarz może by nawet nie miał nic przeciwko temu, że Evah sobie pójdzie, ale Libba mogłaby go zatrzymać. Nie chciał się nikomu tłumaczyć. Lepiej jeśli zniknie bez śladu.

W połowie schodów zatrzymał się i zawrócił. Nie wszedł jednak do swojej izdebki, tylko pchnął drzwi tej, którą zajmowali bracia. Nie mógł przecież odejść zupełnie bez słowa.



Na widok Evaha krzątająca się przy naczyniach kobieta najpierw zamarła, a potem podbiegła do stojącego w progu chłopca. Dotknęła go ostrożnie palcem, upewniając się, że nie jest duchem, a potem chwyciła w objęcia.

– Mówili, że przeżyłeś i przytulili cię u młynarza. Rebah miał tam iść lada dzień, tyle że musiał się w pierw obrobić ze wszystkim. Zabrał zwierzęta z waszej zagrody, bo co było z nimi począć. Inni też podzielili się dobytkiem tych, co znikli. Oddamy ci kozę i drób, jeśli zechcesz sam gospodarzyć...

– Nie trzeba, stryjenko. – Evah podszedł do stołu, klapnął ciężko na ławę. Był okropnie zmęczony.

Z młyna do Błotnisk było sporo dalej niż do jego rodzinnej wsi. A nie szedł przecież prosto tutaj, musiał jeszcze po drodze wstąpić do domu, żeby pożegnać grób ojca i wziąć trochę świeżych zapasów, a potem zaszedł do ziemianki po ojcowy łuk i strzały. Wprawdzie miał swój, ale już z niego wyrósł, co niedawno zauważył Krunnah. Mieli sporządzić nowy, myśliwy przygotował nawet odpowiedni konar cisu, ale zabrakło czasu. Wprawdzie broń Krunnaha była dla

chłopca nieco zbyt mocna, ale Evah nie miał wyboru. A poza tym będzie przecież z czasem nabierał krzepy.

Oparł brodę na dłoni, upił łyk wody z kubka, który mu podała gospodyni.

– Weźcie też skóry, które ojciec miał wieźć na targ, i inne zapasy. Mnie się nie przydadzą. Skóry sprzedajcie i część zysku zanieście do młyna. Niech nie mówią, że karmią Arnilkę darmo.

– A co ty zamierzasz? – zapytała. – Myślałam, że zostaniesz, przyjmujemy cię chętnie, bo we młynie raczej cię nie będą dobrze traktować.

– Nie zostanę ani tam, ani u was – odparł Evah. – Widzicie, stryjenko? Wziąłem ojcowy miecz, łuk i wędzonego mięsa na drogę. O chleb bym was tylko poprosił.

– Dokąd niby chcesz pójść?! – Kobieta usiadła naprzeciwko chłopca, wpatrzyła się w jego twarz oczami wielkimi ze zdziwienia.

– Odnajdę Żelaznego Kruka i albo sam zginę, albo zgładzę potwora – odpowiedział Evah spokojnie.

Tym spokojem tak zaskoczył stryjenkę, że nawet się nie obruszyła. W chłopcu była jakaś przedziwna determinacja, kobieta miała wrażenie, że Evahowi przybyło dobrych parę lat. Dziecinne jeszcze niedawno rysy wyostrzyły się, oczy spoważniały. To nie był już ten dawny wesoły i skory do śmiechu dzieciak. Nieszczęście bardzo go zmieniło.

– Ale gdzie chcesz go szukać? – Załamała ręce. – Ma ponoć gniazdo gdzieś za górami, za lasami, tak daleko, jak jeszcze nikt z naszych stron nie zaszedł, nawet twój świętej pamięci ojciec...

Urwała, nie wiedząc, czy nie sprawia chłopcu przykrości wspomnieniem o zamordowanym. Ale on tylko potrząsnął głową.

– Znajdę go, powiadam wam. A jeśli go pokonam, wrócę po Arnilkę i zabiorę ją od młynarzy.

– Może my ją weźmiemy? – zaproponowała stryjenka. – Jakoś damy radę...

– Tam będzie jej na razie dobrze – wszedł jej w słowo Evah. – Młynarzowa zawsze chciała mieć córkę, zadba o małą. A u was gąb do wyżywienia nie brakuje, biedę klepiecie.

Spojrzał na kołyskę, w której fikał nóżkami jego niedawno narodzony kuzyn, potem na piec, za którym skrył się trzyletni może malec, przestraszony pojawieniem się uzbrojonego człowieka. Dawno nie widział Evaha, zdążył go trochę zapomnieć, a poza tym syn myśliwego prezentował się bardzo groźnie w oczach malca, taki smutny i poczerniały na twarzy.

– Prosiłem Henczka, parobka młynarza, żeby im przekazał, że wrócę i oddam wszystko, co się należy za utrzymanie Arnilki.

– A jeśli nie wrócisz? – spytała z obawą kobieta.

– Wtedy sami postanowicie, co robić i kto ma wychować malutką. Bo jeśli nie wrócę, to znaczy, że mnie już nie ma na tym świecie.

Stryjenka pokręciła głową, w jej dobrych oczach pojawiły się łzy.

– Nie mów tak, chłopcze – poprosiła. – I nigdzie nie idź. Zostań z nami. Przecież zginiesz gdzieś tam, a Żelaznego Kruka nie zdołasz ani znaleźć, ani tym bardziej zgładzić.

– To się jeszcze okaże – odparł twardo Evah. – Odplacę mu za rodziców, za wszystkich z wioski, za Verillę...

Kiedy wymawiał imię dziewczyny, głos mu się załamał. Już nigdy nie zobaczy jej ładnej buzi, nie usłyszy melodyjnego głosu i perlistego śmiechu, nie weźmie jej za rękę nad brzegiem rzeki, udając, że tylko pokazuje towarzysze wielką rybę.

Nikogo już nie było.

– Została mi tylko zemsta, stryjenko – rzekł, opanowując się. – Tylko zemsta! A kiedy jej dokonam, dopiero zacznę żyć. Przysięgłem to na grobie ojca i zamierzam dotrzymać słowa.

Kobieta milczała przez dłuższą chwilę. Kiedy się odezwała, głos miała stłumiony, matowy.

– Mówisz jak dorosły, nie jak dziecko... Bardzo teraz jesteś podobny do ojca. I to, co zdecydowałeś o Arnilce... Wszystko przemyślałeś, siedząc u młynarza, prawda?

– Miałem dużo czasu – przytaknął Evah. – I na rozpacz, i na rozmyślania. Proszę was tylko o jedno. Gdybyście się dowiedzieli, że małej dzieje się tam krzywda, zabierzcie ją. Młynarz czuje respekt przed stryjem, to wszyscy wiedzą.

– Biedni jesteśmy, ale swój honor mamy – odpowiedziała z ogromną powagą stryjenka. – Co tydzień będę chodzić do młyna, żeby sprawdzać, jak się dziewczuszka miewa. A i grosza jakiegoś od czasu do czasu zaniosę, nie tylko to, co ze sprzedaży skór uzyskamy.

– Dziękuję wam. – Evah wstał, ujął dłoń krewnej i ucałował ją. – Na mnie pora.

– Poczekałbyś trochę. Obiad ugotuję, na pole zaniosę Rebahowi i dzieciom. Pożegnasz się z nimi. A najlepiej prześpij się u nas, rano pójdiesz.

Evah potrząsnął głową.

– Nie, stryjenko. Będziecie mnie wszyscy namawiać, żebym został, stryj się pogniewa, jak to on, że nie słucham mądrzejszych. Przekażcie mu wyrazy mojego uszanowania. Szkoda, że nie zdążyli się z ojcem pogodzić, choć nie wiem, o co się w ogóle pogniewali.

– Żeby to oni sami pamiętali – westchnęła stryjenka. – Ale jeden i drugi zawzięty, trudno się takim godzić.

– A jednak ojciec zawsze powtarzał, że stryj to dobry człowiek. – Evah uśmiechnął się smutno. – Choć uparty jak osioł. Myślę, że by się z czasem uładzili. Ale tego już się nie dowiemy.

Wzrok mu stwardniał, twarz ściągnęła się w bolesną maskę.

– Zostańcie w zdrowiu. Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy.

– I ja mam taką nadzieję – szepnęła kobieta. – Niech cię bogowie prowadzą... I wracaj jak najszybciej.

– To już jak los pozwoli.

Evah wyszedł z domu, skierował się do furtki. Przez głowę przemknęła mu myśl, że może przecież zawrócić, zostać, a nie tułać się po świecie, nadstawiając karku, ale zaraz ją odgonił.

Żadnej przysięgi nie wolno łamać, a już szczególnie złożonej na grobie ojca.

Szedł drogą prowadzącą ku traktowi do grodu. Skądś musiał zacząć poszukiwania Żelaznego Kruka, postanowił więc zasięgnąć języka w znanym sobie jako tako miejscu. Do grodu zjeżdżali kupcy z bliższych, ale i dalszych stron, od nich może zdoła dowiedzieć się, dokąd kierować kroki, żeby zdobyć dalsze wiadomości.

Nie łudził się, że ktoś mu od razu wskaże miejsce, w którym bestia ma siedzibę. Gniazdo, czy co to w ogóle jest. Ptaki zazwyczaj mieszkały w gniazdach albo dziuplach. Ale ptaki to raczej niewielkie stworzenia, nawet orły czy jastrzębie. A potwór, który potrafi porwać całą wioskę?

Wbrew sobie, bojąc się i wręcz brzydząc takich rozważań, Evah zaczął się zastanawiać, czy Żelazny Kruk pożera ofiary na miejscu, czy też zabiera je ze sobą w jakiś sposób. I jak to możliwe? Miał jakieś miejsca pod skrzydłami? Na grzbiecie? A może tak ukształtowane nogi, że mieścił zdobycz w zaciśniętych pazurach niczym w jakichś klatkach? W końcu wraz z nim podróżowali ciężkozbrojni słudzy, więc musiał istnieć jakiś sposób latania z obrzydliwym stworem.

Evah potrząsnął głową, odganiając myśli, ale zaraz uświadomił sobie, że nie powinien przed nimi uciekać. Jeśli chce dokonać pomsty i zniszczyć Kruka, powinien, a nawet musi rozmyślać nad podobnymi sprawami, chociaż jest to bardzo przykre.

Obejrzał się jeszcze na Błotnisko. Wioska nazwę wzięła od otaczających ją mokradeł. Nie były to jeszcze bagna, bo prawdziwe grzęzawiska rozciągały się na zachód i południe od osiedla, ale wilgoć wisiała tutaj w powietrzu przez większość roku, wyjąwszy największe upały i ostre mrozy. Niewiele tutejsi rolnicy zbierali zboża, zupełnie inaczej niż w Przyrzeczu, ale okolica doskonale nadawała się do hodowli błotnych owiec i roślin uwielbiających mokłą ziemię.

Czy kiedyś jeszcze powróci w te strony? Westchnął w duchu. To już nie zależało tylko od niego. Podjął grę, w której mógł zginąć. A gdyby zapytać

kogokolwiek rozsądnie myślącego, powinien wręcz zginąć.

Evah machnął ręką i uśmiechnął się po raz pierwszy od strasznej nocy.

Co ma być, to będzie. Nie mógłby spokojnie żyć i pracować dla młynarza, wiedząc, że bestia, która skrzywdziła jego bliskich, panoszy się gdzieś na świecie, spada na głowy niewinnym ludziom i pożera ich ku własnemu zadowoleniu.

Rozdział 6

Gród



W pierwszej chwili strażnik na bramie wyciągnął do chłopca rękę, żeby otrzymać jakiś grosz albo inny prezent. Takie panowały tutaj obyczaje, a ojciec mówił, że nie tylko tu. W leżącej o siedem dni drogi wielkiej Salmarze podobno nie można było wejść za mury bez datku. Był sowity, przynajmniej jak na możliwości ubogich rolników, dlatego często zrzucali się na należność i tylko jeden z nich wjeżdżał z towarem zebrany od wszystkich innych, a reszta czekała przed bramą. Tam stanowiło o tym prawo, a strażnicy otrzymywali jedynie drobną część zebranych pieniędzy, gdyż reszta płynęła do księżęcej kasy, ale w niewielkiej Rukce – jako się rzekło – wynagradzanie wartowników należało do zwyczajów. Baron płacił im dość skromny żołd, nie wnikał więc, ile zdołają złupić z przybywających.

– Nic nie mam – rzekł Evah do uzbrojonego w krótką włócznię i zaniedbany miecz mężczyzny.

Strażnik przyjrzał się uważnie chłopcu.

– Ja cię znam – powiedział. – Przychodziłeś z ojcem handlować skórami. Jesteś z Przyrzecza?

– Tak. – Evah pokiwał głową, a na twarzy strażnika zagościło współczucie.

– Jeden ocalałeś – mruknął i klepnął chłopca w ramię. – Przechodź, od sierot nie biorę.

Evah podziękował i przeszedł przez kamienną bramę, zwieńczoną dwiema drewnianymi wieżyczkami. Rukkę trudno by nazwać bogatym grodem, choć nie należała też do ostatnich. Pan na zamku górującym nad okolicą dbał o swoje włości, jak umiał najlepiej, jednak nie należał do wysokiego rodu, więc nie mógł liczyć na poważne wsparcie ze skarbu królewskiego. Tak przynajmniej mówił ojciec, ale zabraniał synowi gdziekolwiek to powtarzać, jako że baron Edmir

Salazar di Rukkon miał o sobie bardzo wysokie mniemanie, głosił się równym najważniejszym osobom w państwie. To była jedna z jego słabości. Drugą stanowiła żona, która tak naprawdę rządziła baronią, ale o tym też lepiej było głośno nie mówić.

Chłopiec wszedł na główną ulicę i jak zwykle przystanął, olśniony i onieśmielony panującym ściskiem oraz mnogością straganów. To nie był wprawdzie czas dużego jarmarku, ale nienawykłemu do obecności tylu ludzi Evahowi wydawało się, że wszedł do wielkiego ula. W uszy uderzył go gwar, zabrzmiały pokrzykiwania, gdakanie i gęganie drobiu przeznaczonego na sprzedaż. Gdzieś zakwiczała świnia, zaryczała krowa. Handlowano wszystkim, czym się dało.

Evah poczuł się zagubiony. Kiedy przybywał tu z ojcem, zdawał się na niego. Doświadczony i obyty w świecie Krunnah twierdził, że Rukka to zaledwie pyłek w porównaniu z naprawdę wielkimi miastami i ich ruchliwym życiem, które nie zamierało nawet po zmroku. Chłopcu nie chciało się w to wierzyć. Nie to, żeby podejrzewał rodzica o kolorowanie rzeczywistości czy wręcz kłamstwo, ale przypuszczał, że myśliwy co nieco przesadza. Jakże to możliwe, żeby panowały jeszcze większy ruch i hałas? I żeby ludzie po zapadnięciu ciemności nie zamykali się w domach? Przecież kiedy nocowali w Rukce, strażnicy pilnowali, aby nocą po grodzie nie kręcił się ktoś niepotrzebnie, ogłaszali ciszę i kazali gasić światła. Kto by chciał ukryć się do rana w jakimś zaułku, narażałby się na spędzenie przynajmniej trzech dni w lochach zamkowych.

Do zmierzchu pozostało jeszcze parę godzin, więc Evah nie śpieszył się zbyt. Dom przyjaciela ojca, u którego zawsze się zatrzymywali, jeśli mieli spędzić w grodzie dłużej niż jeden dzień, znajdował się niedaleko. Chłopiec zagłębił się więc między stragany. Ludzie dookoła śpieszyli się w jakichś sprawach albo próbowali wytargować lepszą cenę od handlarzy, zupełnie nie zwracali uwagi na samotnego młodego człowieka. Po niedługim czasie Evah zaczął się przyzwyczajać do gwaru, dostrzegał coraz więcej szczegółów, oszołomienie tym całym rozgardiaszem mijało i zaczął w nim widzieć pewien porządek. Zawsze tak było, kiedy zjawiał się w Rukce. Okazywało się, że wprawdzie ludzie robią często rzeczy przypadkowe, lecz i one wpisują się w zasady tego małego świata.

Strażnicy robili obchody placu targowego, ale oni nie musieli się przeciskać przez tłumek. Wszyscy rozstępowali się przed uzbrojonymi mężczyznami, a kto by nie zdążył, dostawał kuksańca twardą pięścią lub nawet uderzenie tępym końcem włóczni.

Evah, dzięki wszechobecnemu gwarowi, zdołał chociaż na chwilę pozbyć się myśli o tym, co się stało w jego rodzinnej wsi. Nie odeszły wprawdzie zupełnie,

ale przesunęły się gdzieś w głąb świadomości, drażniące wprawdzie, ale przynajmniej już nie kolące.

Zatrzymał się przed straganem z nożami. Zawsze przy nim stawał, kiedy przychodził do grodu. Sprzedawca skinął mu głową, ale nie zagadał, bo właśnie targował się z kupującym, któremu doskonałe błękitne ostrze zdawało się zbyt drogie. Chłopiec westchnął. Tylko raz w życiu miał okazję kupić coś od nożownika. Pewnego razu ojciec otrzymał za skóry i wędzone mięso więcej, niż się spodziewał, dał więc synowi kilka miedziaków, a ten nabył krótki nożyk ze składanym ostrzem. Mógł wziąć większy i solidniejszy w tej samej cenie, ale ten mu się bardzo spodobał. Zresztą rzemieślnik pochwalił jego decyzję. „Niektórzy patrzą tylko, żeby jak najtaniej dostać stalową klingę, nie zważają przy tym na jakość oprawy. A ten nóż to doskonałe ostrze i świetnie zrobiona rękojeść. Przy scyzorykach inaczej się nie da”. Evah zapamiętał dokładnie słowa nożownika, bo mógł później mówić, że nabył nie jakiś tam sobie sztylecik, ale prawdziwe dzieło kunsztu rzemieślniczego.

Zapatrzył się na myśliwski nóż, leżący z samego brzegu. Ktoś go oglądał i tam właśnie odłożył, chociaż tak cenny i piękny przedmiot powinien leżeć na środku straganu.

I kiedy tak patrzył, dostrzegł szczupłą rękę, pełznącą w stronę noża. Podążył wzrokiem w górę wystającego z szarego rękawa nadgarstka. Zobaczył młodego mężczyznę, a właściwie jeszcze chłopca, który opierał się niedbale ramieniem o podtrzymujący dach drewniany słupek. Minę miał znudzoną, zamyślane spojrzenie błędziło gdzieś w dali. Tylko ta ręka pełzła powoli, ale nieubłaganie ku łakomemu kąskowi.

Evah, niewiele myśląc, podskoczył do złodzieja, chwycił go za przedramię.

– Zostaw, nie twoje! – wysyczał.

Lubił sprzedawcę noży i nie chciał, żeby ktoś przysparzał mu strat. A poza tym kradzież to przestępstwo i grzech.

– Odczep się! Coś ci się ubzdurało!

Starszy od Evaha chłopak wyszarpnął rękę. Ale syn myśliwego natychmiast ją przejął. Stali naprzeciwko siebie, dysząc z wściekłości i patrząc sobie w oczy. Wokół nich zrobiło się zaraz zbiegowisko. Właściciel straganu pośpiesznie zabrał drogą klingę i położył ją na ławie w głębi kramu.

– Wiesz, co robią złodziejom w tych stronach? – spytał Evah.

– Ucinają rękę? – spytał z krzywym uśmiechem intruz. – Nie opowiadaj, bo tak robią tylko daleko na wschodzie.

– Łamię po kolei wszystkie palce – burknął Evah. To nie była prawda, złodzieja czekałby loch i parę batów, ale ten chłopak nie musiał tego wiedzieć. Chociaż był starszy od syna myśliwego, przewyższał go zaledwie o dwa palce, a budowę miał szczupłą. Można by go nawet bez ryzyka nazwać chuderlawym.

Wyróżniała go czupryna – jasna, z rudawymi pasmami, układająca się w fale, spiętrzona nad czołem. Niesforny kosmyk opadał na twarz złodziejaszka, a ten odrzucał go mimowolnym ruchem głowy.

– Puszczaj! – zażądał grzywiasty. – Nic nie ukradłem!

– Bo nie zdążyłeś – odparł Evah. – Ale chciałeś.

– Masz świadków?

Blondyn rozejrzał się po otaczających ich ludziach, a potem zwinnym ruchem wykręcił rękę.

– Jeszcze się kiedyś spotkamy! – zagroził Evahowi, zanim zanurkował pod nogi gapiów.

Ktoś próbował go złapać, ale grzywiasty okazał się zwinny jak piskorz. Evah popędził za nim, jednak szybko stracił spryciarza z oczu.

– Chłopcze, ten drab chyba zdążył cię jeszcze oskubać – powiedział nożownik, wychylając się nad straganem i patrząc na pas chłopca.

Rzeczywiście, po sakiewce zostały tylko odcięte końce rzemienia.

– Kiedy to zrobił? – zdumiał się Evah.

– Lepiej powiedz, czy dużo straciłeś – rzekł właściciel straganu.

– Będzie zdziwiony, kiedy otworzy – odparł chłopiec. – Stara była i powycierana, ale i tak więcej warta niż to, co w środku.

– A co w niej miałeś? – Nożownik wyszedł przed kram, gestem nakazując pomocnikowi, żeby zajął jego miejsce.

– W zasadzie tylko powietrze. – Evah rozłożył ręce. – I kilka kawałków suszonego mięsa. Miedziaki mam w drugiej sakiewce, za kołnierzem.

Rzemieślnik roześmiał się.

– No to rzeczywiście będzie wściekły.

Nagle spowaźniał, przyjrzał się chłopcu uważnie.

– Wybacz niewczesną wesołość – mruknął. – Dopiero mi się przypomniało, że ty jesteś synem myśliwego. Tego, co go w Zarzeczcu zabili słudzy potwora.

Evah skrzywił się, kiedy wspomnienia wróciły i uderzyły z całą mocą.

– Zjesz u mnie obiad – zarządził nożownik. – Nie zostawię sieroty na pastwę losu. Co tu w ogóle robisz? Nie powinienes przytulić się gdzieś u rodziny?

– Długo by mówić – wykręcił się od odpowiedzi Evah. Nie miał ochoty wysłuchiwać, że porywa się z motyką na słońce. – A za gościnę serdecznie wam dziękuję, mistrzu. Pójdę do mistrza Rinnaha, znacie go przecież, mieszka niedaleko.

Tłumek wokół nich rozpraszał się, widząc, że nic ciekawego już się nie stanie.

– Znam, znam. Przecież to kompan twojego ojca. – Nożownik nie był w ciemieniu bity. Zlustrował uważnie postać chłopca. – Wzięłeś miecz, łuk, oba pewnie należały do twojego rodzica. W podróznym worku jak nic masz coś na

przebranie i trochę jedzenia, koc zrolowany, przerzucony przez ramię i umocowany do pasa, buty porządnie natłuszczone... Wyruszasz w drogę, to jasne. Ale dokąd?

Podrapał się w porośniętą siwiejącą szczecinę brodę.

– Dokąd może udawać się sierota po myśliwym i żołnierzu w takim stroju? Będziesz szukał stwora?

– Skąd wiecie? – zdumiał się Evah. – Przecież mogę iść dokądkolwiek, choćby w służbę do jakiegoś pana, albo zaciągnąć się do wojska.

– Do wojska cię jeszcze nie przyjmą. Za młody jesteś. Do służby jako byle pacholek nadajesz się mało. Hardość odziedziczyłeś po ojcu, to widać. Umiesz niewiele, może jedynie polować. Po co więc innego ruszałbyś w drogę, jak nie mścić się za krzywdy?

Evah pokręcił z podziwem głową.

– Mądrzy jesteście, mistrzu. I proszę was, nie próbujcie mnie od tego odwozić.

– Nie zamierzam, chłopcze. Za dużo w życiu widziałem, żeby mówić innym, co mają robić. Rozważ tylko, czy warto nadstawiać głowę po to, by ją na koniec stracić. Bo że zginiesz, to pewne.

Zamilkł na chwilę, a potem spojrzał bystro na Evaha.

– Skoro nie chcesz, żebym cię ugościł, przyjmij chociaż podarunek. Nie tylko za to, żeś spłoszył złodzieja, ale na drogę z serca ci to daję.

Wrócił za stragan, wziął coś z ławy.

– I tak by padł łupem tego niegodziwca – rzekł, podając chłopcu myśliwski nóż. – Niech ci służy.

Evah cofnął wyciągniętą już rękę. Spodziewał się raczej jakiegoś ostrza do oprawiania ryb, może mniejszej klingi, pomocnej w codziennym życiu, ale nie tego wspaniałego okazu!

– Nie godzi się, mistrzu – powiedział zmieszany. – Jakże mam to przyjąć? Nic wielkiego nie uczyniłem.

– Wartość twojego czynku już ja docenię! – fuknął nożownik. – Ale spodziewałem się, że będziesz się wzdragał. Honorny jak ojciec. Dlatego dodam jeszcze porządną pochwę, a nie takie byle co, w jakim jest teraz.

– Ależ mistrzu – próbował protestować Evah, ale rzemieślnik go nie słuchał.

– Przestrzegaj w życiu zasady: „Jak dają, bierz, jak biją, uciekaj”. Albo walcz, bo tobie do tego na pewno bliżej. W każdym razie, jeśli nie przyjmiesz podarunku, poczuje się urażony. Czyżby moje wyroby były tak marnej jakości, że nawet darmo ich nie chcesz?

Evah roześmiał się mimo woli i zrezygnował z oporu.

– Wiecie doskonale, mistrzu, że trudno o lepsze klingi niż wasze – powiedział.

- Będziesz miał do pary z tym krótkim mieczem – podsumował rzemieślnik.
- Dziękuję, mistrzu – bąknął Evah, przypinając nóż do pasa. – Odwdzięczę się z nawiązką, jak wrócę.
- A odwdzięczaj się, jak chcesz – mruknął nożownik. – Tylko najpierw wróc. Szkoda cię, chłopcze, naprawdę szkoda.



Rinnah był przeciwieństwem ojca Evaha – wysoki i potężny, można by rzec, że wielki, hałaśliwy i niezgrabny. Chociaż to ostatnie mogło bardzo zmylić nieuważnego obserwatora. Gdyby się przyjrzeć bliżej, bez trudu można by dostrzec płynność ruchów, wręcz kocią grację, szczególnie jeśli mężczyzna wzmagał czujność. Ale poza tym Rinnah rzeczywiście potrafił zrzucić przypadkiem ze stołu stos talerzy, potrącić własną żonę potężną łapą, a potem ją długo przeproszać, wrzucić wiadro do studni i wydobywać je bosakiem przez pół dnia.

Własna nieporadność w takich chwilach zdawała się bawić Rinnaha. Ale ojciec zawsze mówił, że trudno o groźniejszego żołnierza na polu walki. Kilka, a może i kilkanaście razy ratowali sobie nawzajem życie. Braterstwo broni przetrwało przez te lata, odkąd zostali zwolnieni z armii.

– Już do mnie dotarło, żeś uratował mistrza nożowników przed kradzieżą – zahuczał mężczyzna, kiedy tylko Evah przekroczył próg domu. – I że otrzymałeś za to iście królewską nagrodę. A przynajmniej godną urodzonego barona.

– Skąd wiesz, stryju? – Chłopiec od zawsze zwracał się do Rinnaha, jakby byli blisko spokrewnieni. – Toż to zdarzyło się ledwie chwilę temu.

– Po Rukce wieści rozchodzą się z prędkością błyskawicy. – Rinnah się uśmiechnął. – Im więcej gdzieś się zgromadzi ludzi, tym szybciej. Nie dziw się. Wystarczy, że Gorog, znasz przecież naszego sąsiada, wyszedł po rzepe, z miejsca się wszystkiego dowiedział. Zaraz przyleciał do mnie i przekazał wieści. I bez tego domyślałem się, że prędzej czy później przyjdiesz, nie będziesz siedział beczynnie. Za bardzo wdałeś się w ojca.

Spoważniał, przyjrzał się uważnie przyszywanemu bratankowi, w jego wzroku pojawiła się troska.

- Jak się trzymasz, chłopcze? Nie co dzień traci się całą rodzinę.
- Evah przełknął z trudem ślinę, powstrzymał łzy cisnące się do oczu.
- Została mi Arnilka.
- To też już wiem. – Rinnah pokiwał głową. – Zostawiłeś ją u młynarzy. Różnie, choć mogłeś małą do nas przynieść.

– Musiałbym ją wykradać po nocy – odparł Evah. – Młynarzowa jak nic podniosłaby larum na całą okolicę, a nie chciałbym kobiety tłuc po głowie, żeby ucichła. A ty, stryju, masz dość własnych trosk i nie przelewa się u ciebie. Jak

wrócę, zapłacę młynarzom wszystko, co do grosza za opiekę nad małą. Byle tylko jej nie krzywdzili, ale to już stryjostwo z Błocisk przypilnują.

– I ja tam czasem zajrzę – mruknął Rinnah. – Strzeżonego bogowie strzegą.

Wskazał chłopcu miejsce przy szerokiej ławie w głównej izbie.

– Zaraz będzie obiad. Farunna! – huknął tak potężnie, że zadrżały szklane gomółki w oknach. – Kiedy podasz obiad? Nie leń się swoim zwyczajem! Gość już przyszedł!

– Zaraz, stary grzybie! – odpowiedziała z głębi domostwa kobieta. – Nie wrzeszcz tak, bo Levaha obudzisz!

Evah uśmiechnął się mimo woli na tę wymianę uszczypliwości. Rinnah i Farunna nie widzieli świata za sobą, chociaż dla kogoś patrzącego z boku mogłoby się wydawać, że ich związek jest dość szorstki. Nic bardziej mylnego. Kochali się na zabój, mieli siódemkę dzieci, a tęgi mężczyzna twierdził, że to nie jest jego ostatnie słowo.

Wprawdzie maleńki Levah nie obudził się od tych krzyków, przyzwyczajony do harmidru, ale za to po schodach zbiegła ruchliwa kuleczka i zaczęła podskakiwać przy Evahu. To była córka Rinnaha, Nabenna, która wyjątkowo upatrzyła sobie chłopca. Okazywała mu sympatię i przywiązanie, jakby byli kochającym się rodzeństwem i widzieli codziennie, a nie raz na jakiś czas.

– Zostaniesz u nas? Zostaniesz? – dopytywała dziewczynka. – Proszę, zostań! Jak nie masz już mamusi i tatusia, to mój tatuś będzie też twój!

– Naba, nie gadaj byle czego! – fuknął na córkę Rinnah i spojrzał przeproszająco w oczy gościa. – Wybacz, małe to, niewiele rozumie.

– Nie szkodzi, stryjku – odparł Evah, znów z trudem powstrzymując wzruszenie. – Przecież to tylko dziecko. Współczuje i chce pomóc, jak umie. Nie mogę zostać, Nabenko – powiedział do dziecka. – Ale obiecuję, że kiedy wrócę, przywiozę ci jakiś ładny prezent.

Dziewczynka posłała mu promienny uśmiech.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

W tej chwili na progu korytarzyka wiodącego do kuchni pojawiła się Farunna. Rzuciła okiem na męża i chłopca, a potem ruchem brody wskazała im drzwi prowadzące do warsztatu Rinnaha.

– Tam lepiej zjedzcie. Musicie porozmawiać, a przy dzieciach się nie da. Zaraz zaczną rozpytywać i pocieszać Evaha.

Przeszli do pomieszczenia. Chłopiec jak zwykle z przyjemnością wciągnął w nozdrza zapach sezonowanego dobrze drewna, pokostu, kleju i metalu, spojrzał na długi rząd różnych rozmiarów dłut oraz drewnianych młotków, rozłożonych na blacie pod ścianą. Rinnah był znakomitym snycerzem, fach i narzędzia odziedziczył po ojcu, podobnie zresztą jak dom. Gdyby nie mnogość potomstwa,

byłby pewnie całkiem zamożnym rzemieślnikiem. Ale odkładał każdy grosz, żeby zapewnić dzieciom przyszłość. Najstarszy z jego synów uczył się w Salmarze, kończył szkołę elementarną i niebawem miał wstąpić do klasztornego gimnazjonu. Ojciec najchętniej posłałby go na uniwersytet w dalekiej Metanurii, ale na to nie miał dość pieniędzy. Musiał myśleć przecież również o innych dzieciach. Warsztat snycerski chciał przekazać trzeciemu w kolejności synowi, który wykazywał spory zapał do tej pracy.

Usiedli przy dużym stole, umieszczonym pod oknem pracowni. Jak przystało na sprzęt w takim przybytku, jego blat zdobiły liczne rzeźbienia. Tyle że niekoniecznie pasowały jedno do drugiego. Prawda była taka, że tego stołu Rinnah nie zdobił dla własnej przyjemności, ale wypróbowywał na nim nowe wzory i sprawdzał świeżo nabyte narzędzia. Niewiele pozostało już na nim wolnego miejsca, a gruby blat z solidnych desek stryj heblował na gładko bodaj trzy razy za pamięci Evaha, żeby zrobić miejsce na kolejne próby.

– Zostaniesz u nas? – zapytała Farunna, kiedy przyniosła polewkę rybną w glinianym garnku i postawiła miski. – Chętnie cię przyjmiemy, przecież wiesz.

– Dziękuję, cioteczko – odparł Evah. – Ale wyruszam w drogę.

– W drogę?! – Farunna potrząsnęła głową tak mocno, że kasztanowe kędziory zatańczyły w powietrzu. – Dokąd niby chcesz pójść?

– Mścił się będzie – burknął Rinnah. – A ty myślałaś, że co? Syn Krunnaha nie będzie siedział beczynnie i czekał, aż bestia dopadnie także jego.

Żona snycerza strzepnęła niecierpliwie dłonią.

– Tak, słyszałam już, co odpowiedział mistrzowi Nabadiemu.

Evah pomyślał, że wieści w grodzie rozchodzą się jeszcze szybciej, niż sądził Rinnah, skoro zajęta przygotowywaniem posiłku niewiasta zdążyła się już wszystkiego dowiedzieć. A Farunna ciągnęła dalej:

– Nie wiem, czy to rozsądne, żeby chłopiec rzucał wyzwanie Żelaznemu Krukowi. Nawet w zabawie to nieroztropne, ale on, jak mi się zdaje, chce to uczynić zupełnie poważnie.

Teraz to Rinnah uczynił niecierpliwy gest.

– Daj nam porozmawiać, kobieto! – fuknął. – To nie na twój rozum.

– A może na twój, stary grzybie? – odpaliła Farunna. – Ale jak chcesz, gadajcie sobie do woli, byle z tego co dobrego wyszło, a nie nowe nieszczęście.

Kiedy wyszła, zapanowało długie milczenie. Przerwał je wreszcie gospodarz.

– Jesteś pewien? – zapytał.

– Nie próbuj mnie od tego odwodzić, stryjku – zastrzegł się Evah. – Nie mogę postąpić inaczej.

Rinnah westchnął ciężko.

– Powiniennem cię zniechęcać ile sił – rzekł. – I dlatego proszę, żebyś wszystko jeszcze raz przemyślał. Prześpij się z tym, może nawet niejedną noc, i

zastanów się, czego by chciał twój nieżyjący ojciec.

– Dobrze, stryjku. Zostanę u was na tę noc i może następną. Pomyślę.

Rinnah pokiwał głową. Obaj doskonale wiedzieli, że chłopiec zdania nie zmieni. Snycerz byłby zdumiony, gdyby tak się stało. Tak, byłby zdumiony i zadowolony, nie mówiąc już o jego ukochanej żonie, która by chciała Evahowi nieba przychylić.

Nie miał jednak wielkich złudzeń. Jeśli chłopiec naprawdę wdał się w ojca, uczyni, co zamierzył, i nie pozwoli sobie w tym przeszkodzić.

– Porozmawiajmy całkiem szczerze – powiedział snycerz po chwili milczenia. – Wiem, że choćbyś i rok myślał, zrobisz, co postanowiłeś. I nie tylko dlatego to wiem, że jesteś synem Krunnaha, ale też z tej przyczyny, że zrobiłeś wszystko, aby zapewnić sobie spokojną głowę na czas tej szalonej wyprawy. Bo domyśliłem się, dlaczego tak naprawdę zostawiłeś siostrę młynarzom. Wcale nie z tego powodu, że młynarzowa narobiłaby po nocy krzyku. Mogłaby wrzeszczeć, ile chce, ale siostra jest twoja, ty zaś w żadnym stopniu nie zależysz od Libby czy jej męża. Nie mają nad tobą władzy. I nie dlatego również, żeby to był dla mnie kłopot. Może u nas, jak to zgrabnie ująłeś, nie przelewa się zbytnio, ale biedy też nie cierpimy. Grzech byłoby narzekać, bo mamy co jeść, dach nad głową, a często wpadnie dodatkowy zarobek, wówczas możemy siebie i dzieciśka w dobre rzeczy obkupić. Wiem, czemu nie dałeś jej pod opiekę stryjostwu. Też nie ze względu na ich ubóstwo. Wszak dziecku lepiej pośród przyjaznych ludzi, nawet jeśli czasem głodne pochodzi, niż w dobrobycie, ale u obcych. Obawiasz się po prostu, że Kruk może spaść też na Błotniska, a nawet nawiedzić nasz gród. Do młyna na pewno zaś nie zawita, bo cóż mu za zysk z paru ludzi.

Evah uciekł ze wzrokiem. Przyjaciel ojca zawsze sływał z przenikliwości. Dobrze, że stryjenka z Błotniska nie wykazała się taką domyślnością. A jeśli nawet coś tam pomyślała, zostawiła to dla siebie.

– Nie bądź gniewny, stryju. To prawda, że boję się, by i ona nie padła ofiarą potwora. Ja za nią teraz odpowiadam, a nie mogę ruszać w drogę i jednocześnie zostać, by się nią zająć.

– Nie powinieneś przeproszać, że dbasz o siostrę. – Rinnah pochylił się do chłopca, położył mu dłoń na ramieniu. – Pragniesz, aby była jak najbardziej bezpieczna, dlatego dokonałeś takiego wyboru. I być może masz słuszość. Skoro Żelazny Kruk pojawił się w naszej baronii, do której bodaj jeszcze nigdy nie zawitał, może to oznaczać, że szuka nowych terenów łowieckich. A to by znaczyło, że wszyscy jesteśmy zagrożeni.

Evah spojrział z wdzięcznością na snycerza, a ten uśmiechnął się i wskazał mu zastawiony stół.

– Jedzmy. Na wieczerzę Farunna przygotowuje coś smacznego. Kiedy tylko dowiedziała się, że jesteś w Rukce, pobiegła po przyprawy do kupca korzennego. A jutro rozważymy wszystko, damy ci na drogę prowiant i parę groszy do trzosika.

– Ależ stryju, nie potrzeba...

– Potrzeba – rzekł z wielką powagą Rinnah. – A jak wrócisz, poszukamy tego srebra, które zgromadził Krunnah na czarną godzinę.

– Wiesz, gdzie ono jest? – spytał z ożywieniem chłopiec.

– Nie wiem, ale mogę się domyślać – odpowiedział snycerz i lekko się uśmiechnął. – Znałem tego uparciucha lepiej niż inni. Jednak niech sobie spokojnie leży i czeka.

– Ale jeśli nie wrócę, obiecujcie, że weźmiecie je dla siebie... I Arnilkę również.

– Obiecuję – odparł ze wzruszeniem w głosie Rinnah. Ale zaraz wziął się w garść i zmarszczył brwi. – Jedz już, bo polewka zupełnie wystygnie!

Zabrali się do posiłku.

Rozdział 7

Baron di Rukkon



Evahowi nie udało się wyruszyć ani nazajutrz, ani nawet po dwóch dniach. Jeszcze tego samego wieczora, kiedy wraz ze snycerzem i całą jego rodziną jedli kolację, niespodzianie zjawił się posłaniec z zamku i oznajmił z mocno skwaszoną miną, patrząc nie na gospodarza czy chłopca, ale na stół.

– Nasz pan, baron Edmir Salazar di Rukkon, pragnie rozmawiać z tobą, Evahu, synu Krunnaha. Masz się pojawić w kasztelu pojutrze, gdy słońce wzbije się nad wieżę świątyni.

– Czyli około jedenastej – mruknął Rinnah.

Nieraz kpił z tego, że ich baron taki jest dumny z nazwiska i pochodzenia, a nie stać go na zegar, który mógłby umieścić jeśli nie na dużej świątynnej wieży, to gdzieś na zamku, żeby był zewsząd widoczny. Ale ponieważ gospodarzyć umiał pan na Rukce niezbyt dobrze i wiecznie brakowało mu gotówki, nadal korzystano z gnomonów, czyli czasomierzy słonecznych, które nader często zawodziły, jako że przez dużą część roku nad całą okolicą wisiały ciężkie chmury. Właśnie dlatego, że nie było go stać na mechaniczny zegar, baron nie cierpiał, kiedy ktoś określał pory dnia nową modłą. Trzeba było posługiwać się albo zapisem godzin z zegara słonecznego, albo położeniem słońca względem wieży świątynnej, zamkowej lub ratuszowej.

– Kiedy słońce wzbije się nad wieżę świątyni – powtórzył z naciskiem herold. Wciąż wlepiął spojrzenie w stół, na którym królował ogromny indyk. Gospodyni przyrzędziła go z okazji powitania i zarazem pożegnania chłopca.

Rinnah pochwycił wzrok urzędnika.

– Może zjesz z nami, mości Roviku? – zaproponował, kiedy niespodziewany gość przełknął ślinę za sprawą wspaniałego zapachu. – Wystarczy dla wszystkich.

– Z ogromną przyjemnością. – Herold się uśmiechnął. Porzucił oficjalny ton i przestał wyglądać na tak nadętego, jak w chwili, kiedy wszedł. – Widzicie, mistrzu, dzisiaj na zamku mamy dzień sałaty. Wczoraj był dzień rzodkwi, a wcześniej... Aż mi się nie chce mówić.

Rinnah roześmiał się tubalnie.

– Czyżby nasz najlepszy z baronów wciąż trzymał jako kucharza tego przybysza z dalekiego południa?

Rovik skrzywił się z niechęcią.

– Dobrze wam sztydzić, mistrzu. Wam nikt nie każe spożywać korzonków i roślin każdego dnia. I to nie tyle baron hołubi kucharza, co jego małżonka. Jego miłość sam najchętniej wrzuciłby tego niby mistrza kuchni do fosy i zjadłby coś zwyczajnego, napełnił brzuch jeśli nie uczciwym mięsiwem, to przynajmniej suto okraszonym żurem albo gęstą piwną polewką.

Evah słuchał z ciekawością. Początkowo zrobił się zły jak osa na przybycie herolda, bo chciał już ruszać w drogę. Ale teraz nawet był rad, że trochę się podróż przesunie. To, co działo się na dworze barona, było niezmiernie interesujące, a przecież nie miał o podobnych sprawach najmniejszego pojęcia.

– A, bo trzasnąłby pięścią w stół chociaż raz i postawił na swoim – rzekł snycerz.

– Sami nie wiecie, co mówicie, mistrzu – odparł Rovik. – Toż gdyby się pani sprzeciwił, następnego dnia kazałaby pakować kufry i wyjechała do matki. A wiecie, jak wielkim uczuciem darzy ją baron.

– Ją i jej posag – mruknął Rinnah. – Gdyby się za nią swego czasu nie wydał, już by mu lichwiarze zamek zabrali na poczet długów.

– Nie da się zaprzeczyć – potwierdził herold. – Ale też trafiła się naszemu panu nie tylko majątna, lecz także niezmiernie piękna żona. Pieniądze pieniędzmi, ale kocha ją nad wyraz.

– Pewnie tak – zgodził się gospodarz, wciąż z nieco kpiącym uśmiechem. – Inaczej z pewnością nie wytrzymałby pomysłów jej miłości. Szczególnie tych kuchennych. Baron zawsze lubił dobrze zjeść...

Rinnah spojrział na indyka, a potem na żonę. Ta skinęła głową.

– Ale dość na razie gadania, jedzmy już.

Wziął wielki nóż i równie okazały dwuzębny widelec i zaczął kroić soczyste mięso. Evahowi ślina napłynęła do ust. Nie zdążył wprawdzie zgłodnieć jeszcze dobrze po obiedzie, ale gospodyni umiała doskonale gotować. Przy stole na dłuższy czas zapanowało milczenie, słyhać było jedynie odgłosy pałaszowania. Liczna rodzina mistrza snycerskiego pochłaniała indyka błyskawicznie, a herold dzielnie im sekundował.

Kiedy wreszcie na stole został obrany z mięsa szkielet, dzieci udały się na krótką wspólną modlitwę i do łóżek. Ulubienica Evaha trochę protestowała,

chciała z nim jeszcze побыć, ale matka prędko ucięła jej marudzenie.

Mężczyźni i chłopiec zostali przy stole. Snycerz przyniósł z piwniczki zimnego piwa dla starszych i kwasu chlebowego dla Evaha.

– To powiadacie, panie heroldzie, że na zamku wciąż nie dojadacie... – Rinnah rozsiadł się wygodniej, wyciągnął przed siebie nogi i pociągnął tęgi łyk z dzbana. Rovik poszedł w jego ślady, po czym westchnął przeciągle.

– Nie dojadamy i nie dopijamy, że tak to nazwę. Bo do tych saładowych i rzepowych posiłków podaje się tylko źródlaną wodę. Jak powiada ów przeklęty kucharz, takowe żywienie oczyszcza ciało i wzmacnia ducha. Nie wiem doprawdy, co tam oczyszcza, ale cieleśnie raczej słabo się czuję, a i duchowo nie najlepiej. Kto to słyszał na pańskim dworze wodą się raczyć? Przysięgłbym, że mi się od niej w brzuchu już żaby zaległy.

– Raczej wam kiszki marsza grają.

– A grają, żebyście wiedzieli! To swoją drogą, a żaby swoją. Może nawet te płazy tańczą sobie przy skocznej muzyczce.

Po obfitym posiłku herold najwyraźniej nabrał wigoru i odzyskał dobry humor. Rozgadał się też o sprawach zamkowych, a Rinnah z Evahem nie przeszkadzali mu. Tylko od czasu do czasu gospodarz rzucił jakieś pytanie.

– Najbardziej poszkodowany w tym wszystkim jest sam baron – mówił Rovik. – Wiecie, my wszyscy możemy chociaż od czasu do czasu wyrwać się z zamku do grodu i na podgrodzia i zjeść coś w karczmie. Wyobraźcie sobie, co potrafi głód! Parę dni temu zjadłem gotowaną rybę w tawernie Pod Rogatym Sumem. Zdawało mi się, że to nie zwykła, marnie przyrządzona i starawa już płoć, ale prawdziwy przysmak. A przecież w tym podłym przybytku gotują najgorzej w całej okolicy. Mnie jednak smakowało. Prawdę powiadają, że głód jest najlepszym kucharzem.

– A nie mogliście iść gdzie indziej? – zainteresował się Rinnah.

– Czasu by mi brakło! Nie macie pojęcia, jak baronowa pilnuje, byśmy na zbyt długo nie znikali. Obawia się, że skorzystamy z okazji, aby właśnie zjeść coś pożywnego. Dlatego niebawem będę musiał was opuścić. I tak się będzie gniewać, bo na pewno poczuje ode mnie piecyste oraz to znakomite piwo.

– Obwąchuje was, czy co? – zdumiał się snycerz.

– A żebyście wiedzieli, mistrzu! – przytaknął herold. – Może nie to, że Jej Miłość podchodzi i jak pies myśliwski węszy, ale przez to jedzenie wyłącznie roślin i zapijanie ich wyłącznie wodą tak ma ten kształtny nosek wrażliwy, że i z pięciu kroków poczuje. Ale jak już mówiłem, najgorzej ma baron. Małżonka nigdzie go samego nie wypuszcza, zresztą on nie znajdzie pretekstu, żeby wyjść samemu z zamku, bo niby po co? Od sprawunków i spełniania życzeń ma ludzi. A jeśli by nawet chciał wyrzeć na włości, pani mu zawsze towarzyszy i pilnuje, by czego pokątnie nie spożył.

W tej chwili do jadalni weszła żona gospodarza. Usłyszała ostatnie słowa herolda i pokiwała głową.

– Mówiły niewiasty na targu, że u was na zamku wręcz głodno. Ale też zobaczcie, jak nasz baron pięknie się prezentuje! Brzuszek zgubił, gdy konno przejedzie, to jakby bohater z baśni się pojawił. Nie to, co ty, mój mężu. Pij jeszcze więcej piwka, to wyhodujesz sobie z przodu prawdziwą beczkę.

– Ależ co powiadacie! – zaprotestował Rovik. – Mistrz Rinnah to piękny mężczyzna. A że tu i ówdzie się zaokrąglił? Sama jesteście temu winna, skoro tak wspaniale gotujecie. Może i nasz pan schudł, a nawet uczynił się bardziej eteryczny, jak na arystokratę przystało, ale też ciągle chodzi skrzywiony. I nie ma się co dziwić. Do tego w nerwy łatwo wpada... A, właśnie – przypomniał sobie i zwrócił się do Evaha: – Posłuchaj, chłopcze. Jak będziesz rozmawiał z baronem, staraj mu się zbytnio nie sprzeciwiać, a jeśli już, czyn to oględnie. Człowiek jak głodny, to zły, a baron wprawdzie jest łaskawym panem, jednak zawsze był skłonny do irytacji, a teraz jest niczym wiecznie napięty łuk. Łatwo go rozdrażnić.

– Będę pamiętał – obiecał Evah. Pomyślał chwilę, a potem zapytał: – Czy będzie rozmawiał ze mną sam, czy w obecności żony?

Herold zmarszczył brwi, spojrzał uważnie na chłopca.

– Ona też chce ciebie zobaczyć. Ale nie podejrzewam, żeby zamierzała odbyć z wami całe spotkanie. Pani jest dobra, ale szybko się wszystkim nudzi... – Zamilkł na chwilę, po czym zaklął cicho pod nosem i rzucił: – Z wyjątkiem durnowatych idei tego przekłętego kuchmistrza! Ale mam nadzieję, że jej zachwyt nad jego pomysłami nie potrwa zbyt długo, bo gotów jestem służbę wymówić, jeśli tak dalej pójdzie. I pewnie nie tylko ja.

Znów zamilkł, przyglądając się Evahowi.

– Ale powiedz, dlaczego tak się o to dopytujesz, chłopcze? – spytał podejrzliwie.

– Ze zwykłej ciekawości, panie – skłamał Evah. – Miałem nadzieję zobaczyć panią, skoro tak wychwalacie jej urodę.

Herold pokiwał głową, a potem zaczął się żegnać.

– Dziękuję wam za gościnę – rzekł. – Pragnąłbym częściej otrzymywać takie zadania jak dzisiaj... Chociaż czeka mnie burza, ale co mam w żołądku, to moje. Pamiętaj, chłopcze, pojutrze o jedenastej... To znaczy, kiedy słońce wzbije się nad wieżę świątyni.

Kiedy herold wyszedł, Rinnah spojrzał uważnie na Evaha.

– Co tam wymyśliłeś, chłopaku? – spytał. – Jak udobruchać barona? Dobrze by było, bo jeśli zabroni ci iść, będziesz go musiał posłuchać.

– Co mówisz, stryju? – zdziwił się Evah. – Przecież ojciec był wolny, więc i ja...

– Baron z mocy prawa sprawuje pieczę nad wszelkimi sierotami w swojej dziedzinie. W zasadzie nigdy się nie wtrąca w te sprawy, bo zazwyczaj kiedy dziecko straci rodzinę, idzie do krewnych, a jeśli jest zdadne do pracy, to i w służbę.

– Przecież mnie siłą nie zatrzyma – burknął Evah.

– Jeśli zechce, weźmie i pod klucz. – Snycerz wzruszył ramionami. – Że w końcu uciekniesz, w to nie wątpię, a wręcz pomogę cichaczem. Tylko po co ci nowe kłopoty? Przydałoby się więc go nie drażnić, jak radził pan Rovik. Ale mów, co ci przyszło do głowy?

Evah uśmiechnął się lekko.

– Żał mi się zrobiło barona i chętnie bym mu pomógł. Jednakowoż będę potrzebował twojego wsparcia. A już na pewno wsparcia ciotki Farunny.



Baron Edmir Salazar di Rukkon rzeczywiście wydawał się znacznie mizerniejszy niż wówczas, kiedy Evah widział go ostatnio. To było jakieś pół roku wcześniej. Przyjechali z ojcem na targ, żeby sprzedać skóry i kupić trochę potrzebnych w gospodarstwie rzeczy. Wprawdzie nie znaleźli się ani przez chwilę w pobliżu wielkiego pana, ale chłopiec zapamiętał jego lekko nalaną twarz, okraszoną łaskawym uśmiechem i niewielki wprawdzie, ale wyraźnie zarysowany pod dubletem brzuszek. Baron był w wyśmienitym humorze, pozdrawiał kupców i rzemieślników, udzielał jałmużny potrzebującym.

A teraz przed Evahem siedział w pięknym rzeźbionym fotelu ponuro spoglądający mężczyzna o nieco zapadniętych policzkach. Po brzuchu, podobnie jak po wesołości, nie pozostał nawet ślad. Miejsce obok niego zajmowała niewiasta, o której powiedzieć, że była urodziwa, to jakby nic nie powiedzieć. W każdym razie syn myśliwego nie znał dostatecznie wielu określeń, żeby należycie oddać jej urok.

– A zatem ty jesteś chłopcem, który uratował się przed Żelaznym Krukiem – rzekł baron, sadowiac się wygodniej na miękkiej poduszce. – Z tego, co wiem, to dość niespotykane.

– Pozwólcie sobie powiedzieć, panie – odparł Evah, pokonując onieśmielenie – że to dzięki mojemu ojcu. Poświęcił życie, aby ocalić mnie, moją siostrę i mamę. To ostatnie się nie udało, schwytali ją...

Baron pokiwał głową.

– No tak, jesteś synem Krunnaha. Kto jak kto, ale on na pewno bez wahania zajrzał niebezpieczeństwu w oczy. Dzielny był człowiek i uczciwy, chociaż wiem, że to i owo ukrywał przed oczami mojego szafarza czy książeńcych poborców. Lecz któż tego nie czyni?

– Znaliście mojego ojca, Wasza Miłość?

– Nie bardzo. To znaczy widziałem go kilka razy, rozmawialiśmy nawet. W końcu posiadał glejt wystawiony przez kancelarię królewską. To był obyty w świecie człowiek, chociaż prostego urodzenia i takich też obyczajów.

Edmir di Rukkon zerknął z ciekawością na niewielki, misternie zdobiony kuferek, który jego gość postawił sobie pod nogami, ale zanim zdążył zapytać, baronowa Ritta pochyliła się lekko do przodu, i zajrzała chłopcu prosto w oczy.

– Opowiedz, jak to było – poprosiła. – Oczywiście, jeśli chcesz i zdołasz.

Evah przełknął ślinę i zaczął mówić. Na początku szło mu z wielkim trudem, wstydził się swojego skromnego stroju, który w porównaniu z szatami baronostwa zdawał się wręcz nędzny i godny żebraka. A przecież włożył, co miał najlepszego.

Potem, pochłonięty wspomnieniami, zapomniał na chwilę, przed kim stoi, ale zaciął się, gdy przyszło do znalezienia ciała ojca. Milczał dłuższą chwilę, hamując łzy. Baron zaczął się niecierpliwić, ale żona położyła mu rękę na dłoni. Wyglądała na poruszoną opowieścią.

A Evah opanował się i mówił dalej. Gdy wspomniał o tym, jak nocą opuścił dom młynarza, Edmir di Rukkon mu przerwał.

– Tak, dotarło już do mnie, że chcesz się porwać na tego potwora. Powiedziałeś o tym przecież mistrzowi nożowników.

Chłopiec zmarszczył brwi. Czyżby rzemieślnik był tak gadatliwy? Baronowa trafnie odczytała grymas na twarzy chłopca.

– Nie doniósł o tym mistrz – powiedziała swoim melodyjnym głosem. – On słylnie z dyskrecji. Ale rozmawialiście na ulicy. Choćbyście mówili szeptem, zawsze ktoś dosłyszy, bo ludzi niezmiernie ciekawi, co dzieje się u innych. Ale, ale – dodała, spoglądając na kuferek – powiesz, po co przyniosłeś ten piękny przedmiot?

Evah dopiero przypomniał sobie o drewnianej skrzyneczce.

– To mój dar dla pana barona i dla was, pani. Wybaczcie, ale nie wiedziałem, co by was ucieszyło, więc w środku jest tylko pewien drobiazg, przeznaczony dla waszych pięknych rąk.

– Pokaż – nakazała Ritta da Hagen di Rukkon nieuprzejmym tonem.

Evah schylił się, otworzył kuferek i wyjął z niego niewielkie, białe malowane puzderko, tak misternie rzeźbione, że zdawało się wręcz przejrzyste. Na ten widok baronowej zaświeciły się oczy.

– Och, wiedziałeś doskonale, chłopcze, co może ucieszyć kobietę. Albo ktoś mądry ci to podpowiedział. Przynieś mi to z łaski swojej.

Evah zbliżył się do podwyższenia i tak jak go pouczył Rinnah, pochylił głowę i przyklęknął na jedno kolano, po czym podał puzderko na wyciągniętych, otwartych dłoniach. Baronowa wzięła je i uchyliła wieczko. Wewnątrz również zobaczyła rzeźbienia.

– Nada się na naszyjnik, który odziedziczyłam po babce – rzekła.

Baron potrząsnął głową. Na śniadanie podano mu gotowane pory z odrobiną masła, ale bez soli, więc głodny był jak wilk. I zaczynał się robić zły zupełnie jak zwierzę, tym bardziej że czekał go niewiele bardziej obfity obiad oraz składająca się wyłącznie z zieleniny kolacja.

– Mnie też daj ten kufer – rzucił niecierpliwie. – Obejrzę go, a potem porozmawiamy o twojej wyprawie. Bo nie wiem, czy zechcę wyrazić na nią zgodę.

Evah spodziewał się czegoś podobnego, ale i tak poczuł ukłucie niepokoju w okolicy serca. Nie odezwał się jednak, tylko podał skrzynkę panu, z równą pieczołowitością i czułością, jak jego żonie. Baron zważył ją w dłoniach. Miała niewielkie rozmiary, ale była zaskakująco ciężka. Zajrzał z ciekawością do środka. Pusto. Już miał zapytać, dlaczego przedmiot jest tak masywny, kiedy zobaczył, że chłopiec przymruża porozumiewawczo prawe oko, czego nie mogła dostrzec ze swojego miejsca pani Ritta.

Baron już miał ofuknąć młodzika za zbyt spoufalanie, ale się zastanowił. Głodówka wprowadziła go do dobrego humoru, ale wyostrzyła zmysły i poniekąd rozum.

– Zostaw nas samych, moja ukochana – rzekł. – Muszę porozmawiać bardzo poważnie z tym młodym człowiekiem.

Baronowa wstała. Sama chciała już pójść, sprawdzić, czy naszyjnik zmieści się do ślicznego puzderka.

– Pamiętaj tylko, mój miły baronie – rzekła na pożegnanie – że nie należy zamykać jastrzębia w klatce. Chyba że chce się go uczynić nieszczęśliwym.

Skinęła łaskawie ręką chłopcu i oddaliła się do swoich komnat.

Baron odczekał jeszcze chwilę po jej wyjściu, a potem spojrzął na Evaha.

– Co to ma znaczyć? – spytał surowo. – Na co sobie pozwalasz względem swego barona?

– Wybaczcie, Wasza Miłość – sumitował się chłopiec. – Pomyślałem jednak, że nie byłoby dobrze, gdybyście zaczęli mnie wypytywać przy małżonce o zawartość kuferka.

– Ach, czyli jest tu jakaś tajemnica? O co chodzi? Mów wreszcie, nim się rozgniewam! A odkąd chodzę ciągiem głodny, blisko mi do tego z byle powodu!

– Słusznie zdziwił was ciężar tego niewielkiego przecież kuferka – rzekł Evah. – Zawiera on pewną tajemnicę. Ma podwójne dno. Można tam ukryć dokumenty, kosztowności, ale też inne rzeczy.

Baron zmarszczył brwi, znów otworzył rzeźbioną skrzynkę.

– Rzeczywiście – mruknął, wkładając do środka dłoń. – Trzeba się dobrze przyjrzeć, żeby to dostrzec. Dzięki inkrustacjom zdaje się głębsze, niż jest. Jak dostać się do tej ukrytej przegrody?

– W środku jest zapadka. Stryj Rinnah mówi, że to bardzo proste urządzenie, ale za to się nie psuje. Czy mogę pokazać?

Baron w milczeniu skinął głową, a Evah podszedł i przycisnął niewidoczną na pierwszy rzut oka dźwigienkę, ukrytą pod krawędzią kuferka. Dno odskoczyło, a baron aż jęknął ze zdziwienia i zachwytu.

Z wnętrza wydobył się bowiem wspaniały zapach mięsiwa pieczonego w ziołach oraz pikantnego sera. Pan Edmir di Rukkon spojrział na chłopca. Przez chwilę zbierał myśli.

– Pozorne dno jest tak doskonale spasowane z resztą, że nie wydobędzie się przezeń nawet ślad zapachu – mówił tymczasem Evah.

Ale baron go nie słuchał. Wyjął mięso zawinięte w liść łopianu i zaczął je łapczywie pochłaniać. Nie przypominał teraz arystokraty, za jakiego pragnął uchodzić, ale wygłodniałego galernika, który niespodziewanie dorwał się do kapitańskich zapasów.

– Mmmm... Przednie jedzenie – mruczał. – Wyśmienite.

Nagle podniósł głowę, spojrział na dwóch wartowników przy drzwiach. Przęłykali ślinę, obserwując posilającego się pana. Ich także dotknęły kulinarne pomysły baronowej. Wprawdzie od czasu do czasu mieli możliwość zjeść pokątnie coś więcej niż warzywa czy owoce, ale również chodzili wiecznie głodni.

– A jak który tylko piśnie pani, co tu zaszło – rzekł groźnie Edmir di Rukkon – pojedzie za końskim ogonem od podzamcza aż do Zabłocia!

Wartownicy nie odezwali się, odwrócili tylko głowy, żeby nie patrzeć na to, co się działo. Chętnie zatkaliby nosy, żeby się mniej męczyć, ale tego im zrobić nie było wolno.

A baron nagle przestał jeść, zapatrzył się na to, co pozostało z mięsiwa, zerknął na ser w lnianej ściereczce, wreszcie owinął resztkę posiłku z powrotem w łopian i schował do kuferka.

– Zostawię sobie na później – mruknął. A głośniejszym głosem rzekł: – Widzę, chłopcze, że głowę masz nie od parady. Żadnemu z moich wiernych sług nawet na myśl nie przyszło, żeby mi coś przynieść z miasta. Sami podżerają po karczmach, a ja siedzę tu jak pies na uwięzi i od ponad dwóch miesięcy nie miałem nic porządnego w ustach.

Odstawił kuferki, wstał i szedł do Evaha.

– Postawny z ciebie młodzik – zauważył. – Włosy masz chyba po matce, takie długie i gęste, bo ojciec raczej nie grzeszył czupryną. Oczy jasne, śmiało patrzące. Jakiej barwy? Zdają mi się szare.

– Mama mówiła, że są siwe – odparł Evah.

– Tak, matka wie najlepiej. Zatem siwe. Nos kształtny, choć widać na nim ślady bójek, bo zrobił się lekki garbek... – Niespodziewanie chwycił chłopca za

ramię, ścisnął. Evah w pierwszym odruchu chciał wyrwać rękę, ale się powstrzymał. Baron zdawał się tego nie zauważyć. – Mięśnie sprężyste, wyrobione. Urodziwy z ciebie wyrostek.

Wrócił na fotel, zamyślił się.

– Chciałem ci zabronić tej samobójczej wyprawy. Wprawdzie rzadko wtrącam się w rodzinne sprawy poddanych, ale wolałbym nie tracić z włości dobrego młodzika.

– Wiecie, Wasza Miłość, że próbowałem ucieczki?

– Tak przypuszczam – roześmiał się baron. Sycące mięso sprawiło, że wpadł w dobry nastrój. – Ale i tak bym zabronił. Jednak teraz rozmyśliłem się. Tylko nie myśl, że przekupiłem mnie kawałkiem soczystej, miękkiej i doskonale przyprawionej wołowiny...

Spojrzał surowo na wartowników, bo któremuś z nich wyrwał się jęk przy ostatnich słowach pana.

– To by oznaczało, że powinienem być co najwyżej wiejskim kowalem, a nie szlachcicem.

Evah uśmiechnął się w duchu na wspomnienie ojca Noroga, któremu wydawało się, iż jest niesłychanie ważną osobą. Tymczasem baron wyrażał się o jego profesji może nie pogardliwie, ale bez najmniejszego szacunku. Ot, praca jak praca, nic szczególnego.

– Jednak przekonała mnie twoja przemyślność. Sam to wymyśliłeś? I jeszcze żeby dać pretekst pani baronowej do odejścia, a mnie zapewnić tę chwilę radości?

– Sam wymyśliłem, że należałoby Waszej Miłości jakoś dopomóc w niedoli. Ale bez stryja i jego żony nic bym nie wskórał. Przecież to on dostarczył skrzynkę i puzderko, a ona przyrzędziła udziec. I to stryj Rinnah wpadł na pomysł, żeby wykorzystać właśnie ten kuferek. Wykonał go kiedyś dla pewnego bankiera, ale ten nie odebrał zamówienia. Jeśli więc chwalicie moją przemyślność, panie, weźcie pod uwagę, że nie sam to wszystko urządziłem.

Baron pokiwał głową z zadowoleniem.

– Bardzo dobrze, że nie przypisujesz sobie całej zasługi – rzekł. – Zdaje się, że jesteś bardziej dojrzały od innych chłopców w twoim wieku. Nie wiem, może tak cię wychowano, a może to nieszczęście sprawiło, że musiałeś szybko wydorosnąć. W każdym razie zastanów się jeszcze, czy na pewno chcesz ruszać, aby dokonać zemsty. Jeśli nie, chętnie zatrzymałbym cię u siebie, tu byś się okrzesał, a potem wysłalibyśmy cię do samego hrabiego Rodina di Marano del Farrana, mistrza elegancji i fechtunku.

Evah skłonił głowę.

– Obiecuję zastanowić się nad tym, panie baronie. I dziękuję wam niezmiernie za łaskawość.

– A ja tobie za poczęstunek. – Edmir di Rukka uśmiechnął się. – Wprawdzie teraz będę musiał przez pół dnia schodzić z drogi baronowej, żeby ode mnie nie wyczuła jądła, ale nic mi już nie odbierze przyjemności. A teraz idź już. Udam się do gabinetu, żeby dokończyć posiłek. Gdybyś rozmyślił się co do podróży, przyjdź na zamek. Jeśli nie, życzę ci szczęścia i powodzenia.

Evah pokłonił się baronowi, który wstał i wyszedł bocznymi drzwiami. Chłopiec został sam, nie bardzo wiedząc, co robić. Ale już po chwili pojawił się pan Rovik.

– Pięknie podszedłeś naszego pana – mruknął. Evah domyślił się, że herold obserwował scenę z jakiegoś tajemnego miejsca. A może zwyczajnie podsłuchiwał pod drzwiami. – Miał rację baron, że szkoda cię będzie tracić. Na pewno nie zmienisz zdania?

– Wybaczcie, panie heroldzie – odparł Evah – ale nie zmienię. Obiecałem pomyśleć nad propozycją Jego Baronowskiej Mości, zatem pomyślę, ale uczynię swoje.

– Tak przypuszczałem – westchnął ciężko pan Rovik. – Tak właśnie przypuszczałem.

Rozdział 8

Kupiecka karawana



Evah szedł obok wozu z intensywnie pachnącymi workami. Woń docierała do niego, chociaż ładunek został przykryty grubą materią. To były jakieś przyprawy, których chłopiec zupełnie nie znał. Zapach nie był wprawdzie przykry sam w sobie, ale jego moc sprawiała, że w nosie z początku kręciło, a potem zdawało się, że zmysł powonienia stępsiał i zupełnie zanikł.

Evah od czasu do czasu chwycił burtę wozu, żeby ułatwić sobie wędrówkę i ulżyć bolącym mięśniom, ale czynił to ukradkiem, żeby brodaty smagły Harimi nie wpadł w irytację. Kupiec z dalekich krain wzdragał się zabrać młodego podróżnika, narzekał, że bardziej by mu się przydał silny chłop do eskorty i przenoszenia ładunków, a nie młodociany cudak, któremu uroiło się jechać do stolicy księstwa nie wiadomo po co. Jednak Rinnah przekonał znajomka, żeby przyjął do taboru Evaha. A ponieważ obaj byli sobie winni jakieś przysługi, Harimi w końcu uległ.

Chłopiec również nie bardzo chciał ruszać w drogę z niechętnym mu człowiekiem, wolałby już iść sam, jednak przyszywany stryj uparł się, żeby dołączył do karawany.

– Bardzo być może, że dotarłbyś do Salmary dwa dni wcześniej, bo tabor porusza się wolniej i staje na dłuższe odpoczynki, ale tak będzie bezpieczniej. Zdążysz jeszcze poznać smak samotnej przygody. Na razie przywyknij do trudów wędrówki.

Kiedy chłopak jeszcze się zżymał, dorzucił:

– W naszej okolicy i w całym hrabstwie jest dość spokojnie. Ale kiedy przekroczycie granicę księstwa Valdesse, przestanie tak być. Można napotkać i oddziały zbrojne, i patrole, i różnych maruderów. Do Salmary wiedzie ruchliwy szlak handlowy, więc różne rzezimieszki czyhają na okazję, aby obrabować nie

tylko kupiecki wóz, lecz także samotnego podróżnika. W kolumnie wozów jest bezpieczniej. A ty chcesz przecież znaleźć Kruka, a nie dać sobie odrąbać narwaną głowę na pierwszych rozstajach.

Evah doskonale wiedział, że stryj ma rację. Powinien nabrać jeszcze doświadczenia, przyjrzeć się ludziom innym od tych, do których przywykł w rodzinnych stronach. Jednak co innego wiedzieć, a co innego podporządkować się decyzjom.

– Zobaczysz, Harimi nie jest taki zły, na jakiego wygląda. Z gęby to prawdziwy zbój, ale serce ma dobre – pocieszył jeszcze chłopca przyjaciel ojca.

Tyle że na razie Evah nie miał okazji poznać ponurego kupca z dobrej strony. Wiedział o nim tyle, że musiał być bogaty, skoro stać go było na prowadzenie karawany liczącej ponad trzydzieści wozów. Wprawdzie dwa należały do bławatnika z grodu, ale resztę stanowiła własność Harimiego.

Szli już czwarty dzień, a od dwóch Evah musiał wachać egzotyczne przyprawy. Aż go chwilami mdliło i oddalał się trochę od karawany, ale jeśli Harimi to dostrzegł, z miejsca podnosił głos. A pilnował tego wozu wyjątkowo, bo liczył na sprzedaż ładunku za dobrą cenę. Inne były pilnowane po kilka naraz przez paru ludzi z eskorty, ale jeśli szło o ten, kupiec uparł się, aby miał osobną ochronę.

– Ależ cuchnie – mamrotał idący po drugiej stronie żołnierz z eskorty, zupełnie łysy mężczyzna w średnim wieku. Miał na pewno jakieś imię, ale wszyscy wołali na niego Werbel. Podobno przezwisko wiązało się z pewną przygodą sprzed wielu lat. Łysinę miał pokrytą dość równomiernie rozłożonymi bliznami, zupełnie jakby ktoś celowo tak go naznaczył. Został przydzielony do pilnowania wozu tego ranka. Spojrzał na Evaha i jęknął: – Dzieciaku, jak ty to wytrzymujesz?

W pierwszej chwili Evah chciał się burzyć o tego dzieciaka, ale nie chciał psuć stosunków z Werblem. Żołnierz wydawał mu się całkiem sympatyczny.

– Ledwie – przyznał. – Muszę co jakiś czas sprawdzać, czy jeszcze mam nos.

– Ja nie mam już na pewno – orzekł łysy. – Przecież to tortura!

– Jest lepiej, kiedy wiatr zawieje w drugą stronę – pocieszył towarzysza niedoli Evah.

– Możliwe – odparł tamten. – Tylko że chyba cokolwiek rzadko to się zdarza.

Chłopiec wzruszył ramionami i westchnął. Po chwili milczenia Werbel znów się odezwał:

– Po południu wejdziemy w granice Valdesse i na główny trakt. Trzeba będzie mieć oczy dookoła głowy.

– Naprawdę jest aż tak źle? – zapytał Evah.

– Jeśli będziemy mieć szczęście, skończy się tylko na oskubaniu naszego Harimiego przez ludzi księcia pobierających myto. Ale jeśli nie będziemy go mieć, przyjdzie pomachać tym. – Pomacał rękojeść miecza na lewym biodrze i klepnął żeleźce topora wiszącego przy pasie po prawej stronie w czymś na kształt pochwy, a właściwie skórzanej tulei, w którą wkładał drzewce.

Ojciec też nosił topór w podobny sposób, ale nie w tulei, lecz w zwykłej rzemiennej pętli. Ojciec... Na wspomnienie Krunnaha leżącego bezwładnie w pyłe drogi Evahowi łzy napłynęły do oczu.

Potrząsnął głową i westchnął.

– A ciebie co wyгнаło z domu? – zapytał Werbel. – Uciekłeś?

– Nie. Tak się złożyło, że musiałem pójść w świat. – Evah nie miał ochoty opowiadać o nieszczęściu, jakie go spotkało, a ludzie z eskorty, którzy towarzyszyli kupcowi od początku podróży, niewiele wiedzieli z tego, co zaszło w Przyrzeczu.

– Bywa. – Żołnierz pokiwał ze zrozumieniem łysą głową. – Ja tam uciekłem z chałupy. Byłem wtedy nieco starszy od ciebie, ale niewiele. Ile masz lat?

– Szesnaście – skłamał Evah.

– Myślałem, że mniej – mruknął Werbel. – No to akurat gdzieś tyle miałem. Z ojczyrna była wredna pijaczyna. Jak nie leżał pijany, to łąził zły i mnie łął. A jak się napił za mało, żeby leżeć plackiem, też się złościł i znów mnie łął z byle powodu. Matka płakała, ale nie umiała nic zrobić. No to pewnej nocy zebrałem manatki i poszedłem. Rodzicielka wiedziała, co się święci, nie spała, próbowała mnie zatrzymać, ale nie chciałem. Dała mi zatem błogosławieństwo na drogę i uciulane przez lata miedziaki.

Żołnierz zamilkł na chwilę, po czym podjął opowieść:

– Trafiłem na werbowników i jak głupi dałem im się omotać. Co tam jak głupi. Naprawdę durny byłem jak but dobosza, ot co. Wojska mi się zachciało. Ale wówczas myślałem, że jeśli nauczę się dobrze bić, to wrócę do domu i zdrowo prześwięcę tego pijaka.

– I wróciłeś? – spytał zaciekawiony Evah.

Werbel machnął ręką i roześmiał się, a potem skrzywił, kiedy podmuch powietrza uderzył go w nozdrza wonią mieszanki przypraw.

– Zaś tam. Odwiedziłem ich po paru latach, kiedy mój hufiec przejeżdżał niedaleko wsi. Zastałem ojczyrna chodzącego o kuli. W pijanym widzie polazł na podstrysze, bo się matka wreszcie zbiesiła i wyganiała gada z domu, gdy śmierdział podłym piwskim i gorzałką. Rankiem albo był jeszcze podпиты, albo coś tam ze sobą na górę wziął i zdążył się zaprawić, bo zapomniał, gdzie jest, i spadł. Tak sobie kulasy potrzaskał, że felczer ledwie go poskładał, ale w lewej nodze władzy nie odzyskał. Za to pić przestał i wziął się do jakiej takiej roboty. No tom mu nawet nie przyłożył za moje krzywdy. Los go już dość pokarał.

– Tak naprawdę to sam się ten człowiek ukarał – zauważył Evah.

– Słusznie prawisz – znów się roześmiał żołnierz. – Tak o tym nie pomyślałem. Mądry z ciebie pachol – pochwalił chłopca. – Tak czy siak, dałem mu spokój. Nawet im ostatni żołd zostawiłem, bom go jeszcze nie przepuścił.

– Mówiłeś, że twój hufiec przejeżdżał obok wsi – powiedział Evah. – To znaczy, że służyłeś w jeździe?

– Tak mi się zdarzyło. – Werbel pokiwał głową. – Od dziecka miałem rękę do koni. Ale to długa historia.

– Mamy czas – rzekł chłopiec.

– Co racja, to racja. – Werbel zaśmiał się. – Może zapomnimy trochę o tym smrodzie. Lecz najpierw ty mi może zdradzisz, co ciebie wyгнаło z domu. Też cię bili?

Evah przełknął ślinę.

– Straciłem rodziców – powiedział cicho. – Byli dobrzy... Tatkę sam pochowałem, ale mamę porwali, więc nawet tego nie mogłem dla niej uczynić.

– Mów mi o tym – zażądał Werbel. – Jak człowiek mówi o tym, co złe, to mu najpierw gorzej, ale potem robi się lepiej.

Evah nabrał tchu i zaczął opowieść. Żołnierz słuchał, nie przerywając, czasem tylko kiwał głową i wzdychał. Gdzieś tam w stwardniałej na wojnach duszy rodziło się współczucie i myśl, że jego samego nie doścignęło jednak aż tak wielkie nieszczęście. Wprawdzie rodzony ojciec mu zmarł, ale nawet go nie pamiętał, bo był wówczas jeszcze przy piersi. Bicie ojczyzna też dało się znieść, a poza tym mógł od niego uciec. A ten młodzik przeżył już tyle, ile czasem staremu się nie zdarza.



Hałas i krzyki zbudziły Evaha z twardego snu tuż nad ranem. W pierwszej chwili myślał, że to znów atakuje Żelazny Kruk. Tym razem postanowił, że nie pozwoli ojcu ginąć samemu, choćby nie wiadomo, co się miało zdarzyć!

Dopiero po kilku uderzeniach serca zrozumiał, że śpi pod gołym niebem, opodal wozu z przyprawami. Umieszczono go nieco na uboczu, żeby woń nie przeszkadzała wszystkim wokół.

– Zbóje! – zawołał Werbel, który już zerwał się na tumult. Nie spał, bo była jego kolej wartowania. – Trzymaj się z tyłu, mały! To nie dla ciebie sprawa!

Skinął głową na towarzysza, który nocą stróżował razem z nimi, i popędził w stronę, z której dochodził szczełk broni oraz krzyki.

Evah popatrzył za nim, ale nie zamierzał słuchać dobrych rad. Przysiągł sobie nad grobem ojca, że już nigdy nie będzie uciekał przed walką, gdyby miał przez to innych narazić na śmierć.

Wydobył miecz, sprawdził, czy ma przy pasie nóż podarowany mu przez mistrza. Nie dane mu jednak było dołączyć tam, gdzie szła już zażarta walka, bo właśnie wyskoczył na niego rosły rozbójnik z rozwianymi włosami, czy raczej strąkami brudnych włosów. Widząc, że ma przed sobą zaledwie chłopca, zaśmiał się gardłowo.

– Uciekaj! – ryknął. – Już cię tu nie ma!

Evah poczuł zimną falę strachu, pełznącą od stóp i obejmującą całe ciało. Tamten miał na sobie lekki skórzany pancerz, wzmacniany żelaznymi kółkami, a w dłoni dzierżył topór. Przy pasie dyndał mu miecz, ale najwidoczniej albo nie bardzo lubił go używać, albo nie chciał marnować ostrza na szczeniaka.

– Wynocha! – krzyknął znowu zbój.

Chłopiec stał jak wryty. Może by i sprzeniewierzył się przyrzeczeniu, które w obliczu potężnego przeciwnika zdawało się teraz czymś mało rozsądnym, ale zwyczajnie go замуrowało.

Zbój wyszczerzył zęby i rzucił się na chłopca, unosząc w górę topór.

Evah patrzył na ciężkie żeleźce, zdawało mu się, że świat wokół zwolnił. W szarym świetle przedświt widział dosłownie każdą zmarszczkę, bruzdę i każdy włos na twarzy napastnika. Topór właśnie zaczął opadać i działo się to w ślimaczym tempie. Chłopiec wiedział jednak, że to tylko wrażenie, że trzeba działać.

I wtedy wreszcie odzyskał możliwość ruchu. Tak jak uczył go ojciec, zszedł z linii ataku półobrotem i balansem ciała w prawo, przeciwnie do ruchu topora. Rozbójnik nie spodziewał się oporu, był przekonany, że w mgnieniu oka rozsiecze chłopaczka i dobierze się do tego, co jest na wozie. Obłowi się, ile można, a potem podpali wóz, żeby odciągnąć część sił ochrony. Nawet jeśli cały napad nie bardzo się powiedzie, on i tak skorzysta.

Dlatego kiedy żeleźce topora przeszły powietrze, zdumiał się niepomiernie. Był jednak zaprawiony w bojach i natychmiast zwrócił się ku chłopcu, który znalazł się po jego niewygodnej, lewej stronie. Płynnym ruchem wykręcił topór i pociągnął tam ostrze, ale Evah znów uniknął ciosu.

Syn myśliwego zupełnie machinalnie robił to, czego uczył go ojciec. Nigdy dotąd nie walczył ostrą bronią przeciwko prawdziwemu wrogowi, zazwyczaj używali kijów, a jeśli dostawał do ręki miecz, to tylko po to, żeby się z nim oswajać. Ale nawyki z tych ćwiczeń pozostały. I pamiętał pouczenia, w tym takie: „Pamiętaj, że jeśli ktoś dybie na twoje życie, nie powinienes go oszczędzać. Uderzaj tak, aby mu uczynić krzywdę, potem będzie czas na żal i wyrzuty sumienia”.

Wówczas Evah nie rozumiał, o czym ojciec mówi. To wydawało się takie proste – jeżeli się walczy, to należy zrobić, co trzeba, by zwyciężyć. Jeśli ktoś

chce zabić drugiego, nie powinno napadniętemu sprawiać problemów nawet pozbawienie przeciwnika życia.

Tyle że teraz wyglądało to inaczej. Chłopiec miał przez chwilę możliwość ciąć odsłoniętego przeciwnika w kark lub potylicę, jako że rozbójnik stracił równowagę, znów zaskoczony tym, że topór trafił w próżnię. Broń pociągnęła go w lewo, jej ciężar i bezwładność sprawiły, że mężczyzna odwrócił się nieco, ukazując Evahowi bezbronne ramiona i głowę. Jednak młodzieniec zawahał się na krótką chwilę, czując opór przed skrzywdzeniem drugiego człowieka.

A tamten nie miał najmniejszych skrupułów. Zrobił kilka kroków, zabawnie drobiąc, aby odzyskać równowagę, zaraz stanął pewnie, a potem runął znowu na chłopca, chcąc go wręcz zmiażdżyć.

Evah wciągnął szybko powietrze, jeszcze szybciej je wypuścił, opanowując się. Zauważył, że zbój wymachuje toporem wysoko w powietrzu, chcąc sięgnąć jego głowy. Jak uczył ojciec? Unieszkodliwić wroga można nie tylko zadając mu ciosy w żywotne organy. Wystarczy pozbawić go możliwości sprawnego poruszania się.

Zdawał sobie sprawę, że w bezpośrednim starciu nie ma wielkich szans z silnym roslym chłopem. Gdyby jeszcze tamten posługiwał się mieczem, można by zaryzykować próbę fechtunku. Ale topór bez trudu pokonałby każdą zasłonę chłopca. Z kolei ostrze, które posiadał Evah, było zbyt krótkie, aby sięgnąć nieosłoniętego wnętrza przedramienia przeciwnika. Mógłby próbować, ale ryzykowałby odniesienie poważnej rany.

Dlatego błyskawicznie rzucił się na ziemię, ale nie pod buty przeciwnika, tylko nieco z boku, przeturlał się, wychodząc na spotkanie niebezpieczeństwa, i uderzył ostrzem w golenie zbója. Tamten dostrzegł manewr, spróbował pokierować toporem tak, żeby dosięgnąć przemykającego się chłopca, jednak nie dał rady. Wrzasnął bardziej z zaskoczenia niż z bólu, kiedy poczuł cios. Jego skutki nie dotarły jeszcze do świadomości rozbójnika, dlatego znów się odwrócił i ruszył, aby dosięgnąć Evaha.

Ale chłopiec już się zerwał na równe nogi, odskoczył bez trudu. Był przekonany, że przeciwnik natychmiast upadnie, dlatego zaskoczyło go, kiedy ten znów popędził na niego. Evah przygryzł dolną wargę. A zatem trzeba będzie spróbować czegoś innego. Na razie musiał jednak przyjąć uderzenie, nie miał czasu na ucieczkę.

Uniósł broń do pierwszej zasłony, a miecz zadrżał mu w dłoni i mało nie wypadł, kiedy uderzyło weń żeleźce topora. Odskoczył trzy kroki, zbój ruszył za nim. Ale już pokaleczone golenie dały znać umysłowi, że coś jest nie w porządku. Mężczyzna potknął się, spojrzął pod nogi, a Evah w tej chwili wykorzystał okazję i ciął go pod uniesione ramię, znieruchomiła, kiedy

zaskoczony rozbójnik zobaczył głębokie rany na nogach i poczuł dojmujący ból naruszonych kości.

Uderzenie w ramię sprawiło, że ostatecznie stracił równowagę i upadł ciężko na bok. Po chwili usiadł i chwycił się za tę ostatnią ranę, żeby zatamować upływ krwi.

– Zabiję cię, szczeniaku! – warknął. – Nie dożyjesz wschodu słońca!

Evah pokonał słabość, jaką poczuł na widok rozsieczonej skóry i krwi płynącej coraz większymi strumieniami.

– Kłamiesz – odparł przez zaciśnięte zęby.

– Dopadnę cię! Jak mi bogowie mili! – zawył zbój. – Zobaczymy, czy kłamię.

– Kłamiesz. – Evah już się opanował, mógł mówić normalnie, dyszał tylko lekko. – Kłamiesz, bo słońce już wstało.

Rozbójnik zaczął kląć tak paskudnie, że chłopiec miał przez chwilę ochotę zatkać uszy. Chyba nawet ojciec nie mamrotał tak obrzydliwych wyrazów, kiedy coś bardzo mu nie wyszło i myślał, że syn nie słyszy. Może dlatego nie zdawały się zresztą tak obelżywe, że nie kierował ich przeciwko komuś, tylko tak, w cały świat. A ten tutaj obrzucał błotem właśnie Evaha.

– Milcz lepiej – powiedział chłopiec, krzywiąc się.

– Poczekaj, aż cię moi kompani dorwą! – Zbój zmienił nieco śpiewkę, zdając sobie sprawę, że nie wstanie o własnych siłach. – Albo podejdź tu, to się przekonasz, jak smakuje ból!

– Już się rozpędziłem – mruknął Evah.

Zaczął się zastanawiać, jak pomóc rannemu. Istniała obawa, że głupi rozbójnik zupełnie się wykrwawi. Dopiero po chwili dotarło do niego, że odgłosy walki ucichły. Spojrzał z obawą. Jeżeli zwyciężyli rozbójnicy, powinien jak najszybciej uciekać.

Jednak nie. Z ulgą zobaczył idącego ku niemu szybkim krokiem Werbla. Na początku żołnierz biegł, ale widząc, że to Evah stoi, a napastnik leży, zwolnił.

– No, mały, spisałeś się – rzekł z podziwem, kiedy podszedł. – Widziałem z dala, że wykręcasz się jak piskorz, ale dopadło mnie dwóch i musiałem się z nimi handryczyć. Dobrze, że nic ci nie jest.

Zbój milczał. Zrozumiał, że kompani na pewno go nie uratują. A Werbel zbliżył się do niego, spojrzawszy na rany. Bandyta złapał za topór, ale broń wyleciała mu z ręki i upadła w trawę kawałek dalej, kopnięta niby od niechcenia przez żołnierza.

– Siedź spokojnie, pajacu, bo cię dokończę – mruknął Werbel. – Pokaż no, jak cię też ten dzieciak poharatał.

– Dzieciak! – burknął zbój. – Co wy za dzieci macie, że biją się jak starzy!

– Tacy jak on rodzą się na kamieniu – odparł z roztargnieniem żołnierz. – Nic ci nie będzie, durny baranie. Dziękuj bogom, że chłopak jeszcze nie ma pełnej mocy w ramieniu i cięższego miecza, bo przynajmniej jednego kulasa byś się pozbył, a ręką nie mógłbyś ruszać do końca życia. Zresztą ten koniec może się okazać dla ciebie bliski.

– Co ze mną zrobicie? – zapytał bandyta. Po raz pierwszy Evah zobaczył strach w jego oczach.

– A co mamy niby zrobić? – rozległ się nagle tubalny głos Harimiego. – Oddamy cię strażnikom w najbliższym grodzie. Albo i w Salmarze, zależy, jaki będę miał kaprys.

Kupiec był spocony, zawsze starannie przyczesaną brodę miał zmierzwioną, na jego lewym policzku widniała pręga, ścisnął się za lewą rękę, z której na ziemię kapąły miarowo krople krwi.

– To lepiej od razu mnie zabijcie! – zawył zbój. – Toż kołem mnie każą łamać!

Krzyczał tak dłuższą chwilę i zamilkł dopiero, kiedy Werbel chwycił go za kark, przygiął ku ziemi, a potem szepnął mu coś na ucho.

– Tak, oddamy cię dopiero w Salmarze – zdecydował Harimi, po czym zwrócił się do Evaha: – Uratowałeś najcenniejszy wóz – rzekł. – Winien ci jestem podziękowanie. Ten bałwan – wskazał ruchem brody rannego – pewnie zniszczyłby cały ładunek ze złości, że to nie srebra albo chociaż jedwabie.

– Przecież to cenniejsze od nich, prawda? – zdumiał się Evah.

– Ja to wiem i ty to wiesz. Wszyscy dookoła wiedzą, ale nie ten dureń. Dla takich jak on drogie przyprawy nie przedstawiają wartości.

Tymczasem Werbel obszukiwał sprawnie jeńca, a drugi żołnierz pilnował, żeby rozbójnik nie wykonywał podejrzanych ruchów. Na pytające spojrzenie chłopca łysy najemnik wyjaśnił:

– Trzeba sprawdzić, czy nie ma przy sobie jakiegoś ostrza albo trucizny. Jeszcze by komuś krzywdę zrobił. Ale znalazłem to, panie...

Werbel podszedł do Harimiego, pokazał mu drewniane pudełko.

– Żar ze sobą przyniósł – zauważył Kałdun, drugi żołnierz, który z nimi pilnował wozu nocą. Nosił takie przezwisko z uwagi na pokaźny brzuch, który mu zresztą zupełnie nie przeszkadzał być doskonałym wojownikiem. – Widać miał zejść tabor od tej strony i podpalić ładunek. Musieli nas obserwować i dostrzegli, że jest cenniejszy i lepiej strzeżony od innych.

Harimi pokiwał głową, spojrzał na rozbójnika.

– Tak było?

Ranny odpowiedział stekiem wyzwisk, ale zamilkł, kiedy Kałdun trzepnął go w potylicę.

– Jestem ci winien zatem jeszcze większą wdzięczność, niż sądziłem – rzekł kupiec do Evaha. – Dzisiaj wieczorem, kiedy staniemy na nocleg, zajdź do mnie.

Odwrócił się na pięcie i odszedł opatrzeć ranę na rękę, a Werbel mrugnął do chłopca:

– Wdzięczność naszego kupca to cenny towar – roześmiał się. – Ale należy ci się za dzielność. Nie chciałbym cię spotkać w ciemnym zaułku, kiedy dorośniesz. Co tam, i dzisiaj bym nie chciał.

Evah uśmiechnął się, mile połechtany, chociaż zdawał sobie sprawę, że z takimi żołnierzami jak Werbel czy inni ludzie z eskorty nie może się jeszcze równać. Zaskoczył zbója, i tyle. Miał trochę szczęścia.

– No dobrze. – Werbel trącił jeńca nogą. – Trzeba cię opatrzeć. Na szafot pójdziesz jak mężczyzna, na własnych kulach, nie będą cię kaci wnosić.

Bandyta otworzył usta, żeby rzucić jakieś przekleństwo, ale zamknął je z trzaskiem, w samą porę przypominając sobie, jak smakuje kuksaniec Kałduna. Gruby żołnierz nie trącił go przedtem z dużą siłą, ale i tak jeszcze się rannemu kręciło w głowie.

– Kucharz zaraz będzie wydawał polewkę – rzekł Werbel. – Idź zjeść, a potem przynieś nam nasze miski. Musimy się teraz dobrze zająć tym bałwanem. Całkiem niezłe go poharatałeś.

Evah z wdzięcznością i ulgą spełnił prośbę. Nie miał ochoty patrzeć na ofiarę swojego miecza. Sprawiało mu to przykrość.

Rozdział 9

Kupiec Harimi



Harimi jako jedyiny spędzał noce w namiocie lub na zadaszonym wozie. Pozostali – woźnicy, strażnicy, tragarze i pomniejsi kupcy, którzy przyłączali się po drodze do karawany – spali pod gołym niebem, a gdyby padał deszcz, mieli przygotowane do rozłożenia nad głowami płachty mocowane na gałęziach. Zawsze też można było wleźć pod wóz.

Dbano przede wszystkim o towar, nie o wygodę. Synowi myśliwego to nie przeszkadzało, jako że nawykł nieco do surowych warunków, kiedy ojciec zabierał go na dłuższe wyprawy. Jednak na jednym z wozów jechał chłopiec będący albo w wieku Evaha, albo nieco młodszy, o wiele od niego niższy i szczuplejszy, wręcz chudy. Tylko jemu pozwalano prawie przez cały dzień podróżować w ten sposób. Wszyscy inni mogli przysiąść się do woźniców tylko od czasu do czasu i na krótko. Harimi powtarzał, że do odpoczynku służą popasy. Wędrowali więc cały dzień i jedli bez zatrzymywania się. Kucharz wydawał posiłki prosto ze swojego wozu, wypełnionego zapasami, na którym miał także coś w rodzaju pieca do podgrzewania wcześniej przygotowanych potraw. Dopiero wieczorem podróżni mogli zjeść coś bardziej treściwego i gorącego.

Wspomniany chłopiec również nocy nie spędzał z innymi, lecz w namiocie kupca, z czego ten był jawnie bardzo niezadowolony.

Kiedy Evah odchylił płachtę zasłaniającą wejście, Harimi właśnie był w trakcie posiłku. Zranioną rękę miał owiniętą szarpkami, ale chyba niezbyt mu dolegała, bo całkiem sprawnie się nią posługiwał. Szczupły chłopiec siedział w kącie na niskim taborecie i również coś jadł.

Na widok syna myśliwego Harimi uśmiechnął się szeroko. Evah bodaj po raz pierwszy zobaczył na twarzy kupca inny grymas niż niezadowolenie,

rozczarowanie lub gniew. W tej chwili smagły mężczyzna wydawał się o wiele przystojniejszy niż zazwyczaj, a na pewno sympatyczniejszy.

– Witaj, Evahu, synu Krunnaha – rzekł, lekko się nawet podnosząc na powitanie. Miał na wpeł chrapliwy, a na wpeł śpiewny akcent, ale bardzo dobrze posługiwał się tutejszą mową. – Weź sobie zydel i siadaj ze mną. Wprawdzie podczas drogi nie mogę cię ugościć tak, jak bym chciał, ale musi wystarczyć, co jest.

Evah rozejrzał się po namiocie i spojrzął z niedowierzaniem na kupca. Harimi siedział na wygodnym krześle przy składanym, całkiem sporym stoliku. W kącie dużego namiotu znajdowała się wygodna leżanka, po przeciwległej stronie skromniejsze legowisko, najwidoczniej przeznaczone dla chłopca. Przy wejściu, na druciano-drewnianym stojaku umieszczono dzban z wodą i miskę do mycia, a obok dyżurował cebrzyk. Na palenisku pośrodku namiotu tliły się węgle. Wprawdzie dni były już ciepłe, a nawet gorące, ale nocami potrafiło się jeszcze oziębic, a poprzedniego poranka Evah obudził się pod oszronioną derką.

W każdym razie trudno było powiedzieć, żeby Harimi przyjmował gościa w złych warunkach. Kupiec dostrzegł niedowierzanie na twarzy chłopca i roześmiał się.

– Widzisz, w moich stronach zwykliśmy jadać rozłożeni na poduszkach i miękkich wałkach, a potrawy rozkładać na niskim stole, do którego każdemu łatwo sięgnąć. U was zaś siada się do posiłku, przez co wygoda jest mniejsza. Tylko że podczas podróży wydaje się to bardziej praktyczne. Ale weź już, chłopcze, ten zydel i przysiądź się do mnie. Zjesz coś?

– Przed chwilą skończyłem wieczerę – odparł Evah.

Wprawdzie nie najadł się zbyt, ale też nie odczuwał szczególnego głodu. W rodzinnym domu matka przestrzegała starej tradycji, aby nie wypełniać żołądka na noc, bo wówczas śpi się ciężko, a i koszmary często nawiedzają człowieka. Nie mógł jednak nie spojrzeć na posiłek kupca. Nie różnił się zupełnie od tego, co jedli inni, tyle że na talerzyku pośrodku stołu piętrzyły się różnokolorowe, niewielkie i niezbyt foremne kostki, oprószone czymś białym. Dolatywał od nich owocowy zapach.

– Nie odmówisz jednak, żeby skosztować tego – rzekł kupiec, podsuwając chłopcu talerzyk. – U nas mówimy na to rahat hulqum, co znaczy ukojenie gardła. Wyrabia się je z mąki, cukru i owoców. Są bardzo słodkie i bardzo smaczne. Spróbuj. To bodaj moja jedyna słabość. Gdyby pozbawić mnie tych smakołyków, pewnie bym oszalał.

Evah sięgnął po kostkę na samej górze. Włożył ją do ust, rozgryzł. Przez chwilę czuł tylko samą słodycz, choć zupełnie inną niż w przypadku miodu, do którego nawykł od urodzenia. O cukrze słyszał wprawdzie, ale nikt we wsi go nie używał, nawet bogaty kowal. I nagle coś jakby wybuchło Evahowi na języku,

jakby chłodny, rozkoszny płomień wypełnił go aż po gardło. Nigdy dotąd czegoś podobnego nie doświadczył. Rahat hulqum smakował rzeczywiście słodko, prawie od tego mdliło, ale tylko na początku. Potem do słodczy dołączyła woń wiśni, truskawek i czegoś, czego chłopiec nie potrafił nazwać, ale kojarzyło się z różami, a następnie usta chłopca wypełniła kolejna feeria smaków. Nie mógł się powstrzymać i jęknął z rozkoszy.

– Coś niesamowitego, prawda? – powiedział Harimi.

Evah pokiwał gorliwie głową, ale odezwał się dopiero, kiedy przełknął.

– Wcale się nie dziwię waszej słabości, czcigodny Harimi – rzekł, czując, jak słodycz spływa do żołądka i przygoda z nią wcale się nie kończy. Zrozumiał, dlaczego nazwa smakołyku oznacza ukojenie gardła. Miał wrażenie, że pogłaskała go tam miękka, ulotna dłoń bogini Kalirny, patronki kucharzy i medyków.

– Nie można jednak pozwolić sobie na zbyt wiele... – Harimi sam ugryzł kawałek kostki. – Nawet tak królewska potrawa może spowszednieć. Nie jestem jednak w stanie chociaż raz dziennie przy kolacji odmówić sobie jej skosztowania.

Zachęcił gestem chłopca, żeby spróbował innego smaku. Evah skwapliwie skorzystał z propozycji. Teraz był już przygotowany na to, co się stanie, więc z uwagą starał się rozpoznawać, z czego przyrządzono kosteczki o konsystencji delikatnej galarety. Teraz wyczuł coś jakby jabłko, reszty składników zupełnie nie umiał jednak określić. Ale nic dziwnego, przecież nie miał do tej pory okazji próbować egzotycznych owoców, o których opowiadał ojciec. Ciekawe, czy Krannah wiedział, jak smakuje rahat hulqum...

Harimi wstał, wziął drewniane, pięknie inkrustowane pudełko, wrzucił do niego słodycze, choć Evah chętnie zapoznałby się z innymi kostkami.

– Na dzisiaj wystarczy – oznajmił. – Człowiek powinien mieć o czym marzyć, nawet jeśli jest najbogatszy na świecie.

Evah przełknął ślinę, spojrzał na chłopca w kącie. Harimi podążył za jego spojrzeniem. Westchnął ciężko.

– Jeśli zastanawiałeś się, dlaczego nie chciałem cię przyjąć do taboru – rzekł – to właśnie za jego przyczyną. Już ci tłumaczę. – Uniósł rękę, widząc, że Evah otwiera usta. – Widzisz, przyplątał się do nas po drodze. Jego krewniak błagał, żebym go zabrał do Salmary, gdzie dzieciak ponoć ma zamożnych krewnych, którzy przyjmą go pod dach. Brat jego dalekiej kuzynki sam nie mógłby go wykarmić. Trochę się zdziwiłem, bo dodatkowa para rąk do pracy w gospodarstwie zawsze się przyda, a wyrostek już jest w takim wieku, że może pracować.

Przyjrzał się szczupłemu chłopcu i znów westchnął.

– Pomyślałem jednak, że niespecjalnie go kochają, może mieli jakieś kłótnie z jego rodzicami? Bywa. Uznałem, że przyda się w taborze. Wiele nie udźwignie, na strażnika się nie nadaje, ale coś tam zrobi. Myliłem się. Ralemah nie dość, że nic nie mówi, nic nie potrafi, to jeszcze niewiele może zrobić. Wszystko leci mu z rąk, z najwyższym trudem przynosi ten niewielki cebrzyk z wodą.

Ralemah... Evah dopiero zdał sobie sprawę, że nie znał nawet imienia tego chłopca. Parę razy chciał do niego podejść i porozmawiać, ale musiał pilnować wozu z przyprawami. A kiedy rozbijali obozowisko, szczupły chłopaczek zaraz zniknął w namiocie kupca. Wyglądało na to, że boi się ludzi.

– Dlatego kiedy mistrz Rinnah przyszedł do mnie w twojej sprawie, z miejsca odmówiłem – ciągnął Harimi. – I gdyby nie nasze wzajemne zobowiązania, zdania bym nie zmienił. Spodziewałem się, że skoro też niedawno straciłeś rodziców, możesz być taką samą niezgugłą jak on.

– Stracił rodziców... – Evah poczuł serdeczne współczucie dla chłopca. Doskonale przecież wiedział, co Ralemah czuje. – Jak?

Kupiec rozłożył ręce.

– Do końca nie wiem. Jego krewniak wspominał coś, że cała wieś padła ofiarą tego samego stwora, co twoja. U nas mówi się na niego sulb'asham. Nie pamiętam, jak to jest po waszemu, chociaż Rinnah wymienił nazwę, a od Ralemaha przestałem już próbować coś wyciągnąć. Tyle wiem, że nie było go wówczas w osiedlu, wysłali go po coś do krewnych w innej wiosce. Jak wrócił, zastał puste domy i głodne zwierzęta. Tak mówił mąż jego kuzynki.

– Potwór? – zdumiał się Evah. – Mojego ojca zabili siepacze Żelaznego Kruka, a matkę porwało i pewnie już zamordowało to straszne ptaszysko!

– O, Żelazny Kruk! – ucieszył się Harimi. – Właśnie.

Evah skinieniem głowy przeprosił kupca i podszedł do chłopca. Tamten uczynił ruch, jakby chciał uciec, ale siedział dalej, może dlatego, że nie bardzo miał dokąd.

– Jestem Evah – powiedział syn myśliwego. – Z twego imienia wnoszę, że mieszkasz gdzieś w moich stronach...

– Sporo dalej na południu – podpowiedział z tyłu kupiec. – Ale mówią tym samym narzeczem. No i imiona nadaje się tam podobne.

– Widzisz – mówił dalej Evah bardzo łagodnym tonem – ja też straciłem rodziców przez tego potwora. Kiedy na was napadł?

W pustych do tej pory oczach Ralemaha pojawiło się coś więcej niż obojętność. Jakby iskierka zainteresowania.

– Nie jesteś przecież niemową – powiedział Evah. – Odpowiedz. Zobacz, spotkało mnie takie samo nieszczęście, ale staram się żyć dalej.

Ralemah milczał uparcie. Evah pomyślał, że nic z niego nie wydobydzie. Spróbował jednak jeszcze dotrzeć do chłopca.

– Możesz się tak zamknąć przed innymi, ale to nic nie da. Ja idę pomścić bliskich. Chcę znaleźć Żelaznego Kruka i zgładzić go.

Za plecami usłyszał stęknienie.

– Oszalałeś – bardziej stwierdził, niż zapytał Harimi. – Przecież to mocarz nad mocarze! Gdyby Rinnah mi o tym powiedziała... – Zawiesił głos.

– Wiem, nie wzięlibyście mnie do karawany.

– Nie lubię samobójców – mruknął kupiec. – Zna mnie dobrze, stary przechera, wie, jak podejść...

Ale Evah go nie słuchał. Bo w tej chwili Ralemah spojrzął nie pustymi studniami źrenic, ale oczami, które wypełniały łzy.

– Zostałem sam – chlipnął. – Wszystkich straciłem.

Kupiec zamilkł, żeby nie przeszkadzać Evahowi. To, że chłopak wydobył cokolwiek od Ralemaha, zakrawało na cud. Ale doświadczony mężczyzna musiał też przyznać, że syn Krunnaha ma w sobie coś niespotykanego. Powinien zresztą być w jakiś sposób wyjątkowy, skoro zdecydował się wyruszyć w drogę dla zemsty. Przecież mógł żyć spokojnie przy rodzinie snycerza, jeśli nawet nie miał innych krewnych.

– Nie rozpaczaj – powiedział Evah. – Albo nie. Rozpaczaj, bo masz po kim. Ja codziennie wspominam matkę i ojca, co dzień ronię łzy, kiedy nikt nie widzi. Ale nie uciekaj przed ludźmi, a już na pewno nie przed tymi, którzy chcą dla ciebie dobrze. Jak chociażby czcigodny Harimi.

Ralemah spojrzął na kupca pod ramieniem Evaha i skulił się.

– Kiedy ja się go boję... Musisz być bardzo odważny, że z nim rozmawiasz.

– Bo jest! – huknął nagle kupiec, a szczupły chłopak aż się skulił. – Dziś rano sam obezwładnił i wziął do niewoli rosnącego zbója! Z niego byś brał przykład, a nie zachowywał się jak słaba dziewczucha!

Evah skrzywił się, przypuszczając, że słowa Harimiego sprawią, iż Ralemah znów całkiem zamilknie. Jednak nie. Najwyraźniej chłopiec skoro już się raz odezwał, wyzwolił umysł z jakichś więzów.

– Bo jest silny – powiedział nieśmiało. – Sami zobaczcie, panie. Evah jest duży i mocny, a ja mały i słaby...

Harimi, który sam się przestraszył, że coś zepsuł, machnął ręką.

– Mały i słaby może stać się dużym i silnym. Albo przynajmniej mądrzejszym od innych. Ja tam byłem najmłodszy z braci, zawsze trzymałem się z tyłu, nikt mnie nie słuchał. Ojciec też miał mnie za nic, bo ciągiem chorowałem i nie rosłem, jak trzeba. Alem się pewnego dnia zaparł, postanowiłem, że stanę się bogaczem, i zobacz, kim jestem teraz. A jeszcze dwadzieścia lat temu, gdyby ktoś w moim rodzinnym mieście powiedział, że

Harimi ben Rabbani będzie prowadził własne karawany, że możni panowie będą brać od niego towary i pożyczać pieniądze, wyśmialiby go w oczy.

Evah przysiadł obok chłopca.

– Słyszysz? Trzeba się wziąć w garść, inaczej nic z ciebie nie będzie.

Ralemah spojrział na kupca, potem odwrócił głowę ku Evahowi i wybuchł płaczem. Syn myśliwego chciał go uspokajać, ale kupiec go uciszył.

– Niech się wypłacze – rzekł. – Odkąd go wziąłem miesiąc temu do taboru, nie uronił jednej łezki. Musi sobie ulżyć, oczyścić i opłukać duszę. Tobie też, widzę, łzy się cisną do oczu.

– Ja już się dość napłakałem – odparł twardo Evah. – Teraz chcę już tylko usłyszeć śmiertelny jęk potwora.

Harimi pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Mówił mi Rinnah, że dobra w tobie i wojownicza krew, ale myślałem, że przesadza, aby mi ciebie wcisnąć. Nie gniewaj się, lecz właśnie dlatego przydzieliłem cię do wozu z przyprawami. Myślałem, że nie dasz sobie rady i zaczniesz błagać o inną pracę już pierwszego dnia, a najdalej drugiego. Toż nawet starzy żołnierze nie wytrzymują tego zapachu. Mnie on nie wadzi tak bardzo jak wam, ludziom z północy, ale muszę uczciwie przyznać, że nie chciałbym pełnić takiej służby.

– Jesteś ze mną szczery, czcigodny Harimi, to i ja powiem prawdę. Gdybym nie obiecał stryjowi Rinnahowi, że dojdę wraz z karawaną do Salmary, już pierwszego dnia bym was opuścił i ruszył sam. Potrafisz być niesłuchanie nieprzyjemny i szorstki. Trudno to czasem znieść.

– Taką mam już naturę – odpowiedział kupiec z powagą. – Sam niewiele dobra zaznałem od innych przez całe życie, więc nie widzę potrzeby, aby pieścić się z ludźmi. Kto nie potrafi sam sobie poradzić, albo zginie, albo czeka go byle jaki los.

– Dziwiłem się tylko, że pozwalacie nocować w swoim namiocie temu chłopcu i nie gonicie go do pracy, jak innych – podjął Evah. – Ale teraz już wiem dlaczego. Nie jesteście tak bezwzględni, jakim się wydajecie i za jakiego chcecie uchodzić.

– Nie?! – Harimi uniósł brwi. – A jaki niby jestem?

– Och, oczywiście szorstki i nieprzyjemny, nie obraż się, czcigodny, za te słowa, skoro już raz się rzekły. Ale pod tą twardą skórą bije gorące serce. Kto inny oddaliłby Ralemaha, mając go za darmozjada i nie bacząc na nic. A wy go ciągniecie ze sobą. Przecież nie dla jakiejś korzyści.

Harimi potrząsnął głową ze zmarszczonymi groźnie brwiami, ale zaraz się roześmiał.

– Niech ci będzie. Ale jeśli zaczniesz takie rzeczy rozpowiadać wśród ludzi, nie daruję. Wyrzucę z taboru, a strażnikom przy bramach Salmary dam znać, by

cię nie wpuszczali. Ci, co ze mną idą, mają wiedzieć, że jestem groźny i nie znam litości. Inaczej wejdą mi na głowę. Już i tak przez tego tutaj uznali, że mam nieco stępione pazury, przez co jednego z drugim musiałem nauczyć moresu.

– Jak sobie życzysz, czcigodny. – Evah uśmiechnął się lekko. – Ojciec mówił, że podoficer w wojsku musi się żołnierzom wydawać gorszy od biesów, żeby podwładni woleli iść na wroga, niż uciekać z pola walki i narażać się na gniew sierżanta czy kaprała.

– Sporo wiedział o życiu twój ojciec – mruknął Harimi. – I zaprawdę dobrze cię wychował. Przydałby mi się taki pomocnik. Własnych synów nie mam, co się urodzi, to dziewczucha, a przyuczyłbym cię do kupieckiego fachu.

Evah pokręcił głową.

– To nie dla mnie, czcigodny – rzekł. – Wybaczcie. Mam przed sobą inną pracę.

Harimi rozłożył ręce.

– Nie będę cię namawiał i zawracał z drogi. Pewnie gdzieś tam zostawisz gorącą głowę. Ale gdybyś jakimś cudem wrócił i zapragnął nieco spokojniejszego życia, znajdź mnie. Drzwi mojego domu zawsze będą stały przed tobą otworem.

Evah, rozumiejąc, że to już koniec rozmowy, skłonił się lekko gospodarzowi i podał rękę Ralemahowi. Chłopiec uścisnął ją po chwili wahania, a potem uśmiechnął się nieśmiało.

– Dobrze, że masz krewnych, którzy cię przyjmą – rzekł Evah. – Słyszałem, że Salmara to wspaniałe miasto.

– Znam wspanialsze – rzucił Harimi, a kiedy Evah spojrział pytająco, dodał: – Połazisz po świecie, sam zobaczysz. Ale uczciwie muszę przyznać, że Salmara do ostatnich nie należy.

Evah wyszedł z namiotu, odetchnął rześkim powietrzem wieczoru. Dopiero zdał sobie sprawę, że pod płachtą było mu cokolwiek duszno. Przez tych parę dni przywykł do spędzania nocy pod gwiazdami, zresztą na wyprawach łowieckich z ojcem najbardziej lubił właśnie takie noclegi.

Przy ognisku siedzieli żołnierze i raczyli się miodem.

– Siadaj z nami! – zawołał Kałdun. – Pokonałeś pierwszego wroga, należy ci się pierwszy łyk trunku.

Evah podszedł, usiadł na derce obok Werbla, ale odmówił przyjęcia dzbana.

– Ojciec zawsze mówił, że na to przyjdzie czas, gdy będę całkiem dorosły. Teraz go co prawda już nie ma, ale nie chcę lekceważyć jego nauk. A może zwłaszcza teraz...

– Nie mazgaj się – powiedział niski krępy żołnierz, przezywany Dzbankiem z racji pociągu do wina. – Jak powaliłeś dorosłego chłopca, to już sam dorosły chłop jesteś. Chyba żeś nie chłop tylko kura, co grzebie po obejściu.

– Nie mazgaję się – warknął Evah. – Pamięć ojca jest dla mnie ważniejsza niż twoje głupie gadanie.

Dzbanek, podchmielony już, poderwał się z miejsca, ale Kałdun chwycił go za ramię i zmusił, żeby usiadł.

– Bardzo słusznie chłopak postępuje – pochwalił chłopca, a wielu z obecnych przytaknęło. – Szacunek ma dla rodziców, więc go nie obrażaj. Ty byś ojca nie posłuchał, co?

Wyrywny najemnik uspokoił się już.

– Ja tam ojca nie znałem – mruknął. – Może i dobrze, bo matka mawiała, że był nicpoń i drań. Nie gniewaj się, chłopcze. Podchmielony jestem, to jęzor szybszy niż rozum.

Evah skinął mu dłonią i rozluźnił mięśnie. Przez chwilę myślał, że będzie zmuszony walczyć z niedużym, lecz mocnym mężczyzną. Dopiero potem przyszło mu do głowy, że pozostali nie pozwoliliby na coś podobnego.

Siedział i słuchał opowieści żołnierzy. Jedne były smutne, inne wesołe, a zdarzały się też straszne. Zastanawiał się, na ile można wierzyć w te najbardziej fantastyczne. Pewnie niektórzy zmyślali i dodawali coś do prawdy albo i w ogóle kłamali. Nie przeszkadzało mu to jednak słuchać ich z ciekawością. Wreszcie jednak głowa zaczęła mu opadać, a kiedy w pewnej chwili przysnął, oparty o ramię Kałduna, i zbudził się, bo żołnierz zmienił pozycję, postanowił iść spać przy wyznaczonych jego grupie wozach.

Przed zaśnięciem jakiś czas wpatrywał się w niebo. Podobno każdy człowiek ma gdzieś tam swoją gwiazdę, a kiedy umiera, i ona gaśnie. Ojciec twierdził, że to tylko opowieści, a gwiazdom los człowieka jest obojętny, ale chłopiec nie był tego taki pewien. Może Przedwieczni tak właśnie urządzili ten świat? Mimo woli łapał się na tym, że ze smutkiem myśli o zgasłej gwiazdzie ojca. A pewnie i matki. Nie wiedział, gdzie były przedtem, tak jak nie miał pojęcia, w którym miejscu szukać swojej. Podobno istnieli ludzie, którzy potrafili czytać z firmamentu – uczeni i kapłani – lecz pilnie strzegli swoich tajemnic.

Rozdział 10

Stolica księstwa



Jeśli Rukka wydawała się Evahowi wielkim miastem, to nie bardzo wiedział, co miałyby rzec o stolicy księstwa Valdesse. Prawdę mówiąc, przez chwilę myślał, że w jakiś magiczny sposób przekroczyli już bramę, zanim jeszcze znaleźli się na rogatekach. Ścisk na trakcie panował tak wielki, że tłok na targu w grodzie barona di Rukkona zdawał się w porównaniu z nim zupełną drobnostką.

Już dobre dwie staje przed widocznymi w oddali murami rozłożyły się kramy z różnościami, a przekupnie i przekupki krzyczeli wniebogłosy, zachęcając podróżnych do skorzystania z ich ofert i usług.

Chłopcu aż zakręciło się w głowie od tego zgiełku. Zacisnął na chwilę powieki i wziął głęboki oddech, żeby opanować słabość. Werbel, który siedł po tej samej stronie wozu z jedwabiami, dostrzegł, jakie wrażenie uczynił tumult na Evahu, i trącił go w ramię.

– Zobaczysz, jak jest w środku – powiedział. – W ulu pszczoły tak się nie uwijają i nie jest tak gęsto.

Od czasu pamiętnego napadu Harimi nie zmuszał już Evaha do codziennego pilnowania wozu z przyprawami. Chłopiec pełnił przy nim służbę jak wszyscy inni. Ale nadspodziewanie często trafiał na Werbla albo Kałduna. Miał wrażenie, że kupiec celowo tak właśnie robi, aby stykał się z wiarusami. A ci nie mieli najwyraźniej nic przeciwko temu, szczególnie Werbel, któremu syn myśliwego przypadł do serca.

– Wiesz chociaż, co chcesz robić, jak już dotrzemy, i gdzie się obrócić? – zapytał któregoś dnia, kiedy maszerowali obok siebie.

Evah wzruszył ramionami.

– Muszę znaleźć kogoś, kto mi wskaże, gdzie powinienem szukać gniazda Żelaznego Kruka. Jakiegoś mędrca najlepiej.

– Chyba zupełnego wariata! – roześmiał się Werbel. – Trzeba być szalonym, żeby poszukiwać siedziby potwora. No i nie wiem, czy jaśnie panujący na tych ziemiach Roderian Ignatio del Valdesse byłby zachwycony, gdyby ktoś pod jego bokiem i czujnym okiem zajmował się takimi sprawami.

– Dlaczego? – zdumiał się Evah. – Czy to tak wielka i groźna tajemnica?

– Na pewno wielka i na pewno groźna. – Łysy najemnik pokiwał głową. – Na tyle, żeby ksiązę Valdesse zabronił podobnych poszukiwań. Panuje przekonanie, że zbyt ciekawość może wywołać zemstę bestii.

Chłopiec nie mógł tego pojąć.

– Przecież na moją wioskę Kruk napadł bez żadnej przyczyny. A wielkich miast podobno nie rusza. Nawet grodów.

– Przynajmniej do tej pory nic podobnego nie miało miejsca – zgodził się Werbel. – Jednak możni najwyraźniej obawiają się, żeby i im się nie oberwało, jeśli podrażnią stwora. A poza tym nie musi napadać miast, wystarczy, że narobi szkód we wsiach. Kto będzie wówczas płacił podatki?

Milczał przez dłuższą chwilę, zanim zapytał:

– Masz w ogóle do kogo iść w mieście? Gdzie się zatrzymać?

Evah potrząsnął głową. Wyruszając w drogę, nie bardzo myślał o takich sprawach.

– Sam nie wiem. Stryj polecił mi, żebym udał się do jego znajomego, ale może go nie być w Salmarze, bo często podróżuje. Jakoś sobie poradzę.

– Ech, dzieciaku – westchnął żołnierz. – Zrobimy tak. Ja zatrzymam się w gospodzie Pod Czerwonym Bykiem, niedaleko południowych murów. To wprawdzie zakazana dzielnica, ale nie zdzierają z człowieka ostatniej koszuli. Pieniądzy pewnie też nie masz?

– Mam trochę miedziaków – przyznał Evah. – Stryj chciał mi dać dwa dukaty, ale nie wzięłem. Dość się wykosztował dla mnie na dary dla barona.

Werbel machnął ręką w geście rezygnacji.

– No toś się wybrał w drogę... Nieważne. W każdym razie gdyby coś poszło nie tak, przyjdź do gospody i pytaj o mnie i Kałduna. Zabawimy parę dni, zanim nasz kupiec sprzeda należną część towaru i ruszymy dalej. Przez ten czas może coś wymyślimy, a może z nami pociągniesz.

– Dziękuję ci – rzekł ze wzruszeniem Evah.

Kiedy przyłączał się do karawany, doświadczeni żołnierze popatrywali na niego z pewną niechęcią. Niepotrzebny był im szczeniak pętający się pod nogami. Dopiero kiedy przekonali się, że jest twardy i nie narzeka z byle powodu, zaczęli mu okazywać szorstką sympatię. A po walce z rozbójnikami traktowali go już jak swojego.

– Nie masz na razie za co dziękować – odparł Werbel.

A teraz na widok potężnych murów Salmary chłopca ogarnęły wątpliwości. Jeśli w środku jest jeszcze gorzej niż na rozległym podgrodzium, to jak sobie poradzi?

Spojrzał na idącego tuż za nim wiarusa, ale zanim zdążył zapytać, czy wie, jak się dostać na ulicę Ciesielską, poczuł szarpnięcie. Ktoś obrócił go do siebie i chłopiec stanął twarzą w twarz z kostropatym kramarzem.

– Kup cięciwy do łuku, młody żołnierzu! – wrzasnął mężczyzna prosto w jego nos. Evah poczuł przykry odór strawionego czosnku. – Mam najlepsze cięciwy w Salmarze. Co tam w Salmarze, w całym księstwie! A ty, widzę, z łukiem chodzisz, to ci się zapas nada!

Evah wyszarpnął ramię z uścisku przekupnia, zerknął na stragan. Rzeczywiście, leżały na nim cięciwy do łuków i kusz różnych rozmiarów, pozwijane w zgrabne gniazdko, z okapu zwisały następne, a obok, na osobnym stoliku spoczywały ochraniacze na przedramiona i palce.

Chłopiec przystanął z zaciekawioną miną, a kostropaty mężczyzna, wietrząc zarobek, krzyczał jeszcze głośniejszym głosem, zachwalając zalety swoich wyrobów. Trzeba było przyznać, że cięciwy wyglądały pięknie – natłuszczone i starannie splecione. Evah spojrzał na tabor. Jego wóz pełził powoli, Werbel obejrzał się tylko, ale nie mógł dołączyć do chłopca i zostawić ładunku samego, żeby ktoś nie skradł jakiejś cennej beli materiału.

– Pokażcie mi tę. – Evah wyciągnął rękę, wskazując na cięciwę z wyglądu pasującą do jego łuku.

Kramarz wykonał prawie niewidoczny ruch i przedmiot znalazł się w dłoni chłopca. Evah przesunął palcami po splocie, nacisnął mocno owijkę przy pętłach. A potem skrzywił się. Towar może wyglądał dobrze, ale czuć było, że nie jest najlepszej jakości. Sploty ładne, jednak zbyt luźne, podobnie owijka pod pętlami.

– Ile za to chcecie? – spytał.

– Niedrogo, młody żołnierzu! Bardzo niedrogo! Ćwierć sztuki srebra będzie w sam raz!

Evah roześmiał się na cały głos. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. W Rukce za cięciwy o wiele lepszej jakości sprzedawca wołał góra trzy miedziaki, a i to musiał się zajadle targować, żeby otrzymać choć dwa. Zresztą tak naprawdę chłopiec nie potrzebował cięciw, miał przecież tę na łuku i dwie w zapasie, w dodatku wykonane przez ojca, mocne i trwałe.

– To ile dasz? – zapytał handlarz.

– Nic nie dam – odparł Evah. – Za darmo bym nie wziął.

Odwrócił się na pięcie i odszedł, ścigany wyzwiskami zawiedzionego przekupnia. Słyszał też śmiech ludzi, którzy słyszeli, jaką dał odprawę partaczowi. Kiedy dogonił Werbla, ten pokiwał głową z uznaniem.

– Nie dasz się w kaszy zjeść – rzekł. – Nie pozwoliłeś się ogłuszyć gadaniem i olśnić blichтром.

– Znam się na cięciwach – odpowiedział z pewną dumą Evah. – Byle czego mi się nie wciśnie.

– Tak, na cięciwach się znasz. – Werbel niecierpliwym gestem odgonił wyrostka, który próbował podejść niepostrzeżenie do wozu. – Ale w wielkim mieście i wielkim świecie nader często natkniesz się na oszustów i drobnych spryciarzy, którzy patrząc ci szczerze w oczy i zapewniając o przyjaźni, jednocześnie będą odcinać od twego pasa sakiewkę. Uważaj. Życie jest pełne takich handlarzy cięciwami. Nieraz mogłem się o tym przekonać na własnej skórze.

Przez chwilę obaj milczeli, zresztą zgiełk i pokrzykiwania nie sprzyjały rozmowie. Evah z ciekawością i niepokojem przyglądał się zębatym murom. Salmara była nie tylko miastem, lecz także potężną twierdzą. Chłopiec nie miał do tej pory pojęcia, że można zbudować coś tak ogromnego.



A w środku było rzeczywiście niesamowicie ciasno. Ciasno i tłoczno. Evah miał wrażenie, że ściany napierają na niego ze wszystkich stron, w pewnej chwili zrobiło mu się duszno.

Większa część karawany została za murami, ludzie rozkładali obóz, grodzili go linami. Nie obyło się bez sprzeczek i utarczek z innymi taborami, które też przybyły do miasta. Wszystko szybko się jednak uspokoilo, kiedy wyszło na jaw, że żaden z kupców nie ma tak potężnej eskorty jak Harimi. Zresztą mało który miał choćby w połowie tak dużo własnych wozów. Do Salmary wjechały cztery należące do niego i trzy z tych, którzy przyłączyli się w Rukce oraz później, a stolica księstwa była ich celem. Stały teraz na placu pod kantorem głównego celnika miejskiego, gdzie kupcy uiszczali opłaty przewozowe i targowe.

Kantor mieścił się w strzelistej kamienicy, zwieńczonej wieżyczką. Nad wejściem dwa kamienne kozły zwały się rogami, przez co ostro zakończone łukowate zwieńczenie bramy zdawało się jeszcze wyższe.

Harimi wcale nie był zadowolony, że musi się zatrzymać. Evah oczywiście dopytywał bardziej doświadczonych towarzyszy, dlaczego tak jest, widząc ponurą minę kupca zmierzającego do głównego celnika.

– Prawo składu – wyjaśnił mu Kałdun. – Tutejszy książę korzysta z tego przywileju bardzo chętnie i skrupulatnie.

Niewiele to chłopcu mówiło, więc weteran mu to wyjaśnił. Otóż każdy kupiec przejeżdżający obok miasta z towarem musiał wystawić przynajmniej

jego część na sprzedaż. Mógł odjechać dopiero po ośmiu dniach. Chyba żeby wyprzedał wcześniej przeznaczony dla tego czy innego miasta ładunek.

– Tu przynajmniej nie trzeba wystawiać wszystkiego, co się wiezie – mówił Kałdun. – Bo na przykład w hrabstwie Lillach, na południowy wschód stąd, miejscowy władca stosuje w swoich miastach całkowite prawo składu. Jak to nazywają, bezwzględne. To znaczy, że kupcy są zmuszeni pozostawać na miejscu tak długo, aż sprzedadzą wszystko. Dlatego Harimi jeździ przez Salmarę, chociaż tamtędy jest bliżej. Niewielkie karawany jakoś się jeszcze mogą przemknąć niezauważone, jeśli wynajmą dobrych przewodników. Ale takich taborów jak naszego kupca nie przeoczysz.

– Dlaczego więc jest taki skwaszony?

Kałdun roześmiał się.

– Bo umie liczyć. I liczy każdy grosz. Dla mnie czy dla ciebie to nie do pojęcia, jak kupcy potrafią mnożyć pieniądze i jak boli ich każdy stracony grosz. Ale tyle wiem, że dalej na północy te same towary można sprzedać o wiele drożej niż w Salmarze.

– Czyli będzie stratny? – zapytał Evah. Zrobiło mu się żal Harimiego, którego zdążył polubić, mimo całej jego szorstkości.

Kałdun znów się roześmiał, tym razem znacznie głośniej.

– Czcigodny Harimi stratny? Chłopcze, nie wiesz, co mówisz! On i tak wyjdzie na swoje. Ten spryciarz sto razy by kupił i sprzedał wszystkie biesy, demony, całą Otchłań i nawet wielu bogów. Kto wie, może zdołałby okpić nawet Przedwiecznych! – Evah aż się skulił na takie bluźnierstwo, ale doświadczony żołnierz najwyraźniej nic sobie nie robił z podobnych strachów, bo ciągnął dalej: – Tacy jak nasz kupiec nigdy nie tracą. On po prostu zarobi nieco mniej, niżby mógł, gdyby powiózł cały towar dalej. Ale to, że zarobi mniej, wcale nie oznacza od razu, żeby to było mało. Gdyby pan Harimi miał cokolwiek stracić, nie ruszyłby się z domu na krok.

Evahowi z jednej strony ulżyło, że kupiec nie dozna krzywdy, ale z drugiej zadziwiła go zarówno przemyślność władców, którzy próbują wyciągnąć pieniądze od różnych handlarzy, jak i zapobiegliwość kupców. Zwykli ludzie nie umieli się tak bronić. Ojciec mógł co najwyżej ukryć parę skór, kowal nie chwalił się wszystkim, co zrobił, jedynie młynarz umiał lepiej gromadzić grosz i radzić sobie z poborcami. Ale jego było stać, żeby kupić sobie przychylność urzędników.

– Jeszcze niejedno cię zdziwi – kpiąco pocieszył chłopca Werbel, który przysłuchiwał się rozmowie. – Nasz chlebowadca nie jest wcale najsprytniejszym człowiekiem, jakiego w życiu widziałem, choć bystrego rozumu odmówić mu nie sposób.

W tej chwili z kantoru wyszedł Harimi z kupcami. Pożegnał się z nimi uprzejmie, a potem skierował się do czekających ludzi z eskorty. Skrzywiony był bodaj jeszcze bardziej niż przedtem.

– Coraz więcej zdzierają z uczciwego człowieka – burczał, macając się po szacie na piersi. Nosił na szyi mały woreczek ze złotem. Drugi taki, o wiele okazałszy, ukrywał gdzieś indziej, może za pazuchą, a może w cholewie buta. Tego nikt nie wiedział. Kałdun uważał, że każdego dnia umieszcza go w innym miejscu. – W dodatku ostatnim zarządzeniem ksiązę del Valdesse, oby go kolka chwyciła, wydłużył czas składu do dziesięciu dni.

Ani Werbel, ani Kałdun, ani pozostali żołnierze nie wyglądali na zmartwionych. Dla nich oznaczało to dłuższy wypoczynek i dwa dodatkowe dni żołdu.

Harimi spojrział na Evaha, skinął na niego głową, a potem odprowadził na bok.

– Na pewno nie chcesz dalej u mnie służyć?

– Na pewno, czcigodny – odparł Evah, potrząsając lekko głową. – Chyba żeby okazało się, że razem nam po drodze. Lecz tego muszę się dopiero dowiedzieć.

– Jeśli ci wypadnie ze mną, zgłoś się do domu Pod Beczką Miodu. Stoi przy samym rynku, a nad wejściem ma wyrzeźbioną okazałą beczkę, jak łatwo odgadnąć. Chyba że od razu udasz się tam ze mną na pomieszkowanie. Wynajmuję kwaterę nie za wielką może, ale jakoś się pomieścimy.

– Dziękuję wam, czcigodny Harimi, lecz muszę radzić sobie sam. Weźcie tam lepiej Ralemaha...

– Jego po powrocie do obozowiska ktoś odprowadzi do krewnych. Nic mi po nim. Żal mi wyrostka, ale nie zamierzam go piastować.

Evah skrzywił się lekko, ale nic nie powiedział. Cóż, kupiec sam niewiele zaznał w życiu dobroci i miłości, nie umiał ich więc okazywać innym.

– Ale dla ciebie mam coś, gdybyśmy się nie zobaczyli – mówił dalej Harimi. W jego rękę pojawiła się lśniaca moneta. – To za dobrą pracę.

– Nie trzeba, czcigodny! – Chłopiec wzdragał się przed przyjęciem srebrnego dukata. – To ja winien wam jestem wdzięczność za to, że przyjęliście mnie do karawany.

– Nie opowiadaj głupstw! – zirytował się kupiec. – Gdyby trzeba było ci dawać opiekę, sam bym w drodze powrotnej wstąpił do mistrza Rinnaha, żeby mi zapłacił za fatywę. Aleś okazał się pomocny i dzielny. Należy ci się, jak każdemu człowiekowi z eskorty.

Evah, widząc, że naprawdę rozsierdził krewkiego kupca, przyjął monetę. Włożył ją zaraz do trzosika, w którym trzymał miedziaki.

– Bądź zdrow! – Harimi klepnął chłopca w ramię. – I pamiętaj, że gdyby ci wypadła droga na Nelarę, chętnie cię ujrzę wśród najemników.

Nie czekając na słowa pożegnania ze strony Evaha, odwrócił się i machnął na woźniców:

– Zajeżdżać na główny targ! A żywo! Zanim się rozłożymy, południe będzie!

Evah pomachał żołnierzom i ruszył w swoją stronę. Werbel już przedtem rozpytał się dla niego o drogę do znajomka Rinnaha.

Rozdział 11

Zaufki Salmary



Gospoda Pod Czerwonym Bykiem wyglądała lepiej, niż wyobrażał to sobie Evah po opowieściach Werbla. Nad wejściem wisiał szyld z wymalowanym jaskrawą czerwoną farbą zwierzęciem, które przypominało bardziej przestraszonego psa niż rozgniewanego buhaja. Gdyby nie imponujące rogi, można by się pomylić. Evah pomyślał, że stworzenie, mające coś takiego na głowie, musiałyby się przewracać na pysk przy każdym kroku. Ale przynajmniej nie pozostawiało wątpliwości co do tego, że trafił we właściwe miejsce.

Werbel i Kałdun przywitani chłopca serdecznie.

– Nie myślałem, szczerze mówiąc, że cię jeszcze zobaczę – rzekł łysy najemnik, klepiąc go po ramieniu.

– Znajomka mojego stryja nie było w domu – wyjaśnił chłopak.

– Tego się już domyśliłem, ale przypuszczałem, że pójdziesz raczej do naszego kupca. Wszak cię zapraszał.

Evah wzruszył lekko ramionami.

– Zapraszał, ale jakoś mi nieskoro korzystać z gościny, jeśli wcale nie zamierzam z wami jechać dalej. Sam jeszcze nie wiem, dokąd przyjdzie mi się udać.

– Ech, głupiś – rzekł Kałdun. – Pan Harimi wyróżnił cię jak nikogo, odkąd pamiętam, a najmuję się u niego dość często.

– Właśnie – zawtórował kompanowi Werbel.

Usadzili chłopca na ławie w sali jadalnej, Kałdun kazał mu przynieść chleba i zimnego mięsa. Nad wejściem do pomieszczeń kuchennych znajdował się wyliniały łeb prawdziwego byka z obłamanym dokumentnie prawym rogiem.

– Tak naprawdę, gdyby nawet czcigodny kupiec chciał mi tak ścielić na jedwabiach – odezwał się Evah – i tak wolę побыć z wami. Swobodniej się czuję

niż przy nim.

– I teraz słusznie prawisz! – ucieszył się Werbel. – Swojego zawsze ciągnie do swoich. Nie dla ciebie wydelikaczone kołdry i miękkie poduszki. Zadek masz twardy jak żołnierz i pewnie kiedyś żołnierzem zostaniesz.

Chłopiec posmutniał. Wspomnienie tej profesji przypomniało mu o ojcu.

Ale już karczmarz przyniósł strawę i Evah zaczął się posilać. Mięso było cokolwiek twarde, ale młode zęby radziły sobie z nim bez trudu. Za to chleb okazał się naprawdę pyszny.

– Salmara słynie ze znakomitego chleba – wyjaśnił chłopcu Kałdun. – Tutejsi piekarze to mistrzowie, ale i wśród nich bywają lepsi i gorsi. Ci najgorsi są i tak lepsi niż najbardziej cenieni w innych stronach, a najlepszym nikt nie dorówna. Wyobraź sobie, że chleb z piekarni takiego artysty potrafi zachowywać świeżość przez miesiąc, a jeść go można i przez trzy. A jeśli nakroisz go na suchary, całe lata się nie zepsują i nie tracą smaku.

Evah wprawdzie słyszał o salmarskim chlebie, jednak do tej pory nie miał nigdy sposobności skosztować tutejszych wypieków.

– A te ich kruche ciastka? Idelbe? – zapytał z rozmarzeniem Werbel. – Drogie są, jakby złota do mąki sypali, ale gdy człowiek takie ugryzie, to jakby się obudził w innym, lepszym świecie.

O ciastkach idelbe Evah również coś słyszał, jednak nie chciało mu się wierzyć, żeby ktoś piekł smaczniejsze niż jego matka. Ale po skosztowaniu chleba zaczął podejrzewać, że może w tym być coś z prawdy.

– Są lepsze niż galaretki, którymi raczy się Harimi? – zapytał.

Werbel spojrział ze zmarszczonymi brwiami na chłopca.

– Skąd mam wiedzieć? Nigdy mnie kupiec nimi nie częstował. Jeśli dopuścił cię do swojego smakołyku, musiałeś mu naprawdę przypaść do serca.

– Nikt nie dostał chyba jeszcze takiego zaszczytu – zgodził się z kompanem Kałdun. – Kiedyś mnie nawet kusiło, żeby dobrać się do zapasów, ale gdyby Harimi odkrył, że brakuje choćby jednego kawałka, urządziłby taką awanturę, że usłyszałyby go chyba nawet potępione dusze w Otchłani. A dobre to jest?

– Najwspanialsza rzecz, jakiej dotąd próbowałem – odparł Evah. – Słodycz najpierw zdaje się zbyt duża, aż język drętwieje, ale potem to coś niesamowitego. – Zamilkł na chwilę, a potem dodał: – Jednak nie wyobrażam sobie jeść czegoś podobnego codziennie. Mogłoby się znudzić.

– Jak wszystko w nadmiarze – zaśmiał się Werbel. – Kałdunowi kiedyś zdawało się, że spełni marzenia, jedząc każdego dnia lakańskie kluski z sosem zalarskim. Kazał sobie przez bity miesiąc podawać tę potrawę w najlepszej jadłodajni w mieście. Stracił wówczas cały żołd, bo to nie był tani przybytek.

– I co? – zapytał Ewah Kałduna, bo łysy żołnierz umilkł na chwilę, kiedy grubas trącił go mocno w bok. – Byłeś zadowolony?

– A idź ty w biesy – odburknął tamten.

– Był zadowolony, a jak! – roześmiał się Werbel, kiedy udało mu się złapać oddech. – Przez całe cztery dni dyszał szczęściem. Ale potem było gorzej. Co ci będę dużo gadał, do dzisiaj nie może patrzeć ani na lakańskie kluski, ani na sos zalarski. Na samo wspomnienie robi mu się niedobrze. Patrz, jak zzieleniał na pysku.

Rzeczywiście, Kałdun musiał naprawdę źle wspominać tamto doświadczenie, bo może nie zrobił się zielony, jak próbował mu wmówić przyjaciel, ale wyglądał nietęgo.

– Najgorsze było to, że zapłacił za ten miesiąc z góry, a właściciel nie zamierzał wycofać zamówienia. Jak ci już mówiłem, oddał cały żołd, więc musiał jeść codziennie swoją ukochaną potrawę. – Zaczął się śmiać na wspomnienie. – Powiadam ci, Ewahu, warto było widzieć jego minę, kiedy pytaliśmy go każdego dnia, co też pysznego zje dzisiaj na obiad. Kto inny pewnie by machnął ręką i nawet się trochę przegłodził, ale nie nasz kochany Kałdun. On bez jedzenia nie jest w stanie wytrzymać nawet dnia.

– Nieprawda! – zaoponował grubszy z żołnierzy. – W czasie oblężenia Velary nie jadłem nic bite trzy dni!

– Nie jadłeś, bo nie było co. – Werbel wzruszył ramionami. – Ale i tak próbowałeś wyłudzić od kwatermistrza chociaż skibkę chleba. Roczny żołd mu obiecywałeś za kawałek suchara. Tyle że nawet on, chociaż było z niego złodziejskie nasienie, nic wówczas nie miał odłożonego i nic nie potrafił zdobyć. Wtedy zjadłbyś nawet te knedle z sosem, co?

Kałdun machnął ręką. Nie chciało mu się przekomarzać z towarzyszem, było mu ciepło, dobrze, miał przed sobą kubek miodu, więc opanowała go życzliwość dla świata.

– Podjedz sobie porządnie, chłopcze – zachęcał Ewaha, który już miał dość, ale przez uprzejmość jeszcze skubnął kilka kęsów. – W podróży człowiek się głodzi, więc kiedy zatrzyma się gdzieś na chwilę, powinien jeść do woli.

– Ty i w drodze sobie nie żałujesz – roześmiał się Werbel. – Wyobraź sobie, chłopcze, że ten żarłok za każdym razem każe dla siebie szykować na wyprawę dwa razy tyle zapasów, co inni. Może nawet więcej niż wszyscy inni razem wzięci! Odrącają mu to z żołdu, ale w jego przypadku łakomstwo jest silniejsze od chciwości.

Kałdun już się poderwał, oburzony i gotów do kłótni, ale w porę przypomniał sobie, że znajduje się w znakomitym nastroju i nie pozwoli go sobie zmacić.

– Nie narzekaj, łysy kompanie – rzekł leniwie. – Parę razy te moje zapasy przydały się wszystkim. Chociażby wówczas, kiedy się droga wśród stepów Korainy przeciągnęła i żołądki wam do krzyży przysyschały, zgadza się?

– Co prawda, to prawda – przytaknął z powagą Werbel. – Wówczas twoje obzarstwo nawet na dobre się obróciło. Ale i tak musieliśmy polować na bobaki. Okropnie smakują.

– Nie są takie złe, jeśli je dobrze przyprawić – zaprotestował Kałdun. Spojrzał na Evaha wstającego od stołu. – A ty dokąd?

– Muszę znaleźć kogoś, kto pomoże mi odszukać drogę do gniazda Żelaznego Kruka. Jeśli w Salmarze nic nie zdziałam, to gdzie?

– Tylko co zamierzasz robić?

– Nie wiem... – Chłopak rozłożył bezradnie ręce. – Na razie pochodzę, popatrzę, posłucham...

– Idź – powiedział Werbel. – Tylko wróć przed zmrokiem. Będiesz spał w naszej kwaterze.

– Właściciel nie będzie miał nic przeciwko temu?

– Spróbowałyby – roześmiał się Kałdun. – Więcej byśmy u niego pokoju nie wzięli. Łupi z nas skórę, jak się patrzy, więc niech nie narzeka, że kogoś do kompanii bierzemy. Dostanie zresztą parę miedziaków, żeby się nie bocył.



Następnego dnia Evah wracał z kolejnej wyprawy do miasta. Werbel i Kałdun nie mogli mu wiele poradzić, podpowiedzieć, dokąd pójść po wieści. Ostrzegli tylko po raz kolejny, żeby nie dopytywał się zbyt natarczywie o Żelaznego Kruka.

– Pamiętaj, mówiłem ci, że niektórzy wolą udawać, że nie wierzą w istnienie bestii – rzekł łysy żołnierz. – Lecz są i tacy, co twierdzą, że to sprawiedliwa kara, jaka spada na ludzi za grzechy.

– A co zawinili moi rodzice? – zdumiał się Evah. – Albo małe dzieci, które też zabrał?

– Mnie nie musisz przekonywać – odparł Werbel. – Jednak uważaj. Wielu rzeczy jeszcze o świecie nie wiesz, to też ci już mówiłem, ale tyle już powinienesz zyskać nauki, że nieszczęście jednego bywa szczęściem drugiego.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Evah.

– Przyjdzie czas, sam zrozumiesz – mruknął najemnik. – Po prostu nie rozpytuj na prawo i lewo. Słuchaj więcej, niż mów, jednak jeśli zobaczysz, że ktoś jest nierad twoim dociekaniom, lepiej odejść.

Evah przekonał się już sam, że Żelaznego Kruka otaczają liczne inne sekrety, i to większe, niż mógłby się spodziewać. Spodziewać? Przypuszczał raczej, że znajdą się ludzie, którzy chętnie wskażą mu właściwą drogę. Tymczasem nieraz

już uświadomiono mu, że należy ostrożnie rozpytywać o siedzibę bestii, a nawet o nią samą.

Chłopiec szedł przed siebie noga za nogą, nie śpieszył się. Wprawdzie zapadał zmrok, ale do gospody Pod Czerwonym Bykiem pozostało mu dosłownie parę kroków, a poza tym chodził przy mieczu i nożu, więc go nie zaczepiano. Wprawdzie ten i ów żebrak próbował wyłudzić jakiś grosz, ale nie dalej jak kilka chwil wcześniej kilku wyrośniętych młodzieńców na jego widok najpierw przystanęło, ale potem odeszło, w dodatku drugą stroną ulicy. Może podziałał na nich widok broni, a może mieli pilniejsze sprawy, niż osaczenie wyrostka, który nie wyglądał na bogacza.

Evah kopnął lekko czubkiem buta mały kamień. Ten poleciał wzdłuż ulicy schodzącej łagodnie w dół. Było na tyle cicho, że chłopiec przez dłuższą chwilę słyszał, jak grzechocze, odbijając się od kostek bruku.

Nagle z zamyślenia wyrwał syna myśliwego dziwny odgłos. Najpierw głucho uderzenie, a potem jakby czyjś jęk. I podniesiony głos. Nie było słyhać, co ten ktoś mówi, ale głos rozbrzmiewał gniewem. A po chwili znów uderzenie i ponowny jęk.

Kogoś biją! Taka myśl wypłynęła prawie natychmiast. Ale gdzie? W płataninie uliczek i zaułków głos niósł się przytłumionym echem i trudno było znaleźć jego źródło.

– Ratun...! – rozległ się okrzyk, ale zaraz został ucięty, kiedy nastąpiło uderzenie. Potem zabrzmiało rozpaczliwe jęknięcie.

Evah miał teraz pewność, że to z uliczki po jego lewej ręce. Rozejrzał się. Ludzie dookoła musieli również to słyszeć, ale nie zwracali uwagi ani na odgłosy razów, ani nawet na ten urwany krzyk. Przechodniów wcale nie było mało. Gdyby kilku mężczyzn skrzyknęło się i pobiegło w tamtą stronę, mogliby zapobiec nieszczęściu. Chłopiec był przekonany, że właśnie dzieje się komuś wielka krzywda.

Ale nikt nie kwapił się do pomocy. Tego zresztą należało się spodziewać nie tylko w tej zakazanej dzielnicy, lecz także w całym mieście. Każdy zajmował się wyłącznie sobą.

Chłopiec zastanowił się, czy nie pobiec po Werbla i Kałduna, ale to by zajęło zbyt wiele czasu. Postanowił sam działać, chociaż w sercu poczuł ukłucie strachu. Lecz kiedy po raz kolejny usłyszał uderzenie, a po nim następne, nie zastanawiając się dłużej, skoczył w zaułek.

Przebiegł kilkanaście kroków i stanął, widząc przerażającą scenę. Dwóch młodych ludzi trzymało jakąś postać pod ścianą, a trzeci bił ją w brzuch pięścią uzbrojoną w coś mętnie lśniącego. Obok stał mocno zbudowany starszy mężczyzna i obserwował scenę, ćmiąc spokojnie fajkę. To sprawiało, że w zaułku smród odpadków mieszał się z zapachem wonnych ziół. Na widok Evaha

wszyscy zamarli na dłuższą chwilę. Postać pod ścianą próbowała się wyrwać, korzystając z okazji, ale pięść oprawcy wylądowała na jej szczęce. Dookoła rozsypały się jasne włosy, a Evah ze zdumieniem rozpoznał młodego człowieka, który próbował w Rukce okraść nożownika.

Tamten też go musiał poznać, bo oklapł zrezygnowany. Trudno spodziewać się ratunku od kogoś, kto uważa człowieka za złodzieja.

– Wynoś się, jak nie chcesz oberwać – warknął młodzieniec uzbrojony w metalową nakładkę na palce. Żeby udowodnić wagę groźby, lewą ręką wydobył spory sztylet.

– Idź swoją drogą – powiedział stanowczo mężczyzna z fajką.

– Pójdę, ale jeśli go puścicie. – Evah starał się, żeby jego głos nie drżał, jednak nie do końca się to udawało.

Opryszkowie spojrzeli po sobie i wybuchnęli śmiechem.

– Chłopaczkę, na kogo chcesz się porwać? – spytał ten z nożem. – I z czym? Z tym mieczykiem i nożykiem?

Uderzył grzywiastego nieszczęśnika z całej siły w splot słoneczny, aż ten osunął się na ziemię bez tchu, po czym wraz z kompanami ruszył w stronę Evaha. Pałacy mężczyzna obserwował scenę z zaciekawieniem. Chłopiec zobaczył, że dwóch oprawców ma w dłoniach drewniane pałki. Pierwszą myślą było podać tyły. Drugą krzyknąć o pomoc. Ale po co? Przecież nikt się nie zjawi. Zostawić tego nieszczęśnika? Widać, że ci ludzie gotowi są zakatować go na śmierć.

Wydobył więc miecz, chwycił go oburącz, zacisnął lewą dłoń na głowicy tak, jak uczył go ojciec. „Jeżeli przeciwników będzie wielu, uderzaj mocno, szybko i krótko, a gdybyś miał mało miejsca, używaj sztychów, celuj w oczy, w gardło, w brzuch, poniżej pasa. Twoja słabość musi się stać twoją siłą. Ci, którzy atakują, mając przewagę, często stają się nieostrożni.”

Słowa te przemknęły przez głowę Evaha w mgnieniu oka i znikły. Zmusił się do równego oddechu, chociaż strach i podniecenie nadchodzącą walką sprawiały, że szybciej nabierał i wypuszczał powietrze.

Napastnicy nie mogli na szczęście zająć go ze wszystkich stron, bo zaułek był zbyt wąski, aby któryś przemknął obok, nie ryzykując ciosu krótkiego miecza.

– Schowaj ten scyzoryk – odezwał się mężczyzna. – Jeszcze masz czas uciec.

– Odejść, ale razem z nim – uparł się Evah.

Sam się sobie dziwił, że ryzykuje własną skórą dla złodziejaska. Nie był mu nic winien, tamten na pewno w podobnej sytuacji nie wahałby się go zostawić. Nie umiał jednak przejść obojętnie obok krzywdy. Nie tylko teraz – nigdy nie umiał. Przecież tak naprawdę przez to popadł w konflikt z synem kowala. Kiedy byli jeszcze dziećmi, stanął w obronie Verilli, którą Norog próbował wytarzać w

blocie. Był wtedy wyższy od Evaha o głowę i bez trudu stłukł obrońcę dziewczynki na kwaśne jabłko. Tyle dobrego, że zdołała uciec.

A teraz bronił grzywiastego złodziejaska...

– W takim razie zostaniesz tutaj. Razem z nim – zdecydował mężczyzna z fajką. – Brać go!

Przeciwnicy ruszyli jednocześnie, nie pozostawiając atakowanemu chwili do namysłu. Jednak Evah zdążył się już opanować, pozwolił prowadzić ciało wyćwiczonym nawykom i najprostszym myślom, wpojonym podczas ćwiczeń z ojcem.

Nie uderzał ostrzem, nie chciał tych młodych zbirów pozabijać. Pierwszego trzepnął krótkim łukiem w policzek, a tamten odskoczył z okrzykiem bólu. Ale drugi wzniosł już pałkę, a środkowy pchnął sztyletem. Evah musiał wybrać, co jest groźniejsze. Przed spadającym kosturem mógł się chociaż częściowo wywinąć, ale wąskie ostrze miało ugodzić go w brzuch. To znaczy, dokładnie rzecz ujmując, chłopiec nie rozważał, co robić, działał instynktownie. Miecz zatoczył kolejny krótki ruch, brzęknęła stal i sztylet zmienił kierunek, trafiając w powietrze. Tymczasem pałka opadła, Evah wprawdzie zdążył wykonać pół obrotu, ale poczuł szarpnięcie w ramieniu. Nie wypuścił broni. W tej chwili przydały się doświadczenia z Norogiem, który miał zwyczaj bić bez litości, z tej przyczyny dla Evaha ból nie był czymś zaskakującym i obezwładniającym. Jednak świadomość, że jeszcze jedno takie uderzenie, a będzie po nim, sprawiła, że przestał zważać na zdrowie przeciwników.

Pociągnął ostrze w górę. Wprawdzie celował w dzierzającą pałkę dłoni, ale zbir nierozważnie cofnął rękę i koniec miecza ugodził go w brodę. Pojawiła się krwawa pręga, ciągnąca się aż po nos. Evah widział, że ten pierwszy, którego ugodził w policzek, skacze na niego z uniesioną pałką. Jednocześnie obok twarzy błysnęła mu dłoń herszta zbirów, uzbrojona w metalową obręcz na palce.

Evah odskoczył, cios minął go o włos, pałkę przyjął na miecz, który aż zadrżał od uderzenia, a potem kopnął tego ze sztyletem poniżej pasa. Opryszek zwinął się z bólu, nie był w stanie nawet jęknąć. Drugi trzymał się za zakrwawioną twarz, stracił ochotę do walki. Pozostał tylko nietknięty pałkarz.

Evah spojrział mu prosto w oczy, a tamten cofnął się o krok. Chłopiec uznał, że koniec walki, ale zaraz pojął swój błąd. Został przecież ten mężczyzna z fajką! I właśnie on pędził na chłopca. Zanim syn myśliwego zdążył cokolwiek uczynić, poleciał do tyłu i uderzył plecami o ścianę. Wyparło mu z płuc oddech, miecz wypadł z dłoni. A mężczyzna już zbierał się do ciosu. W dłoni trzymał szeroki, długi nóż, przypominający tasak. A właściwie był to tasak, tyle że dość lekki.

Chłopiec już zaczął żegnać się z życiem, nie mógł się ruszyć, nie miał czasu zablokować ciosu.

Ale wtedy nagle mężczyzna potknął się i upadł. W każdym razie Evah myślał, że się potknął. Bo kiedy zwałista postać legła na ziemi, chłopiec zobaczył grzywiastego złodziejaszka z pałką w dłoni. Musiał ją zabrać któremuś z napastników i teraz trzasnął palacza w potylicę.

– Dzięki – wykrztusił Evah.

– Nie gadaj, uciekamy! – krzyknął grzywiasty.

Rzeczywiście, była najwyższa pora. Młodszy napastnicy zbierali się już, nawet ten z raną twarzy. Mężczyzna też zaczął szybko wstawać. Za chwilę mogło się zrobić bardzo nieprzyjemne.

Popędzili do wyjścia z zaułka. Na ulicy grzywiasty przystanął.

– Dokąd lecisz? – spytał.

– Do Czerwonego Byka. Ty ze mną?

– Ja w drugą stronę.

Za ich plecami zadudniły kroki.

– Chodu! – wrzasnął złodziejaszek.

Evah pognął do niedalekiej gospody, a ocalony w stronę małego rynku.

– Nie zapomnę ci tego! – usłyszał jeszcze Evah jego okrzyk.

Nie odwrócił nawet głowy. Biegając, słyszał odgłosy pościgu. Zdawało mu się, że prześladowcy zbliżają się nieubłaganie. Musieli go gonić we dwóch, sądząc po tupocie, a to znaczyło, że za grzywiastym popędził jeden. Bo ten, którego kopnął, tak szybko biegać jeszcze na pewno nie mógł.

Wreszcie dotarł do gospody, wpadł do środka.

Żołnierze siedzieli właśnie przy posiłku, spojrzeli na niego zdumieni. Kto inny z pewnością zacząłby go z miejsca wypytywać, co się stało, ale doświadczeni najemnicy nie tracili czasu. Od razu ocenili sytuację, zerwali się z miejsc i skoczyli do drzwi.

Kiedy te otworzyły się z hukiem i w progu stanęli ścigający chłopca zbir razem z potężnym mężczyzną, natknęli się na barczystych, gotowych do walki wojowników.

– Panowie czegoś sobie życzą? – spytał spokojnym, wręcz uprzejmym tonem Werbel. – Kogoś szukają?

W pierwszej chwili mężczyzna otworzył usta, żeby coś odszczeknąć, może nawet rozważał zaatakowanie tych dwóch, ale szybko się opamiętał.

– Jeszcze się spotkamy! – rzucił do Evaha nad ramieniem Kałduna.

Ten tylko uczynił ruch do przodu, a obaj prześladowcy znikli bez śladu. Żołnierze odwrócili się do Evaha.

– Chyba powinienesz nam coś wyjaśnić – zauważył Werbel.

Kałdun pokiwał głową, potwierdzając słowa kompana. Evah też skinął głową, usiadł przy stole i ciężko dysząc, sięgnął do pierwszego z brzegu kubka.

– Zostaw! – ostrzegł Kałdun. – To gorzałka, nie dla ciebie. Gospodarzu! Przynieś zimnego podpiwku! Tylko w dużym dzbanie.

– Zaraz wszystko powiem – rzekł Evah. – Ale najpierw się napiję. Coś mi się zdaje, że ledwie uszedłem z życiem.

Żołnierze usiedli obok niego i czekali cierpliwie, aż karczmarz przyniesie zamówienie, a chłopiec ugasi pragnienie i zacznie opowiadać.

Rozdział 12

Mistrz wróżbiarstwa



Do wyjazdu kupca, a siłą rzeczy również żołnierzy, pozostały ledwie trzy dni. Evah przez ten czas nie dowiedział się niczego przydatnego. Nie spotkał nikogo, kto by mógł mu coś doradzić. W dodatku zupełnie zmarnował całe dwa dni po bójce w zaułku, bo uderzone pałką ramię opuchło i Kałdun robił mu okłady z arniki, żeby obrzęk znikł. Gruby żołnierz znał się na leczeniu, w oddziale pełnił funkcję polowego felczera, jeśli brakowało armijnego medyka.

– Ludzie zupełnie nie chcą mówić o Żelaznym Kruku – powiedział bezradnie chłopiec. – Niby wszyscy o nim wiedzą, a kiedy tylko wspomnieć coś więcej, milkną.

– Mówił ci Werbel, że tak jest. – Kałdun wzruszył ramionami. – Są rzeczy, o których lepiej nie wspominać. I nie dotyczy to tylko nocnych demonów. Wyobraź sobie, że w Sylicji, mieście na dalekim południu, miejscowi przestępcy z różnych grup skupili się wokół wybranego przez siebie silnego przywódcy. Utworzyli coś na kształt niewielkiej armii. Ten przywódca jest jakby marszałkiem czy generałem, każe nazywać się ojcem. Pod sobą ma tak jakby oficerów, nazywanych albo patronami, albo pomocnikami, zależy od ich pozycji. No i są żołnierze. Trzęsą od tamtej pory całym miastem i okolicą, ale jeśli spytasz o nich miejscowych, zrobią wielkie oczy i powiedzą, że to pomyłka, żadna organizacja nie istnieje.

– Jak to możliwe? – zapytał zdziwiony Evah i skrzywił się, kiedy zmieniający opatrunek Kałdun wykonał gwałtowniejszy ruch i sprawił mu ból. – Skoro wszyscy wiedzą, a przestępcy nie siedzą cicho, nie powinni pozostawać w cieniu.

– Ale pozostają – odparł gruby żołnierz. – Ludzie nie chcą o nich mówić, bo za zbyt długi język można nawet stracić życie. To znaczy, ta ich wielka szajka

istnieje i tego nie da się ukryć, ale dla wszystkich, jak to się mówi, oficjalnie, to nie żadne stowarzyszenie złoczyńców, ale grupa zajmująca się dobroczynnością. Co zresztą w pewnej mierze jest prawdą. – Kałdun roześmiał się przy tych słowach.

– Nie rozumiem, jak kłamstwo może być prawdziwe? – Chłopiec z wrażenia zapomniał o bólu.

– Przecież prowadzą poważne i zakrojone na szeroką skalę działania dobroczynne, jako że dotyczą ich wszystkich. A w ogóle mówią o sobie, że są rodziną. Tak czy inaczej, niby są, ale ich jednocześnie nie ma. Niby robią różne rzeczy, ale nic się nie dzieje. Człowiek to taka dziwaczna istota, która doskonale potrafi oszukiwać nie tylko innych, lecz także samego siebie. Jednak tajemnica milczenia o Kruku również jest dla mnie niezrozumiała. Podobno księżę krzywo patrzy na tych, którzy są nazbyt ciekawi w tym względzie, a nawet sam cesarz zabrania zbyt wiele wspominać. Może nie chcą straszyć poddanych?

Evah wstał, przeszedł parę kroków, ostrożnie poruszył ręką. Było coraz lepiej. Z każdą godziną odczuwał mniejsze dolegliwości, chociaż jeszcze poprzedniego dnia zdawało mu się, że leczenie potrwa o wiele dłużej.

– Nic tak nie straszy ludzi, jak nieznanne niebezpieczeństwo – mruknął chłopiec. – Kiedy chodziłem z ojcem na polowania, nieraz w krzakach coś się ruszało. Nie wiadomo, zwierzę, człowiek czy duch. Wolałem, żeby z gęstwiny wyszedł choćby najgroźniejszy odyniec, niż pozostawać w niepewności. Kiedy spojrzysz się zagrożeniu w oczy, łatwiej opanować lęk i można spróbować z nim walczyć.

– Słusznie prawisz – rzekł Werbel, który chwilę wcześniej wszedł do pokoju i słuchał, o czym rozmawiają jego przyjaciele. – Ale niewiele wskórasz przeciwko znowie milczenia. Też próbowałem zasięgnąć języka, ale w Salmarze każdy bardzo chętnie porozmawia o bolączkach miasta, nawet będzie wyklinał na księcia, ale kiedy zaczniesz coś mówić o Żelaznym Kruku, milkną. Tak jak ci mówiłem, czynią tak ponoć ze strachu, by go sobie nie ściągnąć na kark. Tak samo pasterze nie wspominają o wilkach, a rybacy o wielkiej ośmiornicy. Ale czy naprawdę tylko o to chodzi, nie wiem i chyba nie chcę wiedzieć.

Łysy najemnik zszedł na dół posilić się, a Kałdun zaraz podążył za nim. Evah nie miał apetytu, wolał położyć się i poczekać, aż arnika i inne zioła zaczną działać. Jednak Kałdun zatrzymał się jeszcze przy drzwiach, a potem zawrócił i powiedział cicho:

– Nie chciałem mówić przy Werblu, boby mnie wyśmiać, ale dzisiaj widziałem w jednej z bocznych uliczek małego rynku szyld z wymalowanym czarodziejem. Rozpytałem ludzi i powiedzieli mi, że mieszka tam pewien znany wróżbita. Może do niego się wybierzesz? A nuż coś ci zechce powiedzieć.

Dlatego następnego dnia, kiedy tylko opuchlizna nieco zeszała, Evah zaraz po śniadaniu poszedł na mały rynek. Znalazł uliczkę i szyld. Zastanawiał się, czy czcigodny mędrzec przyjmie go o tak wczesnej porze, ale pozbył się wątpliwości, kiedy zobaczył wychodzącą z domu kobietę w powłóczyściej szacie. Czekał już na nią powóz, a chłopiec od razu odgadł, że można pani zasięgała rady Mistrza Wróżbiarstwa Lankorna Wiedzącego, bo taki napis widniał na szyldzie.

Nie zwlekając, zapukał. Otworzył mu przygarbiony starzec w długim płaszczu i spiczastym kapeluszu.

– Mistrz Lankorn? – zapytał Evah.

Starzec potrząsnął głową, odsunął się, przepuszczając chłopca.

– Mistrz rezyduje na piętrze – rzekł trzęsącym się głosem. – Zaraz zapytam, czy cię przyjmie. Masz pieniądze? – rzucił niespodziewanie bystro i rześko.

Evah wysupłał z trzосу srebrną monetę, a staruszek pokiwał z zadowoleniem głową.

– To dobrze, bo różni tu przychodzą.

Zaczął się wdrapywać powoli po schodach, odpoczywając co dwa stopnie. Evah pokręcił w duchu głową. Zanim ten dziadzio dojdzie do mistrza i wróci, minie pół dnia. Na szczęście na szczycie schodów stanęła szczupła postać w o wiele bardziej spiczastej czapie niż wiekowy odźwierny.

– Co tam, wierny słuگو? – zapytał mężczyzna wysokim, ale przyjemnym głosem.

– Przyszedł jakiś chłopiec – zaskrzypiał starzec.

– Chłopiec? – zdumiał się wróżbita. Evah miał pewność, że to on we własnej osobie. – Czego szuka u mnie chłopiec?

– Pewnie ma problem, nie mówił, więc nie wiem – odparł stary. – Ale na pewno ma srebro. Pokazał.

– Wejdz, drogi gościu! – zawołał wróżbita. – Wejdz, a ja przepowiem ci przyszłość i opowiem o przeszłości. Tylko zostaw broń u mojego słuگی.

Evah poszedł na górę, a przeciskając się obok starca, wcisnął mu w ręcę miecz i nóż. Odźwierny z trudem łapał oddech. Pewnie zmęczył się solidnie, odprowadzając parę chwil wcześniej wielką panią. O ile dół mieszkania wróżbity wyglądał zupełnie zwyczajnie, o tyle na górze wręc pachniało tajemnicą i czarami. Może również dlatego, że unosił się w powietrzu intensywny zapach nieznaných Evahowi pachnideł. Chłopiec skrzywił się lekko. Po pilnowaniu wozu z przyprawami miał na jakiś czas serdecznie dosyć egzotycznych zapachów.

Lecz nie tylko we wrażeniach węchowych leżał niezwykły nastrój. Ściany zostały wyłożone miękką materią, na podłodze rozłożono barwny wzorzysty chodnik, a mrok korytarza rozświetlały różnokolorowe lampy oliwne.

– Tędy – powiedział mistrz i otworzył niewidoczne na pierwszy rzut oka drzwi po prawej stronie.

Gabinet robił jeszcze większe wrażenie. Pośrodku stał spory okrągły stół, a na nim spoczywała złota lub złocona misa.

– Wróżę z kręgów na wodzie – wyjaśnił Lankorn. – Wlewam do tej czary magiczną wodę z dzbana i obserwuję, co dzieje się pod powierzchnią.

Evah nie słyszał o takiej metodzie wróżenia, ale to niewiele znaczyło, bo nie znał się na tym zupełnie. We wsi jedna ze starszych kobiet stawiała wróżby, ale używała do tego kości małych zwierząt i kłów dzika. Podobno potrafiła przepowiedzieć suszę, deszcze i podobne rzeczy. Mówiono, że jeśli jej dobrze zapłacić, to i przyszłość przepowie, ale ojciec się z tego śmiał. Kiedy mama, będąc jeszcze w ciąży z Arnilką, chciała iść do starej zapytać o losy dziecka, stanowczo zabronił. Powiedział, że sam jej dostarcza dzicze kły i wie najlepiej, ile w nich jest magii. Mniej niż brudu za wyczyszczonym starannie i wymoczonym paznokciem.

– Co chcesz wiedzieć, młody człowieku? – zapytał wróżbita, wskazując Evahowi miejsce przy stole.

Sam usiadł po drugiej stronie, splótł długie palce szczupłych dłoni. Chłopiec dopiero teraz mógł mu się przyjrzeć. Wbrew pierwszemu wrażeniu nie był młody, to znaczy stary także nie, może nieco starszy od ojca Evaha.

– Może coś o przeszłości? Wyczuwam w tobie mrok i nieszczęście... Czyżbyś stracił bliskich?

– Skąd wiesz, mistrzu? – zapytał zdziwiony chłopiec. – Straciłem ojca i matkę.

– Jestem wróżbitą – przypomniał mu Lankorn. – Wiem wszystko.

– A zatem powinieneś też wiedzieć, z czym przychodzę...

Evah nie zamierzał podrażnić gospodarza, powiedział to, kierując się szczerym sercem, wierząc w możliwości jasnowidzenia tego człowieka. Ale uwaga rozżłościła wyraźnie Lankorna zwanego Wiedzącym.

– Przyszedłeś ze mnie kpić? – wysyczał, a potem machnął ręką.

Przez pokój przeleciał silny podmuch, zasłona z prawej strony zafalowała, a Evah przysiągłby, że dostrzegł zarys jakiejś postaci, kiedy opadała. Zadrżał.

– Nie chciałem cię urazić, mistrzu – powiedział szybko chłopiec. – Czy przywołujesz też duchy zmarłych?

– Owszem, zajmuję się i tym, i nekromancją. Ale takie usługi słono kosztują. Ile masz przy sobie?

– Srebrnego dukata.

Lankorn skrzywił się i machnął ręką.

– Tyle wystarczy na przepowiedzenie przyszłości, i to niedalekiej. Ale niech będzie – westchnął. – Co chcesz wiedzieć? Gdzie szukać skarbów? A może

miłości? Marzy ci się ręka królowny i korona w nagrodę za męstwo?

– Nie, mistrzu. – Evah potrząsnął głową. – Chciałbym znaleźć pewną istotę. Bestię.

Gospodarz spojrział uważnie, zmrużył oczy.

– Chłopiec szukający potworów? Dość nietypowe. Marzy ci się droga bohatera?

– Marzy mi się odnalezienie Żelaznego Kruka. – Nie zważając na to, że Lankorn wybałuszył na niego oczy, Evah ciągnął dalej: – Chciałbym otrzymać wskazówki, które pozwolą mi dotrzeć do jego gniazda.

Wróżbita przełknął ślinę, zapatrzył się przez chwilę na gościa. A Evah miał wrażenie, że kotara znów się poruszyła. Drgnął, ale ponieważ mistrz pozostawał opanowany, nie zamierzał okazywać niepokoju.

– To dość osobliwe – wymamrotał Lankorn. Był najwyraźniej zbity z tropu. – Nie spotkałem do tej pory nikogo, kto by pragnął odnaleźć potwora, którego mógłby się przelęknąć nawet bóg wojowników, Vaydar.

– Mam swoje powody. – Evah zaczął się lekko niecierpliwić. – Zdołasz mi pomóc?

– Oczywiście. – Wróżbita już się opanował, na jego twarzy zagościł zwykły uśmiech. – Włóż palec do tego dzbana z magiczną wodą, a ja wypełnię nią czarę.

Evah nie wiedział, dlaczego Lankorn określa zwykłą miskę mianem czary. Kiedy usiadł przy stole, zauważył na niej błękitnozielone zacieki, więc nie mogła być złota, lecz miedziana. Nie dyskutował jednak, tylko posłusznie zamoczył palec.

– A teraz połóż dukata na stole. Obecność kruszcu wzmacnia wizje – rzekł uroczystym tonem mistrz. – Lepiej jest przy złocie, ale srebro też ujdzie.

– Mogę dorzucić miedziaki – mruknął Evah. Coraz mniej podobała mu się ta wizyta. Miał jednak nadzieję, że gospodarz zobaczy coś w swojej wizji. Musiał posiadać jakąś moc, skoro odgadł, że Evah jest sierotą.

– Nie kpij, młodzieńcze, bo nic z tego nie wyjdzie! – ostrzegł Lankorn.

Kotara znów lekko się poruszyła. Evah może by tego nie zauważył, ale akurat patrzył w tamtą stronę.

Tymczasem wróżbita z wysokości wlewał wodę do misy. Napełnił ją do połowy i zapatrzył się w gasnące powoli kręgi.

– Widzę ciemnego ptaka... Olbrzymiego – zaczął wyższym głosem niż do tej pory. – Rozpościera właśnie skrzydła i spogląda w dół, na osiedle, w którym ludzie nie spodziewają się napaści...

– Kiedy Kruk poluje tylko nocą – zauważył trzeźwo Evah. – A mamy przecież ranek.

Wydawało mu się, jakby zza kotary doleciał cichy chichot, jednak wróżbita zagłuszył go podniesionym głosem.

– To jest wizja, chłopcze! Wizja! Patrę oczami Żelaznego Kruka...

– Przecież mówiłeś przed chwilą, że widzisz jego postać! – Evahowi znów coś się nie zgadzało. I znów usłyszał ten chichot. Teraz już nie miał wątpliwości.

– Bo patrę na niego z zewnątrz i będąc nim samym! – zawołał Lankorn. – Jeśli jeszcze raz mi przeszkodzisz, zakończymy seans!

– Po prostu powiedz, gdzie ta gadzina ma gniazdo, nie potrzebuję wiedzieć, jak spada na wsie. Już tego doświadczyłem. Chcę go znaleźć, a nie podziwiać czyimiś oczami. Wolałbym wiedzieć, ile sług przynosi pod skrzydłami. Ilu pilnuje jego siedziby...

Kotara ponownie zafalowała. Tego było Evahowi za wiele. Wróżbita najwyraźniej nie panował nad duchami, które wzywał do pomocy. Z jakiegoś powodu chłopiec zupełnie przestał się lękać. Wstał i zanim Lankorn zdążył zaprotestować, podszedł szybkim krokiem do kotary, szarpnął ją.

Był przekonany, że albo nie zobaczy nic, albo jakąś zjawę. Dlatego zdziwił się niepomernie, kiedy jego oczom ukazała się całkiem znajoma sylwetka. A przede wszystkim niemożliwa do zapomnienia czy przeoczenia potężna grzywa włosów.

– To ty? – zdumiał się.

– To ja – odparł grzywiasty.

– Co to ma znaczyć?! – Głos wróżbity już nie był zwyczajnie wysoki, ale nieprzyjemnie piskliwy. – Co ty tu robisz?! – zwrócił się do grzywiastego.

– Milcz! – warknął Evah, rozgniewany. Odwrócił głowę w stronę gospodarza. – Milcz lepiej, człowieku!

– Co robię? To, co zwykle – odparł złodziejasek i otworzył drzwi za sobą. Przez pokój przeleciał powiew powietrza. – Robię przeciąg, ruszam tą szmatą. Straszę twoich gości.

– Nie wierz mu! – krzyknął Lankorn. – Zakradł się, złodziej jeden...

– To oszust – wszedł mu w słowo grzywiasty. – Nic nie powie o tym twoim Żelaznym Kruku! Albo nakłamię i gdzieś wyśle. Sam nie wie gdzie! Mam tego dosyć, słyszysz, Lankorn? Dosyć! Odchodzę! Przez ciebie mało mnie nie zabili. Gdyby nie ten dzieciak, na pewno nie miałbym już zębów i jednej całej kości!

Wróżbita osłupiał, a grzywiasty przeszedł przez pokój energicznym krokiem i opuścił pomieszczenie. Po chwili trzasnęły drzwi na dole.

Evah podszedł do stojącego przy stoliku mężczyzny.

– Dziękuję za niedokończoną wróżbę, mistrzu – rzekł drwiąco. – Ale chyba nie skorzystam z dalszej usługi.

Sięgnął po dukata, ale nie było go już na stole. Spojrzał na Lankorna.

– Nie wziąłem, przysięgam! – pisnął rzekomy wróżbita. – Musiał ją ukraść ten szubrawiec! Nie uwierzysz, jakie ma lepkie paluchy!

– Uwierzę – mruknął Evah. Uśmiechnął się. Rzeczywiście, Lankorn nie miał okazji skubnąć srebra, ale grzywiasty przechodził obok stolika. – Prawdziwy magik, nie złodziejaszek.

Ruszył w stronę drzwi.

– Chyba coś mi się należy za pracę – rzucił mu jeszcze w plecy oszukańczy czarodziej. – Święta woda zużywa się prędko...

– Rozlicz się ze swoim pomocnikiem – odparł Evah.

Na dole stary odźwierny już zdążył odpocząć, wyszedł naprzeciw chłopca, jakby zamierzał go zatrzymać.

– Dajcie spokój, dziadku – powiedział spokojnie Evah. – Oddajcie mi broń i pójdę sobie. Przecież was bić nie będę, a wy do mnie chyba nie skoczycie. Ale zawsze mogę stłuc to piękne lustro. – Wskazał kryształowe zwierciadło w bogatej ramie. A coś mi się wydaje, że nie należy do twojego pana.

– Owszem, lustro nie jest jego, ale też on nie jest moim panem. – Stary skrzywił się. – Pracuję tylko dla niego. Ale płaci mało albo wcale, bo nigdy nie ma pieniędzy. Chyba że sam idzie do karczmy, wtedy ma. Chyba cisnę tę robotę, tak jak tamten. – Wskazał ruchem brody drzwi wyjściowe.

Już bez protestu oddał Evahowi jego własność. Na schody wyszedł Lankorn, ale wycofał się, widząc, że Evah jeszcze jest w środku i przypina miecz do pasa. Wróżbita nie miał ochoty spotkać się z tym chłopakiem. Kiedy szczeniak przez chwilę był naprawdę zirytowany, zobaczył w jego oczach nie dziecięcą naiwność, lecz zimną stal i gorący ołów jednocześnie. A kiedy drwił, źrenice jaśniały mu inteligencją. Może Lankorn był nikim więcej, jak tylko oszustem i krętaczem, ale z pewnością znał się na ludziach. Dlatego zresztą umiał ich sprawnie oszukiwać. Ale tego szczeniaka zaczął się naprawdę obawiać. Musiał być nie tylko odważny, lecz także silny, skoro będąc sierotą, jeszcze nie zginął w jakimś zaułku obcego dlań miasta, a na dodatek szukał potwora, o którym strach było wspomnieć.

Rozdział 13

Pierwszy trop



Evah snuł się po mieście, czując niesmak po spotkaniu z samozwańczym wróżbitą.

Drażniła go w tej chwili obecność mnóstwa ludzi dookoła. W Salmarze trudno było zrobić kilka kroków, żeby nie potrącić jakiegoś przechodnia albo zgoła na kogoś nie wpaść. Wszyscy dookoła warczeli na siebie i wyklinali. Darmo by szukać tutaj życzliwości, do jakiej chłopiec przywykł w rodzinnych stronach. W porównaniu z tymi ludźmi mrukliwy i skory do zwady kowal czy zarozumiały młynarz mogli wydać się nad wyraz sympatycznymi osobnikami.

Lecz w tym ścisku chłopiec nie mógł znaleźć nawet jednej twarzy, która by go zaciekała, kogoś, z kim chciałby zamienić choćby słowo. Wszyscy byli zajęci swoimi sprawami, pędzili gdzieś i złościło ich, że ktokolwiek staje im na drodze.

– Uważaj, gdzie leziesz, szczeniaku! – ofuknął Evaha jakiś zażywny jegomość. – Nie płacz się pod nogami.

Evah chciał coś ostro odszczeknąć, żeby faktycznie zasłużyć na miano szczeniaka, ale dał spokój. Mężczyzna już nie zwracał na niego uwagi, już go nie widział. Taka połajanka była tutaj czymś zwyczajnym, częścią życia – ten człowiek wygłosił ją prawie bez złości i pobiegł dalej.

Syn myśliwego potrząsnął głową, westchnął ciężko i zaraz tego pożałował. Gdy wziął bowiem głębszy oddech, w nozdrza uderzył go ostry zapach przepełnionych rynsztoków.

Że też go tutaj przyniosło! Przecież w tym tumultie, w wiecznym chaosie niczego się nie dowie. Podczas podróży do Salmary był pewien, że ledwie przekroczy bramę miejską, znajdzie się ktoś, kogo będzie mógł rozpytać o dalszą

drogę. Tymczasem okazało się, że nic z tego nie będzie. Był wręcz przekonany, że gdyby poszedł przed siebie, gdzie oczy poniosą, więcej by działał.

Zmęczony przysiadł na murku pod świątynią. Zbudowano ją między wysoką ścianą miejskiego więzienia a okazałą kamienicą, należącą bez wątpienia do jakiegoś bogatego miejskiego rajcy. A może była tutaj wcześniej i została przytłoczona przez nowsze zabudowania?

Evah zerknął na znak nad wejściem. Świątynia należała do boga Hemgara, opiekującego się poszukującymi prawdy i podróżnymi. Nazywano go też krótko bogiem prawdy. Chłopiec posiedział jeszcze chwilę, a potem wszedł do chłodnego wnętrza.

Wprawdzie budynek świątyni został postawiony na planie kwadratu, ale w środku nawa główna miała kształt koła, jak to nakazywały obyczaj i prawo. Miało to symbolizować zarówno samą prawdę, jako że stanowiła ona największą doskonałość na świecie, a jednocześnie niezmiernie trudno było do niej dotrzeć. Podobnie koło jest figurą doskonałą i pozornie prostą, lecz wiele wysiłku kosztuje właściwe jego wyrysowanie. To Evah wiedział, bo do wioski docierali czasem wędrowni kapłani wygłaszający nauki. Jeden z nich właśnie w taki sposób tłumaczył tę sprawę. Chłopiec zapytał go wówczas również, dlaczego bóg poszukujących prawdy jest jednocześnie patronem podróżnych. Kapłan najpierw zmieszał się, a potem zamyślił, szukając odpowiedzi.

– Powiem prawdę, chłopcze, bo tak jest najprościej – rzekł. – Powiem prawdę, że nigdy się nad tym zagadnieniem głębiej nie zamyśliłem, bo nie służę Hemgarowi, lecz Kelli, która nakazuje nieść światło ludzkim umysłom. Bogom przyznaje się nadzwyczajne moce w różnych dziedzinach i zazwyczaj dorośli się nad tym nie zastanawiają. Jednak dzieci mają zdolność zadawania niby prostych, ale w istocie rzeczy bardzo trudnych pytań. Ale tak sobie myślę, że koło ułatwia podróże. Ale nie koło jako narysowana figura, lecz to, które sprawia, iż wóz może jechać. Jednak może chodzić również o coś zupełnie innego. Na przykład o to, że poszukując prawdy, odbywasz podróż. Czasem jest ona prawdziwa, to znaczy wyruszasz w drogę, a czasem to wyprawa w głąb samego siebie.

Evah rozejrzał się. Kształt nawy sprawiał, że budowla wydawała się większa wewnątrz, niż gdy się patrzyło z ulicy. A przecież krąg musiał być mniejszy, skoro wpisywał się w kwadrat. Wolne przestrzenie wykorzystywano jako pomieszczenia gospodarcze, a w jednym znajdowała się niewielka komnata, w której kapłani przygotowywali się do obrzędów.

Naprzeciwko wejścia stał posąg boga. Był wysoki na dziesięć łokci, umieszczony został nie na zwykłym kolumnowym postumencie, ale na kuli, co wyglądało dziwnie i intrygująco zarazem. Po obu stronach płonął wieczny ogień w czterech dużych paterach ustawionych na żelaznych trójnogach. Sam bóg zamyślonym wzrokiem wpatrywał się w dal, artysta doskonale oddał wyraz

zamyślenia sprawiającego, że piękna męska twarz zdawała się jednocześnie surowa i łagodna, napominająca i pełna dobroci.

– Tak powinien wyglądać poszukiwacz prawdy – powiedział do siebie Evah. – Ty, Hemgarze, na pewno wiesz, gdzie jest to, czego szukam.

– A czego szukasz, młodzieńcze? – rozległ się nagle niski głos.

Chłopak podskoczył z zaskoczenia, rozejrział się. Zapatrzony w wizerunek boga nie zauważył, kiedy podszedł do niego siwy mężczyzna w purpurowej tunice przepasanej złocistym pasem. Miał długą siwą brodę i tej samej barwy włosy zaplecione w warkocz opadający na plecy.

– Trudno od niego oderwać spojrzenie, prawda? – Kapłan stanął obok chłopca, również zapatrzył się na posąg. – Służę w tej świątyni już przeszło dwadzieścia lat, a sam się łapię na tym, że obserwuję go całymi godzinami. Chciałbym, aby kiedyś zszedł i wytłumaczył mi, dlaczego świat jest taki, jaki jest. Bóg naukowców może wiedzieć.

– Naukowców? – zdziwił się Evah. – Myślałem, że poszukujących prawdy i podróżnych.

– Nie inaczej. – Kapłan uśmiechnął się. – Jednak czym innym jest nauka niż dążeniem do prawdy? Ten, kto się jej poświęca, może błędzić, może zejść na manowce, ale zawsze szuka prawdy. Nawet jeśli nie ma możliwości jej znaleźć. Rozumiesz?

Evah pokiwał głową, chociaż sens słów docierał do niego stopniowo i powoli.

– Dlatego właśnie wybrano Hemgara patronem naukowców. Nie samej nauki, bo to jest dziedzina bogini Ellary, ale tych, którzy poszukują prawdy na jej ścieżkach. Są przecież podobni do wędrowców. Ty też czegoś poszukujesz, ale znasz tylko cel, nie znając drogi, prawda?

Evah przez chwilę zastanawiał się nad słowami kapłana.

– Chyba tak. Wiem, czego szukam, lecz nie mam pojęcia, jak do tego dotrzeć.

– Pociesz się, że jesteś w o wiele lepszym położeniu niż ci, którzy znają drogę, którą chcą kroczyć, ale niewiele lub nic nie wiedzą o celu.

– A są tacy? – zdziwił się chłopiec. – Przecież to dziwne. Po co wstępować na jakąś drogę, jeśli nie wiadomo, dokąd zaprowadzi?

Kapłan zaśmiał się cicho.

– Młodzi nader często bywają mądrzejsi od starych, choć brak im doświadczenia. Masz rację, młodzieńcze, podobne postępowanie nie ma wielkiego sensu, a jednak wielu tak czyni. Weź chociażby tych, którzy gromadzą wielkie bogactwa. Zbierają je całe życie, a potem odchodzą, zostawiając wszystko na tym świecie. Bo na tamten podąża się boso, jako że dla bogów i dla

Przedwiecznych ani złoto, ani klejnoty, ani władza czy splendory nic nie znaczą. Po co więc bogaczowi tyle doczesnego dobra?

Evah znów się zastanowił. Odgadł już, że ma do czynienia z prawdziwym mędrce, i zląkł się, że powie coś głupiego. Przecież tak niewiele wiedział.

– Śmiało – zachęcił go mężczyzna w purpurze. – Jak myślisz?

– Żeby niczego im nie brakowało? Żeby żyć spokojnie?

– Jeśliby chcieli żyć spokojnie, nie musieliby zagarniać coraz to nowych gór złota. Mogliby po prostu cieszyć się brakiem zmartwień i tym, że mogą sobie kupić, co tylko zapragną. Ale uwierz mi, nie ma bogacza, który tak czyni, który w pewnej chwili przestaje myśleć o zyskach, żeby oddać się błogiemu odpoczynkowi. I mylisz się, sądząc, że mogą robić, co chcą. Oni robią wyłącznie to, co muszą.

– Nie rozumiem – przyznał Evah.

– Myślę, że rozumiesz, a przynajmniej czujesz. Bogacze stają się niewolnikami własnych fortun. Jak pijak, który nie potrafi żyć bez dzbana, tak oni nie umieją bez zarabiania. A jeśli stracą choć parę miedziaków, cierpią potworne męki, nawet jeśli ta strata nie niesie ze sobą nic groźnego, i gdyby odwrócili się choć raz tyłem do swojego majątku, nawet by jej nie dostrzegli. Rozumiesz już?

Evah gorliwie pokiwał głową.

– Tak, słusznie mówicie, kapłanie. Mędrzec z was.

Kapłan znów się roześmiał.

– Nie jestem mędrce. Nie dorastam prawdziwym myślicielom do pięt. Ale to, o czym mówię, powinien pojmować każdy, ale rozumieją tylko nieliczni.

Evah westchnął w duchu na wspomnienie dukata, który przepadł bez najmniejszego sensu.

– Ale ja się rozgadałem, chłopcze – rzekł kapłan – a ty nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Czego szukasz? A może kogo?

Przez całą rozmowę obaj wpatrywali się w spokojną twarz Hemgara, dopiero teraz stanęli twarzami naprzeciwko siebie. Kapłan był tylko nieco wyższy od Evaha, szczupły, ale sprawiał wrażenie mocnego. Chłopiec zastanawiał się, czy powinien powiedzieć prawdę. A kapłan jakby czytał w jego myślach.

– Jesteś w świątyni patrona poszukujących prawdy. Nic, co jest nią przepełnione, nie ściągnie na twoją głowę ani jego gniewu, ani mojego. Ja mogę się jedynie zdziwić, ale Hemgar i tego nie uczyni. Wszak on wie, co masz w sercu i umyśle. Lecz jeśli tego nie wypowiesz, nie zdołam ci pomóc.

– Skąd wiecie, świątobliwy, że potrzebuję pomocy? – zdziwił się Evah.

– Ktoś, kto jej nie potrzebuje, nie przychodzi do mojego boga i nie wpatruje się w jego posąg, jakby chciał go przewiercić wzrokiem. Chociaż nie, źle się

wyraziłem. Nie potrzebujesz może tyle pomocy, co rady, prawda? Wskazówki czy też drogowskazu, skoro już mówimy o drodze.

Evah zastanowił się i skinął głową.

– Tak. Potrzebuję rady, wiadomości, czegoś, co zawiedzie mnie do celu.

– A co jest twoim celem? – Kapłan podszedł do posągu, położył dłoń na kuli stanowiącej jego podstawę. Dopiero teraz Evah dostrzegł, że nie jest ona gładka, ale pokryta delikatnymi rzeźbieniami. – Powiedz, czego poszukujesz?

– Żelaznego Kruka – wyrzucił z siebie Evah.

Spodziewał się, że podobnie jak wszyscy inni, kapłan wygłosi jakieś oczywistości albo spróbuje zmienić temat, albo w ogóle go pożegna. Lecz zamiast tego mężczyzna zamyślił się głęboko.

– Po co chcesz go znaleźć? – zapytał.

– Jego słudzy zabili mego ojca i uprowadzili matkę, żeby mógł ją pożreć.

– Szukasz zemsty?

– Tak – odpowiedział z miejsca Evah, ale zaraz się zastanowił.

Było coś niesamowitego w tym miejscu i w tym człowieku. To „coś” sprawiało, że sprawy przestawały wydawać się tak bardzo oczywiste jak do tej pory, stawało się jasne, że tę czy inną kwestię należy koniecznie przemyśleć. Jednocześnie chłopiec czuł, że to, co człowiekowi wydaje się niezwykle skomplikowane, przed obliczem Hemgara staje się proste.

– Nie śpiesz się, chłopcze – powiedział kapłan. – Poszukaj odpowiedzi w sobie. Jeśli szukasz samej zemsty, prostej i bezlitosnej jak miecz, zapewne łatwo ją znajdziesz. Jeżeli jednak pragniesz czegoś więcej, będziesz musiał przebyć trudną drogę do własnej duszy.

Evah nie bardzo rozumiał, o czym mówi kapłan, ale czuł prawdę płynącą z jego słów. Dopiero teraz dotarło do niego z całą ostrością, jak fałszywy był Lankorn ze swoimi dywanami, kilimami i wrażeniem, które chciał wyrzucić na gościach. Kapłan niczego i nikogo nie udawał, był po prostu sobą – sługą dobrego boga.

– Zemsty i... – Evah zawiesił głos. – I sprawiedliwości – dokończył. – Chciałbym, żeby nikt już nie musiał się obawiać Żelaznego Kruka, który każdej nocy może spaść mu na głowę.

– Tak lepiej – powiedział kapłan. – Sama zemsta nie da ci spokoju, bo zgładzenie krzywdziciela i tak nie przywróci nikomu życia. Jeśli chcesz jednak ofiarować spokojny sen innym, to godne pochwały.

– Powiedzcie mi, świątobliwy, dlaczego nikt nie chce mi nic powiedzieć? Przybyłem do Salmary tylko po to, żeby ktoś wskazał mi drogę.

Sługa Hemgara zmrużył oczy.

– Przybywasz z daleka? Jak masz na imię?

– Urodziłem się w wiosce zwanej Przyrzeczem – odparł chłopiec. – Nic wam ta nazwa nie powie. A na imię mam Evah.

– A zatem to poza granicami księstwa. Hrabstwo Rellen, prawda?

– Tak. Baronia pana di Rukkona.

– Nie słyszałem o nim – rzekł kapłan. – Ale twoje imię brzmi podobnie do tych, jakie nadaje się w tamtych stronach. Niby to nie jest aż tak daleko, bo tydzień drogi pieszo, jednak to inny kraj. Tam o Żelaznym Kruku opowiadają legendy. Tutaj jest on czymś prawdziwym. I pewnie o to chodzi.

– Tylko że poznałem prawdziwość tych legend na własnej skórze – mruknął Evah. – A mój ojciec ostrzegał innych przed potworem.

Kapłan odsunął się od kamiennej kuli.

– Tutaj jest inaczej. Żelazny Kruk pustoszy od czasu do czasu osiedla, jednak książę i jego podwładni nic z tym nie robią. I nie zamierzają robić. A Jego Wysokość zabrania zbyt wiele mówić o bestii.

– Dlaczego? – zdumiał się Evah. – Przecież to jego ziemie i jego ludzie!

– Widzisz, czasem władca jest zadowolony z tego, że istnieje coś, co budzi lęk poddanych. Dzięki temu sam może czuć się bezpiecznie.

– Nie rozumiem – szepnął chłopiec.

– Kiedyś może zrozumiesz – rzekł kapłan. – Nie mnie osądzać księcia i cesarza. Kto wie, może mają swoje racje, ukryte przed moim poznaniem. Niemniej trudno będzie ci się dowiedzieć w tym mieście, dokąd pójść, aby odnaleźć Kruka.

Evah spuścił głowę. Wyglądało na to, że będzie musiał ruszać z karawaną czcigodnego kupca, aby spróbować szczęścia gdzie indziej.

– Prawda jest też taka – mówił dalej kapłan, widząc przygnębienie chłopca – że nikt nie wie, gdzie dokładnie go szukać.

– Nawet kapłan boga prawdy? – spytał gorzkim tonem Evah.

– Nawet ja. Zresztą nigdy nie starałem się znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Dopóki ty próbujesz się tego dowiedzieć, nikt nie zwraca na ciebie większej uwagi, bo jesteś tylko chłopcem. Gdybym ja zaczął wypytywać, z miejsca miałbym na karku tajną służbę Jego Wysokości. Rozmawiam z tobą tak otwarcie, bo wiem, że nikomu tego nie powtórzysz.

– Czyli nawet tutaj niczego się nie dowiem...

Evah nie przyszedł wprawdzie do świątyni po radę, ale rozmowa z kapłanem sprawiła, że nabrał nadziei.

– Tutaj nie – rzekł mężczyzna w purpurze. – Jednak jest ktoś, kto może coś wiedzieć. Również kapłan. Tyle że mieszka o piętnaście dni drogi na północny wschód, niedaleko Migry, stolicy księstwa Berwen. Mogę cię do niego skierować, oczywiście jeśli jesteś zdecydowany, aby dalej szukać.

– Jestem – odparł z mocą Evah. – Skoro wy nie wiecie.

– Coś tam wiem... – Kapłan skrzywił się lekko. – Jednak pamiętaj, że jestem zarówno sługą boga, jak i księcia. Nie mogę postępować wbrew jego rozkazom i zakazom. Poza tym i tak byś musiał pójść do Berwen, bo moja wiedza jest bardzo ograniczona.

– A tam wolno o tym mówić? – spytał Evah.

– Też nie bardzo. Wchodząc do Salmary, przekroczyłeś pewną linię. Do tej pory Kruk nie zapuszczał się na południowy wschód dalej niż do tego księstwa. A w każdym razie czynił to bardzo rzadko. Prawie wszędzie, gdzie pojawia się częściej, obowiązują podobne zasady i panuje zmowa milczenia.

– W jaki więc sposób tamten kapłan może mi pomóc? Przecież nie sprzeniewierzy się rozkazom swojego księcia.

Mężczyzna roześmiał się.

– On nie ma raczej zbyt wielu oporów, żeby nie słuchać władcy. Zresztą sam zobaczysz, kiedy już tam dotrzesz. Zasadniczo można rzec, że jest kapłanem.

– Boga kupców – szepnął Evah.

– Kupców i złodziei – uzupełnił kapłan. – Tyle tylko, że obecnie nie może spełniać swojej posługi. Chcesz do niego iść?

– Chcę!

Mężczyzna pokiwał głową.

– A ja bym wolał, żebyś jeszcze rzecz przemyślał. Jeśli naprawdę pragniesz ruszyć na poszukiwania bestii, przyjdź jutro po południu. Powiem ci, jak trafić do tego kapłana.

– Nie powiecie mi już dzisiaj?

– Nie. – Kapłan potrząsnął głową. – Pośpiech jest złym doradcą. Prześpij się z tym, pomyśl, że czekają cię trudy i wyzwania nie do zniesienia nawet dla dorosłego, silnego mężczyzny, a cóż dopiero dla chłopca. I droga do Migry nie będzie usłana różami. Postaraj się przyłączyć do jakiegoś taboru kupieckiego, jeśli dasz radę.

– W ten sposób dotarłem tutaj – wyjaśnił Evah.

– Kłopot w tym, że do Migry rzadko wyruszają karawany. Leży na uboczu, z dala od szlaków handlowych, obowiązuje tam bezwzględne prawo składu, więc kupcy starają się omijać to księstwo.

Evah podziękował kapłanowi za dobroć i pomoc, po czym wyszedł ze świątyni.

A kiedy wydostał się za niski mur okalający gmach, stanął jak wryty. Po drugiej stronie ulicy ujrzał znajomą postać.

Rozdział 14

Grzywa



Łazisz za mną? – zapytał gniewnie Evah. – Mało ci, żeś mnie oskubał ze srebra?

Gdyby nie to, że dookoła kręciło się sporo ludzi, syn myśliwego chętnie chwyciłby złodziejaska za kark i wytrząsnął z niego cały łup, jaki zgromadził tego dnia. Domyślał się, że nie był jedynym, którego oszust okradł.

Grzywiasty skrzywił się.

– Właśnie chciałem ci zwrócić tego dukata – mruknął. – Ale chodźmy stąd gdzieś na ubocze. Obawiam się, że ci, co chcieli mnie zatłuc parę dni temu, mogą się gdzieś tutaj kręcić.

– Tak im zalazłeś za skórę? – Evah nie byłby tym zdziwiony.

– Ja jak ja, ale ten szalbierz Lankorn na pewno.

Przeszli kawałek dalej, pod zacienione arkady, przysiedli na granitowym gładzie ustawionym przy warsztacie kamieniarza.

– Też kradnie ludziom srebro? – Evah nie mógł się powstrzymać od złośliwości. – Jak ty? Patrz, nawet nie wiem, jak masz na imię.

– Kellan – odparł starszy chłopak. – Ale wszyscy wołają mnie Grzywa.

– I słusznie – zauważył Evah. – Bo włosiska masz naprawdę imponujące...

A ja jestem Evah.

– Wiem, wiem, słyszałem. – Grzywa uśmiechnął się krzywo i nagle powiedział: – Evah, Evah, syn Rulleha, krzywe gwoździe, stara decha. Tam u was wszyscy chyba noszą takie głupie imiona. Co jeden to kończy się albo na eh, albo na ah.

W pierwszej chwili Evah chciał wyśmiać imię Grzywy, ale trudno było się do niego w czymś przyczepić.

– Nie wiem, czy głupie. I kończą się też na og lub ag. A bywają też zupełnie inne. A ten twój durnowaty wierszyk brzmi inaczej. Evah, Evah, syn Rulleha,

wielka w domu zeń pociecha.

Grzywa zaśmiał się krótko i machnął ręką.

– Niech ci będzie. Widzę, że nie jesteś zbyt skłonny do chowania urazy, a i ja tak już mam. Trzymaj. – Wsunął chłopcu w rękę dukata. – Zdjąłem go ze stołu z przyzwyczajenia, sam nawet nie wiem kiedy.

– I tylko po to mnie śledzisz, żeby oddać moją własność? – zdziwił się Evah.
– Trochę dziwne jak na złodziejaszka.

Grzywa skrzywił się z niechęcią.

– Nie lubię, jak ktoś mnie tak nazywa.

– A nie jesteś złodziejaszkiem?

– No... może i jestem – odparł starszy z chłopców po chwili wahania. – Ale mów mi lepiej po imieniu albo Grzywa, dobrze?

– Niech ci będzie. – Evah schował srebrną monetę do trzosa. Z ulgą pomyślał, że będzie mógł się rozliczyć z Werblem i Kałdunem. Wprawdzie mówili, że nie chcą, aby im cokolwiek zwracał za gościnę, ale przecież musieli zapłacić za dodatkowe łóżko i jedzenie. W wielkim mieście nie ma nic za darmo.
– Nie zamierzam cię nazywać złodziejem, chyba że jeszcze coś mi ukradniesz.

– Nie okradam przyjaciół i znajomych – powiedział poważnym tonem Kellan. – Mam swoje zasady. Nie tak, jak ten oszust Lankorn.

– Oszust może z niego jest – zamyślił się Evah. – Ale przecież wiedział, że jestem sierotą i niedawno spotkała mnie tragedia.

– On?! – Grzywa zaczął się śmiać niepohamowanie. Uderzył dłońmi w uda.
– On bez pomocy nie zgadłby, gdzie zostawił poprzedniego wieczora swoją piękną czapę. Ode mnie się dowiedział. Przecież w Rukce wszyscy o tym mówili.

– A gdybyś mu nie powiedział?

– Widzisz, Evahu – zaczął tłumaczyć Grzywa – ktoś taki jak Lankorn zawsze żeruje na ludzkiej łatwowości. Gdybym cię nie rozpoznał, gdybyś był dla mnie zupełnie obcy i pierwszy raz zawitał do przybytku tego drania, odźwierny skierowałby cię do pokoju, w którym się czeka na posłuchanie. A w nim, wyobraź sobie, siedzę ja i udaję, że również czekam. Zaczynam rozmowę, zwieram się ze zmyślonych spraw. Nie uwierzysz, jak chętnie ludzie opowiadają o swoich tajemnicach obcym, jeśli sądzą, że ich już więcej nie zobaczą. Po takiej rozmowie wchodzę do wróżbity niby po radę i mówię mu wszystko, czego się dowiedziałem. Tak to wygląda. Kiedy ty przyszedłeś, oczywiście nie mogłem cię wypytywać, a chłopak, z którym pracowałem na zmianę, wyjechał na kilka dni, tak samo jak ja wtedy, kiedyśmy się widzieli w Rukce. Załatwiamy dla Lankorna różne sprawy. To znaczy, ja mogę powiedzieć, że dawniej załatwiałem, bo więcej nie zamierzam. Ot, i cała tajemnica.

– Rozumiem. – Evah oparł się ramieniem o chłodną ścianę. – Powiedziałeś mi na mój temat, co wiedziałeś, a że było tego niewiele, starał się mnie najpierw olśnić, a potem zagadać.

Grzywa znów się roześmiał, ale tym razem nie tak głośno.

– Okazałeś się jednak niespodziewanie spostrzegawczy, dociekliwy i mało bojący. Pierwszy raz ktoś odważył się zbliżyć do tej kotary. Ludzie lękają się zjaw i duchów.

– Wątpię, żeby istniało na świecie coś gorszego, niż znaleźć ciało zamordowanego ojca i pochować go własnymi rękami. Nie żebym zupełnie nic nie odczuwał, kiedy ruszałeś się w tym kącie, ale potem zaczęło mnie to już tylko drażnić. Nawet duch nie powinien być tak nachalny i bezczelny.

– Bo normalnie tak się nigdy nie ruszałem – odparł Grzywa. – Tylko wtedy, kiedy miałem udawać zjawiska nadprzyrodzone. Ale dzisiaj przez cały czas korciło mnie, żeby wyjść i cię ostrzec. No i wykonałem parę dodatkowych machnięć rękami.

Milczeli przez chwilę. Evah zbierał myśli. Po rozmowie z kapłanem, nabrzmiałej nastrojem i dziwnymi znaczeniami, natknął się na złodziejaska, który opowiedział mu ciekawe rzeczy o praktykach oszukańczego wróżbity. Co za dzień!

– Wszyscy ci jasnowidze tak robią? – spytał wreszcie.

– Wszyscy, których kiedykolwiek widziałem. – Grzywa wzruszył ramionami. – Ale podobno są prawdziwi mędracy, którzy umieją przepowiadać przyszłość. Tylko że oni nie siedzą po miastach, przyjmując byle kogo, lecz przebywają w pustelniach, a czasem służą władcom. Ile w tym jest jednak prawdy, nie wiem. Nasz książę na pewno takiego doradcy nie ma, a nawet jeśli, nikt o tym nie wie.

Znów zapanowało milczenie, które tym razem przerwał Kellan.

– Pewnie chciałbyś wiedzieć, dlaczego tamci czterej mnie ścigali?

– Jestem ciekaw, to jasne, ale jeśli nie chcesz opowiadać, nie musisz.

– Należy ci się prawda – mruknął Grzywa. – Przecież nadstawiałeś za mnie karku. Słuchaj więc. Mówiłem ci przed chwilą, jak wydobywałem wiadomości z naiwnych gości mojego pryncypała.

– Mówiłeś. Ale za to chyba człowieka nie zabijają?

– A widzisz, niekoniecznie. Tylko że to historia o wiele bardziej złożona. Krótko mówiąc, ten mężczyzna, który palił fajkę z mieszanką rogijską, stracił całkiem niezłą sumę przez Lankorna.

– To dlaczego chciał pobić czy nawet zabić ciebie, a nie jego?

– Bo dowiedział się, że to ode mnie wróżbita pozyskał wiadomości o jego planach i nadziejach. Wprawdzie to on poradził mi, żeby zrobił to czy tamto, przez co poniósł straty, ale mnie obwinił przede wszystkim za porażkę. A

właściwie za zdradę. – Ostatnie słowa Kellan wypowiedział ciszej i zduszonym głosem.

– Zdradziłeś go? – Evah zastanawiał się, co Grzywę mogło łączyć z tym ponurym groźnym mężczyzną.

– On na pewno tak uważa – odpowiedział powoli. – Bo pracowałem dla niego... Nie, to nie tak. Musiałem pracować. To on wciągnął mnie do cechu złodziejskiego. To on uczył mnie złodziejskich sztuczek, pokazywał, jak niepostrzeżenie odciąć trzos od pasa, jak wyłuskać złoto zza pazuchy nieostrożnego kupca. Wszystkiego nauczyłem się pod jego okiem i pod jego batem.

Evah przyjrzał się rozmówcy. Oczy Grzywy, zawsze żywe i połyskujące kpiarskim sprytem oraz ciekawością, teraz były smutne i zamglone.

– Ale dlaczego miałyby cię posądzać o zdradę?

– Widzisz, jakiś czas temu postanowił, że przestanie się parać złodziejstwem, zapragnął zostać kupcem. Do spółki z drugim takim jak on kupili nawet statek, chociaż się na tym nie znali, bo stąd do morza daleko.

– A tak przy okazji, nosi jakieś imię? – zapytał Evah.

– Jakieś mu pewnie rodzice nadali po urodzeniu, ale nikt go nie zna. Wszyscy mówią na niego Trup.

– Trup? – zdziwił się chłopiec.

– Tak. Bo jeśli ktoś mu wejdzie w drogę, nie ma czego szukać pośród żywych.

– I ty wszedłeś? – spytał Evah.

– Można tak powiedzieć. – Grzywa również oparł się o ścianę. Patrzyli teraz na siebie z jednakowej pozycji. – Nie chciałem skończyć życia jako jeden z jego złodziejaszków. Prędzej czy później zostałemby schwytyany i skończyłbym w lochu albo na szubienicy. Dlatego zacząłem pracować również dla Lankorna. Wprawdzie to też oszust i złodziej, ale przynajmniej nie ma krwi na rękach.

Grzywa przerwał na chwilę, westchnął i mówił dalej:

– Ten wspólnik Trupa podobno jest bardzo przesądny, zażądał więc, żeby zasięgnąć rady wróżbity, zanim zdecydowali się wysłać ładunek za morze. Złodziej nie bardzo chciał, ale skoro tamten się uparł, trafili do Lankorna. A ja mu oczywiście opowiedziałem wszystko, co wiedziałem, a wiedziałem sporo, bo omawiali część spraw przy mnie. Lankorn oczarował obu, bo przecież umiał powiedzieć nie tylko co i gdzie wysyłają, lecz także jaką kwotę zamierzają zarobić. A ponieważ kiedyś sam zajmował się handlem, miał pojęcie o możliwych zyskach... Co tu dużo gadać. Trup następnym razem znów do niego przyszedł, tym razem już sam, z własnej woli. Nie potrafiłem powiedzieć nic pewnego, co zamierza, bo nie wiedziałem, a mojego zmiennika pogonił, kiedy ten zaczął go w poczekalni wypytywać.

Zaśmiał się mimo woli, ale zaraz znów westchnął ciężko.

– Tak mu Lankorn doradził, że stracił wszystko. Ten oszukańczy wróżbita potrafi być okropnie głupi. Ale Trup nabrał przekonania, że to przeze mnie, bo dowiedział się od jakiegoś swojego konfidenta, że służę u Lankorna. Doszedł do wniosku, że podsłuchałem jego rozmowy i sprzedałem go nieuczciwym wspólnikom.

– A tego twojego Lankorna nie zamierza zgładzić?

– Najpierw chciał ze mnie wycisnąć wszystko, co się da. Dlatego nie dostałem od razu noża pod żebra, ale chcieli mnie przepytąć w tym zaułku, zanim zabiją. Jednak i do wróżbity się zabierze. Dlatego Lankorn niebawem wyjedzie z miasta.

Evah oderwał się od ściany, wstał z kamienia.

– Wygląda na to, że masz kłopoty – rzekł. – Współczuję ci nawet, chociaż mnie okradłeś i próbowałeś zabrać ten nóż mistrzowi w Rukce. – Poklepał się po prawym boku.

– Powinieneś być mi za to wdzięczny! – zawołał z oburzeniem Grzywa.

Evah wytrzeszczył na niego oczy.

– Co ty gadasz? Szaleju się objadłeś?

– Gdyby nie ja – wyjaśnił Kellan – nie dostałbyś tej klingi w nagrodę.

– Ale wymyśliłeś... – Evah pokręcił głową z niedowierzaniem. – Bardzo pokrętne rozumowanie.

– Co, może nieprawdziwe? – spytał Grzywa.

– Niby prawdziwe, ale przecież oszukańcze – odparł Evah. – I doskonale o tym wiesz.

– Wiem, wiem – mruknął Kellan. – Jak się człowiek raz nauczy kręcić i kłamać, trudno mu się odzwyczaić tak od razu. Powiedz lepiej, dokąd ruszasz dalej? A może zostajesz?

Evah przez chwilę zastanawiał się, czy warto wyjawić zamiary złodziejaskowi. Wreszcie uznał, że mu to nie zaszkodzi.

– Do Migry. Pewnie pojutrze albo za dwa dni.

– Weźmiesz mnie ze sobą? – spytał Grzywa. – Tutaj nie mam już czego szukać, a z Lankornem na pewno nigdzie się nie ruszę. Mam go serdecznie dość.

Evah zapatrzył się na rozmówcę w zamyśleniu. Nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Jeszcze nigdy nie podróżował samotnie, a tym bardziej w towarzystwie kogoś, do kogo zupełnie nie miał zaufania. No tak, ale przecież Grzywa przemieszczał się między Salmarą a Rukką i innymi miastami, miał więc jakieś doświadczenie.

– Niech będzie. Ale wiesz, że przyjdzie nam pewnie iść pieszo, bo wątpliwe, żeby wyruszała tam jakaś karawana?

– Nie szkodzi! – Kellan uśmiechnął się. – Damy sobie radę. Ale rozstaniemy się w Migrze! – zastrzegł od razu. – Nie mam zamiaru szukać tego całego Żelaznego Kruka!

Evah skinął głową. Innej odpowiedzi się nie spodziewał, ale też innej nie chciał usłyszeć. Poszukiwania Kruka były jego sprawą, a gdyby miał już kogoś prosić o pomoc, to na pewno nie złodziejaszka. Nawet jeśli ten złodziejaszek oddał mu skradzionego dukata.

Rozdział 15

W drogę!



Następnego dnia Evah oczywiście poszedł do świątyni. Śpieszyło mu się, był już pobudzony wizją podróży, dlatego nie czekał, aż zegar ratuszowy wybije godzinę drugą lub trzecią, kiedy to mówiono o właściwym popołudniu, ale znalazł się w chłodnym wnętrzu, ledwie minęła pierwsza. Evah nie przypuszczał, że kapłan natychmiast do niego wyjdzie, przecież mogło go w ogóle nie być, nie potrafił jednak usiedzieć spokojnie w gospodzie, a po wczorajszej rozmowie z Grzywą uznał za rozsądne nie kręcić się zbyt wiele po mieście. Nie miał przedtem pojęcia, z kim zadarł, za to Kellan uświadomił mu, że Trup ma swoje oczy i uszy wszędzie. Może nie zamierzał zanadto zajadłe polować na Evaha, bo chłopak wtrącił się w jego sprawy, nie mając świadomości, komu się naraża, ale jeśli nadarzy się okazja, chętnie naśle na niego swoich zbirów.

Przez okna umieszczone w kopule wieńczącej nawę wpadało jasne światło dnia, sprawiając, że wnętrze świątyni było o wiele jaśniejsze niż wczoraj.

Bóg prawdy stał spokojnie na swoim kulistym postumencie i wpatrywał się w dal. Evah podszedł bliżej do posągu, żeby przyjrzeć się jego podstawie. Zmarszczył brwi. Z odległości kilku kroków widać było, że kula zdobiona jest jakimś wzorem, ale z bliska ten wzór okazał się bardzo nieregularny. W ogóle nie przypominał niczego, co Evah znał.

Chłopiec pochylił się, dotknął ostrożnie linii. Przywykł do tego, że artyści i rzemieślnicy zdobili swoje wyroby, jednak zawsze panował w nich określony porządek, najczęściej były symetryczne, a nawet jeśli nie do końca, zawijasy wyznaczały jakiś kształt. A tutaj miał płaskorzeźbę, która nie przedstawiała zupełnie nic. Fragmentami była podzielona grubszymi i węższymi liniami, gdzieś tam zupełnie gładka, i to na sporych obszarach. Co to mogło znaczyć? Przecież przebywał w świątyni boga poszukujących prawdy i naukowców, więc

niemożliwe, aby znalazło się tutaj coś, co nie miało żadnego sensu. Musiało istnieć jakieś wytłumaczenie.

Spojrzał w twarz Hemgara. Piękne rysy, widziane z dołu, zupełnie nie straciły na ostrości i urodzie. Zupełnie jakby rzeźbiarz chciał udowodnić, że prawda oglądana z dowolnej strony zawsze musi wyglądać tak samo.

– Widzę, że nie mogłeś się doczekać. – Głęboki głos kapłana wypełnił pomieszczenie, zaskakując chłopca podobnie jak poprzedniego dnia.

– Wybaczcie, ale tak właśnie było. Postanowiłem odnaleźć gniazdo Żelaznego Kruka.

Evah rozejrzał się. Wprawdzie słyszał rozmówcę, ale nie mógł go dostrzec.

– Nie spodziewałem się innej odpowiedzi. – Kapłan wyszedł zza posągu, a chłopiec cofnął się szybko dwa kroki. Mężczyzna uśmiechnął się ciepło. – Nie musisz uciekać, nie gniewam się, że dotykasz kamienia. Ciekawość jest dla prawdy i dla nauki nieodzowna. Co cię tak zafascynowało w tej kuli?

Evah przełknął ślinę. Chociaż kapłan wydawał się przyjazny i wręcz serdeczny, to wyczuwało się w nim majestat, jego obecność działała onieśmielająco.

– Zastanawiam się, co miał na myśli artysta, który wyrył te wszystkie linie. Przecież nie układają się w żaden obraz. Kiedy byłem małym dzieckiem, patykiem ryłem bardziej foremne kształty w piasku na brzegu rzeki.

Kapłan roześmiał się głośno, aż echo odpowiedziało od wysokiego sklepienia, przepłynęło przez okrągłą nawę i wróciło do uszu Evaha.

– Drogi chłopcze, ten rysunek stworzył nie kto inny, jak Ojciec Przedwiecznych, a ubogacili go bez wątpienia oni sami, a potem bogowie.

– Ojciec Przedwiecznych? – zdumiał się Evah. – Ale w jaki sposób? Ten kamień jest aż tak stary? I dlaczego ten rysunek jest taki dziwny? Co on w ogóle przedstawia?

– Zadałeś cztery pytania, ale odpowiedź znam jedynie na trzy. Nie, drogi chłopcze, ten kamień nie jest aż taki stary. To znaczy sam kamień może być bardzo wiekowy, ale ukształtował go w kulę rzemieślnik i to on wyrył linie według ścisłych wskazówek. Patrząc od tej strony, postument jest dość nowy, liczy nie więcej niż dwieście lat, to znaczy tyle, ile ta świątynia. A dlaczego jest taki dziwny? Może dlatego, że przedstawia coś bardzo dziwnego. Nasz świat.

Evah wytrzeszczył na kapłana oczy. Pomyślał nawet, że od wczoraj czynił to tyle razy, że wreszcie mu ten wytrzeszcz zostanie.

– Nasz świat?! Przecież ta rzeźba to kula, a świat jest płaski. Przedwieczni trzymają go na mocarnych ramionach, a bogowie okryli go grubą miękką tkaniną nieba, po której toczy się słoneczna kula, aby nas ogrzewać i wyznaczać pory dnia.

– A księżyc? – spytał kapłan, a Evah miał wrażenie, że słyszy kpiące nutki w jego głosie. – Czym jest księżyc?

– Latarnią dla błędzących wędrowców – odparł bez zastanowienia Evah. – Toczy się po niebie w ślad za słońcem. Tak nauczał mnich, który odwiedzał moją wioskę.

Kapłan pokręcił głową.

– A nie powiedział, dlaczego ta latarnia nie świeci bez przerwy? Dlaczego raz jest większa, raz mniejsza, albo nawet całkiem jej nie ma? Nie odpowiadaj nawet, młodzieńcze. Nie mógł powiedzieć, bo sam nie wiedział. Zwykłych mnichów nie uczy się takich rzeczy.

– A wy możecie mi to wyjaśnić? – zapytał Evah. Nie chciało mu się wierzyć, że to, co usłyszał w dzieciństwie, nie jest wiele warte.

– Musiałbym ci przybliżyć zasady mechaniki nieba – odparł kapłan – a na to nie mamy czasu. Przyjmij jednak do wiadomości pewną prawdę. Świat, w którym mieszkamy, nie jest płaski. On jest kulą i unosi się w wielkiej pustce. Niektórzy twierdzą nawet, że nie jest nieruchomo zawieszony, ale krąży wraz z innymi podobnymi sobie światami, ale na ten temat wiemy jeszcze zbyt mało, bym umiał powiedzieć coś pewnego.

W pierwszej chwili Evah chciał zaprotestować, bo jakże świat może być kulą, skoro doskonale widać, że jest płaski, ale kapłan mówił dalej:

– Możesz mi wierzyć, że nasz świat nie jest dyskiem spoczywającym na ramionach Przedwiecznych. Jest kulą tak wielką, że dla zamieszkujących ją drobinek musi się wydawać bezkresną płaszczyzną. Kiedy jednak zawędrujesz kiedyś nad morze lub wielką pustynię, spójrz na horyzont i nie bój się zauważyć, iż zdaje się zakrzywiony ku dołowi w obie strony. Najlepiej to widać, jeśli dodatkowo stanie się na wysokiej wieży. Otóż nic się tutaj nie zdaje, młody człowieku. On naprawdę się zaokrągla.

– Ale jakże coś może unosić się w pustce bez żadnego podparcia?

Kapłan podszedł do kuli, przeciągnął palcem po jednej z linii.

– Tak właśnie ułożył to Ojciec Przedwiecznych – powiedział. – W ten sposób urządził świat, nie tylko ten, ale też taki, który jest o wiele większy od naszego i nasz stanowi tylko jego część. A te linie to zarysy lądów i mórz. Drobne wypukłości to wyżyny i góry, a zupełnie gładkie powierzchnie oznaczają wody.

Evah zmrużył oczy. Próbował uporządkować sobie to wszystko w głowie. Może uznałby nawet, że kapłan go oszukuje, ale przecież znajdowali się w świątyni boga prawdy. Poza tym, po co miałby okłamywać jakiegoś tam chłopca? W tej chwili przypomniał sobie, jak wodził kiedyś palcem po dmuchanym świńskim pęcherzu, którym grali w piłkę z innymi chłopcami we wsi. Siedział wtedy sam, czekając na rówieśników. Przykładał palec do jednego

punktu na kulistym przedmiocie, a drugi prowadził od niego dookoła, aż znów się zetknęły.

Podszedł bliżej do kuli, przyjrzał się nieregularnym liniom.

– Czy to oznacza, że jeśli wyruszyć w podróż z jednego miejsca i iść cały czas przed siebie, nigdzie nie zbacząc, to wreszcie dojdzie się tam, skąd się wyszło?

Kapłan spojrział na chłopca ze zmarszczonymi brwiami. Evah zląkł się nawet, że powiedział coś nie tak, jak trzeba.

– Doskonale, chłopcze – pochwalił go niespodziewanie kapłan. – Niezmiernie rzadko zdarza się ktoś, kto potrafi tak precyzyjnie rozumować. Może rozważyłbyś jeszcze raz swoją wyprawę? Bardzo chętnie przyjąłbym cię do szkoły świątynnej.

Evah zdziwił się na tę propozycję, ale westchnął tylko.

– Nie mam dość pieniędzy, aby opłacić naukę. Prawdę mówiąc, posiadam tylko srebrnego dukata i parę miedziaków.

– Gdybyś okazał się tak bystry, jak mi się zdaje, mógłbyś się uczyć zupełnie za darmo. Wolę jednego ubogiego, lecz bystrego chłopca od całego stada bogatych pieczeniarzy, którzy umieją tylko sypać złotem z trzosów, zamiast docenić wartość rozumu. Dla nich nauka to tylko droga, nie cel. Dzięki niej mogą się pysznić, że umieją czytać i pisać. Pytanie tylko, czy wiedzą tak naprawdę, co czytają, i czy ich pisma wyrażają prawdę.

Tym razem w głosie kapłana wyraźnie zabrzmiała gorycz. Evah zdawał sobie sprawę, że propozycja jest iście królewska. Za możliwość nauki w szkole, której patronował Hemgar lub Ellara, wielu oddałoby pół życia. Lecz on miał inne zadanie do wykonania.

– Dziękuję wam za hojną propozycję – powiedział. – Lecz nie zaznam spokoju, dopóki nie uwolnię świata od Żelaznego Kruka. Nieważne, czy ten świat jest płaski, czy kulisty.

– Uwolnisz świat albo zginiesz.

– Albo zginę – zgodził się Evah. – I już słyszałem z paru ust, że prędzej nastąpi to drugie. Też mi to powiecie?

Kapłan milczał przez dłuższą chwilę, zanim odpowiedział.

– Nie, chłopcze. Tego ode mnie nie usłyszysz. Nie jesteś jak inni. Wprawdzie twoja wyprawa jest szaleństwem, ale mam przekonanie, że sobie poradzisz. Nie wiem, czy zdołasz zgładzić Żelaznego Kruka, ale uważam, że wrócisz, nawet jeśli poniesiesz klęskę.

– Jeśli nie zwyciężę, zginę – odparł Evah. – To chyba oczywiste.

Kapłan potrząsnął głową, położył rękę na ramieniu chłopca.

– Czasem lepiej cofnąć się, nabrać sił i przemyśleć, co robić, a potem znów podjąć wysiłek. Martwi nigdy nie są zwycięzcami. Zapamiętaj to sobie. Można

oczywiście umrzeć, wypełniając jakąś misję, bo człowiek nie zawsze jest panem własnego losu, ale należy zrobić, co tylko możliwe, aby przetrwać.

– Wszystko, co możliwe? – spytał z niedowierzaniem Evah. – Nawet popełnić niegodziwości?

– Tego nie powiedziałem – zaproponował kapłan. – Powiedziałem „co tylko możliwe”. Człowiek nie powinien czynić nic, co sprawi, że będzie odczuwał względem siebie wstręt. Należy pamiętać, że po śmierci trzeba stanąć przed bogami i Przedwiecznymi, aby zdać rachunek z życia. Warto mieć wówczas czyste serce. Ale nie zawsze ucieczka jest hańbą, i to również zapamiętaj.

Evah zaczął się zastanawiać nad sensem słów kapłana. Musiał przyznać, że rozmowy z tym mężczyzną zmuszały do intensywnego myślenia. I zdał sobie sprawę, że sprawia mu to przyjemność. Z zaskoczeniem stwierdził również, że wiadomość o tym, iż świat ma kształt kuli, wprawdzie na początku wzbudziła w nim sprzeciw, lecz już po chwili zaczęła się wydawać nie tylko ciekawa, ale wręcz fascynująca. To by tłumaczyło, dlaczego słońce wstawało rano, przemierzało niebo i zachodziło wieczorem, a potem panowała noc. Wtedy musiało się znajdować po drugiej stronie kuli, dlatego nie było go widać. No i ten księżyc ze swoimi fanaberiami i zupełnym znikaniem. Jak to powiedział kapłan? Mechanika nieba. Coś niesamowitego. Evah poczuł w tej chwili, jakby jego umysł owiał podmuch świeżego powietrza.

– A teraz powiem ci, gdzie dokładnie szukać kapłana boga Rengara – rzekł kapłan. Zamilkł na chwilę, jakby coś w sobie ważąc, a potem uśmiechnął się łobuzersko. Dziwnie wyglądał z tym chłopcym wyrazem na brodatej twarzy, przybrany we wspaniałą purpurową szatę. – I powiem ci coś jeszcze o moim bracie w kapłaństwie. Coś, co ułatwi zadanie, bo rozmowa z nim na pewno nie będzie miłą przechadzką z dziewczyną brzegiem rzeki o zachodzie słońca.



Wstali skoro świt, a nawet nieco wcześniej, bo było jeszcze zupełnie ciemno. Błada kreska wschodu dopiero rysowała się na dalekim widnokregu, ale za murami nie było tego widać, zdawało się, że panuje głęboka noc.

– Właśnie tego najbardziej nie lubię w naszej robocie – narzekał Kałdun, zawiązując podróżny worek. – Wstaje człowiek, kiedy jeszcze jest ciemno, kładzie się, kiedy już jest ciemno, a jeszcze w nocy warty...

– Nie narzekaj! – ofuknął go Werbel. – Jęczysz jak stara baba. Spójrz na Evaha. Zerwał się wcześniej od ciebie i nawet nie pisnął, chociaż to jeszcze dzieciak. Już zapakował wszystko, zresztą ja też, i czekamy tylko na ciebie.

– Znaleźli się panowie doskonali – burczał Kałdun. – Poszedłbyś lepiej obudzić gospodarza, żeby nam zrobił coś pożywnego na śniadanie.

– Evah już u niego był – odparł łysy najemnik. – Dla nas będzie zimne mięso z chlebem i polewka serowa, a dla ciebie jajecznica z ośmiu jaj.

– Polewkę też bym zjadł – burknął Kałdun. – Ale o tym zbyt trudno było pomyśleć, co? Do pierwszego postoju żołądek mi się wywróci na drugą stronę.

– Dla ciebie Evah kazał odgrzać piwną. Tę, która tak ci wczoraj smakowała. Twarz Kałduna od razu się rozjaśniła.

– Wspaniały chłopak! Powiadam ci, Werbel, to jest złoto nie młody człowiek. Nie tylko łapę ma jak wojownik, ale też serce niby czuła matka. Chciałbym kiedyś mieć takiego syna...

Mówił coraz wolniej, a potem zamilkł ze zmarszczonym czołem, bo zarówno Werbel, jak i Evah zaczęli pokładać się ze śmiechu.

– Jak niewiele niektórym potrzeba do szczęścia... – Łysy żołnierz otarł łzę z kącika oka. – Wystarczy, że napchają bandzioch do rozpuknięcia i można ich zaprząć do wozu razem z wołami czy mułami. Nawet nie pisną, gdy im się nakłada jarzmo.

Evah trzymał się za brzuch. Zachwył Kałduna nad jego zapobiegliwością i dobrocią był naprawdę zabawny. Tym bardziej że to właśnie gruby weteran powiedział chłopcu, czego ma rano zażądać.

– Nie ma to jak trochę zdrowego śmiechu od rana – rzekł Werbel, uspokajając się. – Ale już bądźmy ciszej, bo nie wszyscy muszą wstawać razem z kurami. Nie należy budzić bez potrzeby ludzi śpiących snem sprawiedliwego, aby się nie rozgniewali, jak powiada Lulan, bóg odpoczynku.

– Przecież takiego boga nie ma! – zaprotestował Kałdun.

– Skąd wiesz? – Werbel zarzucił na ramię worek z rzeczami. – Nie znamy ich wszystkich, więc taki też może istnieć. A jeśli nie, Przedwieczni prędzej czy później powołają go do życia. Dlatego nie wrzeszczmy już, żeby nie drażnić gości w przyległych pokojach.

– A kto nam co zrobi? – zaperzył się gruby żołnierz.

– Nikt zapewne – odpowiedział Werbel – bo też nikt groźniejszy od nas tu nie mieszka. Lecz to nie znaczy, że wolno zakłócać spokój innym.

Kałdun burczał coś jeszcze, ale szybko się pozbierał, szczególnie że z dołu doleciał zapach jedzenia.

– Mam nadzieję, że jajka będą w sam raz ścięte, ale nie za twarde – mruknął. – I że karczmarz nie doda do jajecznicy prażonej mąki z olejem, bo tego nie cierpię i jak mi bogowie mili, rozbiję miskę na jego głowie, jeśli wyczuję ten obrzydliwy smak.

Werbel spojrział na Evaha i pokręcił głową.

– Każdego ranka zadaję sobie pytanie, dlaczego jeszcze nie dzieliłem go mieczem po krzyżach – powiedział. – I nie mogę w sobie znaleźć na to dobrej odpowiedzi, możesz mi wierzyć.

– Wierzę – odparł Evah. – Kałdun swoim narzekaniem potrafiłby obudzić bestię nawet w polnej myszy.

– Doskonale powiedziane! – ucieszył się Werbel. – Słyszałeś?

– Słyszałem, słyszałem – burknął Kałdun. – Kpijcie sobie do woli z biednego wygłodzonego człowieka.

– Wygłodzonego... – Werbel precyzyjnie się do drzwi obok przyjaciela, poklepał go po okazałym brzuchu. – Znasz powiedzenie, że zanim gruby schudnie, to chudy już umrze z głodu? Można powiedzieć, że zabezpieczasz się najlepiej jak można.

Evah roześmiał się, ale tak naprawdę nie było mu wesoło na duszy. Niewiele spał tej nocy, myśląc o czekającej go wyprawie. Jak należało się spodziewać, żadna karawana nie zdążyła w stronę Migry. Najbliższa miała się formować dopiero za miesiąc, a wyruszyć jeszcze później. Chłopiec nie miał na czekanie ani cierpliwości, ani tym bardziej dość pieniędzy, żeby przetrwać tak długi czas w mieście. Przez chwilę kusilo go nawet, żeby wyruszyć z czcigodnym Harimim, zarobić trochę i dopiero później wrócić na właściwą drogę, ale szybko odpędził tę myśl. Jeżeli chciał dotrzymać przyrzeczenia danego nad grobem ojca, musiał podążać w zupełnie inną stronę niż jego dotychczasowi towarzysze i nie powinien z tym zwlekać. Żelazny Kruk nie będzie przecież czekał bezczynnie, aż znajdzie go mściciel, o którym nie miał pojęcia. Ile jeszcze ludzkich osiedli ucierpi za jego sprawą?

Na samo wspomnienie o tym Evah czuł narastający gniew.

– Chodźże już, chłopie, coś tak stanął? – popędził go Werbel. – Kałdun gotów zjeść swoją porcję i dorwać się do naszych.

Evah dopiero spostrzegł, że zostali sami. Żołnierz wziął lampkę oliwną i zeszli na dół ciemnymi stromymi schodami. W sali jadalnej krzątał się już gospodarz i jakaś dziewczyna, sądząc z podobieństwa rodzinnego, jego starsza córka. Z ciekawości zerknęła na trzech rannych ptaszków, a szczególnie na Evaha. Byli w podobnym wieku i musiała zastanawiać się, czego tak młody człowiek szuka w towarzystwie weteranów o pokrytych bliznami twarzach, twardych mięśniach i niewyszukanych manierach.

Kałdun oczywiście zauważył zainteresowanie dziewczyny.

– Ależ się w ciebie wpatruje – mruknął, nachylając się do Evaha. – Szkoda, że wcześniej jej nie widzieliśmy, co? Miałybyś bardzo ładną znajomą.

Chłopak spiekł raka i nie odpowiedział. Rzeczywiście, młoda panienka odznaczała się urodą – miała jasne włosy, układające się w fale, co było widać nawet, gdy nosiła je upięte w koński ogon, do tego chabrowe oczy, okrągłą, niezwykle miłą buzię i urocze dołki w policzkach.

– Dopiero wczoraj skądś wróciła – wyjaśnił Werbel. – Wieczorem widziałem, jak przyjechała wozem z jakimś mężczyzną dziwnie podobnym do

gospodarza. To pewnie jego brat. Widać córka przebywała u krewnych...

– Nie jestem córką właściciela, tylko jego bratanicą. – Dziewczyna podeszła właśnie z polewką serową i usłyszała ostatnie słowa najemnika. – Dzisiaj zaczynam pracę u stryja.

– Wielka szkoda, że nie zjawiałaś się tydzień temu – wypalił Kałdun – bo ten tutaj młodzieniec na pewno chętnie zabrałby cię na jarmark, a nawet jakieś tańce.

Dziewczyna uczyniła się równie czerwona, jak Evah, który burknął do towarzysza:

– Akurat mi nie do tańców. Rodziców niedawno straciłem, muszę ci przypominać?

– Och, nie złość się, chłopcze. – Werbel nieoczekiwanie przyszedł w sukurs kompanowi, zamiast zgodnie z obyczajem jeszcze go podrażnić. – Nie można się pogrążyć bez reszty w żałobie, rozpamiętywać zmarłych. Trzeba dać im trochę spokoju.

– Straciłeś rodziców? – spytała dziewczyna, zapominając o zmieszaniu. – Kiedy?

– Niedawno, chociaż zdaje mi się czasem, że nie tygodnie upłynęły, lecz lata.

– Jak to się stało?

Evah skrzywił się lekko. Nie miał ochoty zwierzać się każdemu napotkanemu człowiekowi ze swoich trosk. Jednak w postawie dziewczyny nie było zwykłej ciekawości czy wścibstwa. Zapytała z prawdziwym współczuciem.

– Żelazny Kruk – wyjaśnił krótko, a dziewczyna przyłożyła dłoń do ust.

– Żelazny Kruk – powtórzyła. – Nie dalej jak tydzień temu spadł na sąsiednią wioskę. To dlatego rodzice postanowili mnie przywieźć do miasta. Ojciec obawia się, że potwór może i na nas się uwziąć.

– Sami też powinni się przenieść – mruknął Werbel.

– A kto będzie doglądał gospodarstwa? – spytała dziewczyna. – Nie można wszystkiego rzucić, bo z czego potem żyć? Przecież nie wiadomo, czy Kruk się zjawi.

– Należy wypatrywać jego szpiegów na niebie – powiedział Evah.

Dziewczyna westchnęła.

– Nie ma kary i nie ma miecza na tę poczwarę. Nikt nawet nie wie, jak dokładnie wygląda, bo świadkowie nie pozostają. Ciebie też wywieźli rodzice? – spytała Evaha.

– Nie, dziewczyno, on ocalał z pogromu – odparł Werbel. – To nie jest taki sobie zwykły chłopak, a i jego ojciec nie był jak wszyscy. Przynajmniej tak mi się wydaje.

– I właśnie ten chłopak chce być mieczem, który zgładzi Żelaznego Kruka.

Dziewczyna spojrzała na Evaha wielkimi oczami.

– Chcesz tego dokonać? Sam?

– Pokonam go w dowolny sposób – odparł chłopiec. – Nieważne, czy sam, czy z pomocą.

– Jesteś szalony. Przecież nawet możni panowie nie mają odwagi porwać się na niego. Nie szukają go też, bo to przecież może sprowadzić zgubę na swoją głowę.

Evah uśmiechnął się smutno.

– Najwyżej umrę, nic gorszego mnie spotkać nie może.

– Może – odpowiedziała z powagą dziewczyna. – Nie należy żartować ze śmierci. Żelazny Kruk może pożreć twoją duszę, a ciało przerobić na jakiś drogi kamień.

– Prędzej zginę, niż na to pozwolę – odpowiedział z ogromną pewnością siebie, której wcale nie czuł. Chciał jednak zaimponować dziewczynie. Była zupełnie inna od rudowłosej smagłej Verilli, ale miała w sobie coś równie miękkiego i pociągającego jak tamta.

Bratanica gospodarza chciała jeszcze o coś zapytać, ale stryj kazał jej wracać do kuchni. Niebawem mieli się budzić kolejni goście, trzeba było przygotować posiłek. Zresztą nie mieli już czasu na dalsze pogawędki, bo drzwi uchyliły się i najpierw do gospody wsunął się wielki wiecheć jasnych włosów, a potem cała postać Kellana.

– Czas na mnie. – Evah podniósł się, wziął pajdę chleba i kawał mięsa, a potem położył na stole dukata. – Przyjaciele, wiem, że to zbyt mało, by wynagrodzić wasze wydatki na mnie, ale więcej nie mam. Kiedyś na pewno się odwdzięczę.

– Zabieraj to! – warknął Werbel. – Ale już!

– Tak jest, zabieraj! – zawtórował mu Kałdun. – Od przyjaciół nie bierzemy pieniędzy. Poza tym to jest dwa razy za dużo!

Ale chłopiec był już przy drzwiach, odwrócił się z uśmiechem.

– Wypijcie więc za moje zdrowie, kiedy nadarzy się okazja. Może los sprawi, że się jeszcze spotkamy.

– Oby! – Werbel machnął ręką. W pierwszej chwili chciał dogonić Evaha i wcisnąć mu z powrotem srebro, ale zrezygnował. Chłopak był zbyt honorowy, aby odbierać, co już dał, i skończył się tylko na przepychance, a dzieciak i tak znajdzie jakiś sposób, żeby im zostawić ten pieniądz. – Mam nadzieję, że cię jeszcze spotkam całego i zdrowego.

– Bywaj! – zawołał Kałdun. – Nie złam tam gdzieś karku!

Evah podał jedzenie Grzywie, który na widok mięsa aż przełknął głośno ślinę.

– Idziemy. Zjesz po drodze.

Kiedy wyszli, Kellan rzucił się na jedzenie, jakby głodował od tygodnia.

– Nie rozumiem – rzekł z pełnymi ustami – dlaczego nie zabrałeś dukata. Przecież nie chcieli!

– Nie gadaj, jak jesz, bo okruchy lecą na ziemię i w ogóle paskudnie wtedy wyglądasz – dociął Kellanowi chłopiec. – Jak ich znam, to przechowają srebro i dadzą mi je, jeśli się kiedyś jeszcze zobaczymy.

Grzywa przystanął, zapatrzył się na Evaha.

– Dziwni wszyscy jesteście – burknął. – Jeszcze takich nie widziałem.

– Zapewne jeszcze wielu rzeczy nie widziałeś – odparł Evah, a potem westchnął ciężko. – Podobnie jak ja.

Ruszyli budzącą się do dziennego życia ulicą. Właśnie znikali z niej ci, którzy woleli żyć pod osłoną ciemności, zastępowani przez ludzi zajmujących się zwyczajną pracą.

Evah nie był pewien, czy ostatecznie podobało mu się wielkie miasto, czy nie, ale z ulgą pomyślał o tym, że niebawem zostawią je za plecami z całym tym zgiełkiem, wieczną bieganiną i niebezpieczeństwami. Zdawało mu się jednak, że za jakiś czas zatęskni do tego wszystkiego. W porównaniu ze spokojną egzystencją na dalekiej wsi, tutaj toczyło się prawdziwe życie. Lepsze lub gorsze, ale rzadko chyba bywało naprawdę nudne, szczególnie jeśli było się młodym i ciekawym świata.

Po drodze do zachodniej bramy minęli świątynię Hemgara. Evah zatrzymał się na chwilę, spojrzął w górę, na zwieńczenie kopuły. W szarości poranka okna lśniły mętnie, zdawały się drżeć.

– Odprawiają jakieś nabożeństwo – powiedział Kellan. – Kapłani w ogóle wcześniej wstają, bo pierwsze modły do boga poszukujących prawdy trzeba zanosić równo ze wschodem słońca. A przedtem jeszcze należy uczcić Przedwiecznych.

– Nie miałem o tym pojęcia – rzekł Evah. – Patronem mojej wioski jest... a może raczej była... bogini Ezranna, opiekunka płynących wód i mieszkających w nich stworzeń.

– I wodnych kwiatów – dodał Grzywa.

– Tak, wodnych kwiatów też. Jej świątynia stała na skraju wsi, ale kapłan z grodu rzadko przychodził. A i to wcale nie z jej chramu, tylko od boga Semirana.

– Cóż, to mąż Ezranny – roześmiał się Kellan. – Wszystko pozostawało w rodzinie.

Evah chętnie wstąpiłby do ziemskiego domu Hemgara, zobaczył się jeszcze ze znajomym kapłanem, ale czuł, że nie powinien zakłócać mu spokoju i skupienia przed nadchodzącym obrzędem. A mężczyzna w purpurowych szatach zapewne nie znalazłby czasu na rozmowę.

Chłopiec westchnął ciężko, klepnął towarzysza w ramię i ruchem brody wskazał ulicę.

Ruszyli dalej.

Rozdział 16

Kemarski Moczar



Evah z trudem wydobywał stopę z lepkiego błota.

Na bezchmurnym niebie świeciło beztróska słońce, dookoła rozciągały się urokliwie i na pozór przyjazne zielone łąki, nad kwiatami polatywały motyle i pszczoły. Krajobraz był po prostu sielankowy, ale chłopiec klął w duchu urodę tego kawałka świata.

– Pomóc ci? – zapytał Grzywa. Stał na suchej ścieżce. To znaczy, w miarę suchej, bo mimo ciepłej pory tu i ówdzie podchodziła woda.

– Lepiej nie – odparł Evah. – Spróbuję sam się jakoś tam dostać.

Kilka kroków dalej leżał upolowany przed chwilą zając błotny. W pierwszej chwili Evah był z siebie niezmiernie dumny, że udało mu się trafić łup pierwszą wypuszczoną strzałą, ale nie miał pojęcia, że celny strzał to będzie najmniejszy problem, chociaż odczuwał przed nim tremę. Nie dlatego, że w ogóle obawiał się spudłować, ale nie chciał tego zrobić, kiedy Kellan patrzył.

W dodatku ojcowy łuk wciąż jeszcze był nieco zbyt twardy dla chłopca. Radził sobie z nim o wiele lepiej, niż kiedy się przymierzał do dorosłej broni kilka miesięcy wcześniej, ale musiał włożyć dużo wysiłku, żeby podczas naciągania wyprostować należycie prawą rękę, a lewą dociągnąć cięciwę do brody. Do policzka już nie dał rady. A jeszcze wycelować...

Wypuścił strzałę, zanim ręce zaczęły mu mocno drżeć. Zając na szczęście nie uciekał, tylko stał słupka, zapatrzony z ciekawością w ludzi przemierzających moczary tylko we dwóch. Rzadko pojawiały się tutaj inne istoty niż mieszkańcy rozległych bagnisk.

Evah uwolnił wreszcie but, odwrócił się do Grzywy.

– Daj mi swój kij – poprosił. – Muszę macać drogę przed sobą.

– A nie możesz pomacać łukiem? – Kellan skrzywił się z niechęcią.

Kostur znalazł dwa dni wcześniej, kiedy szli szerokim duktem przez las. Leżał na środku drogi, jakby czekał na właściciela. Nacięcia i płytkie rzeźbienia wskazywały na to, że musiał go zgubić ktoś przywiązany do przedmiotu, skoro włożył pracę w takie zdobienia.

– Łukiem mogę pomacać ciebie – burknął Evah. – Chcesz jeść? To nie ucz mnie, jak się postępuje z bronią. Daj już ten kijaszek!

Grzywa podał mu kostur, a Evah zaczął wbijać go w trawę przed sobą. Wyglądało na to, że wszędzie dookoła jest grzęzawisko. Chłopiec pomyślał z westchnieniem, że przyjdzie im tego dnia głodować, nie sięgnie po łup.

Jednak w jednym miejscu kępa nie ugięła się pod pchnięciem tak mocno, jak pozostałe.

– Spróbuję na nią wskoczyć – powiedział Evah.

Kellan chciał zaprotestować, ale syn Krunnaha już był w powietrzu. Wylądował w upatrzonym miejscu, zachwiał się, z trudem utrzymał równowagę. Wprawdzie zbita trawa poszła nieco w dół i rozległo się chlupnięcie, ale nogi Evaha nie zapadły się w bagno.

Znów pomacał przed sobą kosturem, znalazł kolejne bardziej suche miejsce, wprawdzie nieco w bok od upolowanego zwierzęcia, ale mniej więcej w dobrym kierunku.

Musiał wykonać osiem takich skoków, zanim zbliżył się do celu. Spodziewał się, że miejsce, na którym siedział przedtem zając, nie powinno być bardzo podmokłe, i nie pomylił się. Skoczył, wylądował tak, aby nie nadepnąć stworzenia, przez co lewa noga omsknęła się nieco i zanurzyła w wodzie. Na szczęście nie była to mętna żybura, oblepiająca wszystko, ale po prostu kępa podsiąkła wilgocią.

Evah podniósł zająca, wyszarpnął strzałę.

– Wybacz, mały braciszku – wypowiedział cicho słowa, których nauczył go ojciec. – Uczyniłem ci krzywdę nie ze złości i nie dla swawoli, ale dlatego, żebym sam nie osłabł i nie umarł z głodu. Niech twoją małą duszyczką utuli bogini Millewa, dołącz do jej orszaku w lepszym świecie. A kiedy przyjdzie na mnie, moja dusza odnajdzie twoją i poprosi o wybaczenie.

Kiedy uczył się tej formuły i wygłaszał ją w obecności ojca, wydawała mu się jakaś zwyczajna, a nawet niepotrzebna. Po co przeproszać upolowane zwierzę? Tak już jest na świecie, że silniejszy i sprytniejszy zjada słabszego. W ten sposób urządzili to Przedwieczni wraz z bogami, więc inaczej być nie może.

Lecz kiedy teraz trafił zająca błotnego prosto w serce, miał wrażenie, że strzała przeszła jego samego. Może z tego względu, że stracił bliskich i poznał, jak smakuje śmierć? Wprawdzie nie ta, która przychodzi razem z kresem życia, ale śmierć innych. Lecz przecież to też prawdziwa śmierć, straszliwe nieszczęście. I w tej chwili słowa nabrały nowego znaczenia, do chłopca dotarło,

że odbieranie życia nigdy nie jest czymś dobrym. Nawet jeśli chodzi o przetrwanie. Rzemykiem przywiązał zająca do pasa i ruszył w powrotną drogę.

Wcześniej starał się zapamiętać którądy idzie, jednak kiedy spojrzął w stronę ścieżki, wszystkie kępy znów wydawały się takie same. Nawet tej ostatniej nie był już pewien. Zaczął sprawdzać od nowa.

– Pomogę ci! – zawołał Grzywa, widząc wahanie towarzysza. – Druga po twojej lewej ręce!

Evah skoczył. Z ulgą stwierdził, że Kellan miał rację. No tak, przecież on nie zmieniał pozycji, łatwiej mu było zapamiętać drogę, jeśli tylko uważał.

– Teraz tamta z prawej, ale sprawdź lepiej, żeby się upewnić.

I tak to poszło. Grzywa wskazywał miejsca, a Evah najpierw je badał, a potem skakał. Tylko raz starszemu z chłopców miejsca się pomyliły, ale Evah prędko znalazł obok właściwe. Dobrze, że według rady kompana wszystkie sprawdzał, bo wystarczyło raz się pomylić, żeby narobić sobie kłopotów.

– Co tam mamrotałeś nad tym królikiem? – zapytał Grzywa.

Stali o krok od siebie na wąskiej ścieżynie.

– Zającem – poprawił towarzysza Evah. – To zając błotny. Futro z niego żadne, ale mięso daje się zjeść.

– O ile znajdziemy gdzieś kawałek miejsca na ognisko i suche gałęzie. Albo chociaż chrust.

– Jeśli nie dzisiaj, przygotujemy go jutro – odparł Evah. – Nie jedliśmy od wczoraj, do jutra czy nawet dłużej wytrzymamy i nie osłabniemy.

– Ja tam jestem głodny jak wilk – mruknął Grzywa. – Nie przywykłem ruszać się nigdzie bez posiłku.

– Było przyoszczędzić trochę sucharów – wytknął mu Evah. – Ale nie, musiałeś je pogryzać w drodze.

Grzywa wzruszył ramionami.

– Chodźmy już. Trzeba było nie zbaczać z gościńca. Może szłoby się dłużej, ale pewniej.

– Jakoś nie krzyczałeś, żeby nie skracać drogi. – Evaha zaczęły już trochę drażnić narzekania Kellana.

Szli przez grzęzawisko, bo skorzystali z rady gospodarza, do którego wstąpili poprosić o wodę. Mężczyzna mieszkał w stojącej samotnie zagrodzie, był tylko on i jego żona. Jeden syn służył w wojsku, drugi udał się właśnie do miasta z ziarnem i rzepą. Rzeczywiście, kilka godzin wcześniej minęli po drodze młodego człowieka powożącego niewielkim wozem zaprzężonym w starego osiołka. Szedł obok zwierzęcia i chwilami wyglądało, jakby to on ciągnął osła i cały ładunek. Mężczyzna powiedział im o gospodarstwie znajdującym się wiorstę w bok od traktu. Musieli skręcić w prawo przy ofiarnym kamieniu.

Rolnik proponował im nawet nocleg, ale ponieważ było jeszcze dość wcześnie, zdecydowali się ruszać dalej. To znaczy, Grzywa nie miałby nic przeciwko dłuższemu odpoczynkowi, jemu przecież nigdzie się nie śpieszyło, ale Evah chciał jak najszybciej dotrzeć do kapłana mieszkającego za Migrą.

Na pożegnanie mężczyzna poradził chłopcom, żeby spróbowali przejść Kemarskim Moczarem.

– Karawana tam nie pojedzie, bo wozy by się zaraz zapadły, a i ścieżki są zbyt wąskie, nie da się chwilami iść nawet jeden obok drugiego. No i przejść trzeba za dnia, bo nocą wypełzają na bagna krwiożercze demony, więc strach tam spać. Wielu stamtąd nie wróciło.

Dlatego kiedy dotarli po południu do wskazanego rozstaju dróg, zatrzymali się tam na noc. Szeroki gościniec skręcał lekko na południe, a mało uczęszczana droga wiodła prosto. Trakt po prostu omijał szerokim łukiem bagna i rozlewiska. Ułożyli się do snu głodni. Evah złościł się, że Grzywa zjadł wszystkie suchary i został im tylko kawałek chleba podarowany przez rolnika. Może dałby im coś więcej, ale wówczas nadeszła jego żona i zaczęła wyrzekać, że sami niewiele mają, a tutaj trzeba karmić włóczęgów. Wtedy nawet Grzywa przestał napomykać o pozostaniu, mruknął tylko: „Ale wściekłe babsko”. Gospodarz dosłyszał to, jednak nie był rozgniewany, machnął tylko ręką z rezygnacją.

Teraz Kellan machnął ręką na wyrzut towarzysza.

– Nie krzyczałem, bo skoro już idziemy, też chcę dotrzeć do miasta jak najprędzej. Tam zawsze dam radę zdobyć coś do jedzenia, nie będę musiał polegać na tobie i twoim łuku. A jeśli jutro nic nie upolujesz?

– To będziesz lał głodny – odparował Evah. – Chodźmy, bo południe już minęło, a nie wiem, czy przeszliśmy choć połowę drogi. Chcesz nocować na bagnach?

Grzywa wstrząsnął się i bez słowa ruszył pierwszy. Evah podążył za nim. Znaleźli się właśnie w jednym z takich miejsc, w których trzeba było podążać gęsiego.



Kellan siedział, obejmując rękami kolana. Wpatrywał się ponuro w maleńki ogienek, płonący na środku jedynej bodaj suchej skrawki w okolicy, na zwieńczeniu niewysokiego pagórka, na którym byli zmuszeni spędzić noc. Tarcza słoneczna już chowała się za widnokretem, pozostawiając po sobie tylko jasną kreskę nieba.

– Miałeś rację – odezwał się Grzywa głuchym głosem. – Trzeba było skręcić tam, gdzie mówiłeś. Ale mnie się zdawało, że to za szybko.

Evah oprawiał zająca bagiennego, spojrzał sceptycznie na ognisko.

– Nie wiem, czy mięso zdoła się upiec – powiedział. – A na pół surowego nie ma co jeść, bo skończy się to smutno dla naszych żołądków.

– Zjadłbym i surowego – mruknął Grzywa, a potem głośniejszym głosem dodał: – Słyszałeś, co mówiłem? Miałeś rację.

– Wiem, wiem – odparł Evah w roztargnieniu. Przysunął trochę w miarę suchej trawy i kilka gałązek do płomienia. – Może jak to przeschnie, będzie łatwiej. Narwij więcej trawy z południowego skłonu. Jest nieco bardziej sucha.

– Przyznałem, że się myliłem! – przypomniał towarzyszowi Grzywa. – Powinniśmy skręcić wcześniej. Niepotrzebnie się upierałem.

– A ja niepotrzebnie cię posłuchałem – rzekł Evah. – Mamy teraz większe problemy niż niedokończona kłótnia. Przynies tej trawy, zanim się ściemni.

Rolnik kazał im skręcić w lewo przy czwartym z kolei dużym ostrowie porośniętym olchami. Wtedy powinni wrócić do traktu. Niestety, nie potrafili dojść do porozumienia w kwestii określenia wielkości skupisk roślin. Bo było ich całkiem sporo, w większości niewielkich. Evah uważał, że należy uznać trzeci większy mijany ostrów, ale Grzywie wydawał się zbyt mały i tak uporczywie obstawał przy swoim, że Evah stracił wreszcie pewność. Wprawdzie w miejscu, które syn myśliwego uznał za właściwe, odchodziła w bok ścieżka, ale wcześniej przy jednej z dużych kęp także biegła dróżka na południe. „Trzeba iść dalej – naciskał Kellan. – Słyszałeś, co mówił gospodarz. Jeśli źle skręcimy, dojdziemy do jakiegoś zapyziałego osiedla, a stamtąd do traktu wcale drogi nie ma”.

Poszli więc dalej i okazało się, że wprawdzie trafili jeszcze na dwa duże ostrowy, tylko że przy żadnym nie było śladu dróżki wiodącej we właściwym kierunku. Przy ostatnim jedna była, ale na północ. A ta, którą szli, przechodziła przez pagórek i ginęła w dali, wśród bezkresnych bagien.

– Przeklęty Kemarski Moczar – burczał Grzywa. Wrócił z naręczem trawy. Pomacał nagromadzone z trudem gałązki, wrzucił w ogień tę, która wydała mu się najbardziej sucha. – Mogliśmy iść jak ludzie, traktem.

– Kto sobie drogi skraca, późno do domu wraca – rzucił Evah. W dzieciństwie często słyszał to powiedzenie, a jego sens dotarł do niego w pełni dopiero dzisiaj, w tych nieprzyjemnych okolicznościach.

– Dużo masz takich mądrości w zanadrzu? – Grzywa zapomniał już, że powinno mu być przynajmniej głupio.

– Wystarczy na każdy dzień roku, ale nie aż tyle, ile masz kudłów na głowie – odgryzł się Evah.

– Jak będziesz za dużo mędrkował, wyrwę sobie wszystkie, zanim dojdziemy do Migry.

– Pilnuj lepiej płomienia – odparł syn Krunnaha. – Jak zgaśnie, ty będziesz krzeszał ogień.

Grzywa znów się skrzywił. Musiał przyznać, że ta czynność bardzo mu nie szła. Rzadko w całym życiu miał potrzebę sam krzesać ogień, a już zupełnie nie miał pojęcia, jak należy to robić, nie mając absolutnie suchej rozpałki. Evah przewidująco włożył po drodze pod opończę trochę olchowych gałązek i wiązkę trawy, żeby podeschły, a i tak długo marudził, zanim pojawił się pierwszy dymek i nieśmiały płomień.

– A ty pospiesz się z tym zającem – burknął Kellan – bo jak się porządny opał skończy, nici będą z kolacji.

– Już... Dorzuć trochę więcej do ogniska.

Evah przymocował podzielone na porcje mięso do dwóch patyków, podał jeden towarzyszowi niedoli.

– Trzymaj nad płomieniem, ale nie za nisko, żeby się nie spaliło.

– Jak się mięso piecze, to akurat wiem, nie umiem go tylko upolować. Nie mamy nawet szczypty soli?

– Nie. – Evah potrząsnął głową. – Sól jest za droga, a nie miałem sumienia skubnąć z zapasu karczmarzowi.

Kellan westchnął ciężko, wyciągnął rękę z patykiem przed siebie.

– Może jesteś dzielny, waleczny i honorowy, ale głupi aż boli – wyburczał. – Ubyłoby karczmarzowi? Nawet by nie zauważył.

– Ale ja bym wiedział, że ukradłem – odparł Evah i dodał, chcąc podrażnić kompana: – Mądrzy ludzie powiadają, że kradzione nie tuczy.

Grzywa aż zgrzytnął zębami ze złości, nic jednak nie powiedział. Myślał już o czymś innym. O tym, co opowiadał rolnik na temat nocowania pośród Kemarskiego Moczaru. Evah myślał zresztą o tym samym i to on jako pierwszy wyraził obawę:

– Przydałoby się palić ogień całą noc, ale musimy nadążyć suszyć trawę i gałęzie. Tyle suchego, co teraz mamy, na pewno nie wystarczy.

– Nie chcę nawet o tym myśleć – rzekł Grzywa. – Ale może na wzgórze te bagienne duchy nie będą się wspinać.

Mięso zaczęło skwierczeć, rozszedł się przyjemny zapach.

– Zając błotny trochę pachnie bagnem i rybą – ostrzegł Evah. – Raz w życiu go próbowałem i nie byłem zachwycony. Ale zjemy przecież. Głód jest najlepszym kucharzem, jak powiadają.

– Przestań już! – krzyknął Grzywa do chichoczącego złośliwie towarzysza. – Jeszcze jedno przysłowie, powiedzenie albo wiejska mądrość, a przysięgam, że pójdę utopić się w bagnie i zostaniesz tutaj sam!

Ale po chwili sam zaczął się śmiać.

Niebawem chłopcy uznali, że mięso nie potrzebuje więcej opiekania, i wzięli się do jedzenia. Grzywa musiał przyznać, że ostatnie przysłowie, wygłoszone przez Evaha sztucznie uroczystym tonem, zawiera wiele prawdy. Bo

rzeczywiście zając błotny trącił błotem i niezbyt świeżymi rybami, ale Kellan zajadał, aż mu się uszy trzęsły, i żałował, że zwierzę było takie małe. Gdyby ktoś go w tej chwili zapytał, byłby gotów nawet przyznać, że właśnie spożył prawdziwie królewską potrawę.

Evah po posiłku poszedł wyrzucić jak najdalej skórę i wszystko, co zostało po oprawieniu zająca.

– Wolałbym, żeby ten zapach nie przywabił tu jakiegoś drapieżnika – wyjaśnił Grzywie, który radził, żeby to wszystko rzucić byle gdzie, bo do rana się nie zepsuje, a przecież nie zakładają tu obozowiska. – Wiadomo to, czy nie napatoczy się chociażby jakiś wielki wąż? Podobno w tych okolicach można spotkać żmije olbrzymie.

Zszedł na dół pagórka, podążył kilkadziesiąt kroków ścieżką ledwie widoczną w mdłym blasku księżyca. Do pełni pozostało jeszcze zaledwie parę dni i dysk powinien świecić o wiele mocniej, ale nad bagnem wstał już opar, uniósł się wyżej, tłumiąc poświatę i napełniając świat niepokojącymi kształtami.

Evah rzucił zawinięte w skórę wnętrzności i kostki zająca w bagno najdalej, jak mógł, i czym prędzej ruszył w stronę wzgórza, na którym krzepiącym, ciepłym blaskiem jaśniało małe ognisko.

Czuł się nieswojo. Nie potrzeba by nawet opowieści rolnika o błotnych straszidłach i duchach, żeby mieć duszę na ramieniu teraz, kiedy zapadł zmrok, a wyobraźnia podsuwała różne obrazy. Mgła podnosiła się znad mokradeł coraz gęstsza, wypełniała całą przestrzeń. Evahowi zdawało się, że w oparze zaczyna dostrzegać niewyraźne kształty, które formowały się w kłębach białego tumanu.

Widział takie zjawisko już kilka razy, kiedy ojciec zabrał go na parodniowe łowy, jednak przy dorosłym silnym mężczyźnie, znającym las i wszelkie jego ścieżki, takie zjawiska wydawały się bardziej fascynujące niż straszne. Co więcej, wówczas lubił sobie wyobrażać, co przedstawiają ulotne kształty, nie bał się, dopowiadając sobie do nich całe historie o walczących smokach, demonach czy istotach rodem z Otchłani. Lecz teraz serce mu biło jak młotem, a niechciane myśli i obrazy cisnęły się przed oczy.

Przyśpieszył kroku, ale zaraz zwolnił. We mgle ledwie widział słabo wydeptaną ścieżkę, lekkim łukiem wiodącą ku wzgórzu. Gdyby z niej zboczył, zaraz znalazłby się w bagnie, a nie był wcale pewien, czy Grzywa ruszyłby mu na ratunek. Znający tylko miejskie życie i utarte szlaki traktów chłopak był jeszcze bardziej przerażony od niego, a odwaga nie należała najwyraźniej do jego zalet.

Z boku rozległo się jakieś klaśnięcie, jakby ktoś wyrwał stopę z bagiennej mazi, a potem długie, głębokie westchnienie.

Evah, nie bacząc już na nic, pobiegł. Na szczęście doszedł już prawie do stóp pagórka, tu nie musiał zważać na to, by trzymać się ścieżki. W pewnej chwili

wyszedł nad opar, odetchnął z ulgą. Widok niedalekiego ogniska kołł duszę chłopca, zupełnie jakby wrócił do przyjaznego, rodzinnego domu.

Rozdział 17

Noc na bagnach



Siedzieli blisko siebie, dotykając się ramionami. W biały dzień nigdy nie pozwoliliby sobie na coś takiego, ale strach robił swoje. Evah z obawą patrzył na kurczące się zapasy paliwa. Narwali sporo trawy, ale schła bardzo powoli, złożona obok ognia, a poza tym źdźbła płonęły błyskawicznie, dużej garści wystarczyło zaledwie na kilka chwil. A nie mogło być przecież mowy, żeby poszli kawałek dalej, ku niewielkiemu zagajnikowi.

Ścieżka wiodła zapewne do jakiejś ludzkiej siedziby, skoro ktoś w ogóle tędy przechodził, ale gdzie się ona znajdowała, nie mieli przecież pojęcia.

– Szkoda, żeśmy nie poszli dalej – odezwał się Kellan drżącym głosem. – Może natknęlibyśmy się na jakichś ludzi.

Evah słyszał wyraźnie, że chłopak szczęka zębami, i to nie z zimna. Zresztą sam czuł, jak mimowolnie drży mu broda, jednak kiedy się odezwał, mówił pewnie. Któryś z nich musiał zachowywać się, jakby wszystko było dobrze.

– Gdybyśmy mieli pewność, że jakieś osiedle czy nawet samotne gospodarstwo jest gdzieś w pobliżu, sam bym to zaproponował. Ale już się chyba przekonałeś, jak jest na tych bagnach. Wcale nie wiadomo, czy są jakieś boczne ścieżki, prowadzące do ludzkich siedzib. A może ta, którą szliśmy, wiedzie już tylko poza moczar? Nie pytaliśmy przecież gospodarza o takie rzeczy.

Grzywa mocniej objął rękami podkurczone kolana, odetchnął głęboko.

– No wiem, przecież wiem. Ale kiedy siedzimy tutaj w środku bagniska, to mi się zdaje, że tak by było lepiej.

– Ciesz się, że znaleźliśmy ten pagórek. Póki co mgłę mamy pod sobą, a nie dookoła. Przynajmniej na razie...

Zamilkł, bo zauważył, że opar podnosi się wyżej, pełnie po niewielkich zboczach ze wszystkich stron. Evah zacisnął zęby, dorzucił do ognia parę gałązek. Na chwilę maleńkie ognisko zapłonęło żywszym blaskiem, ale zaraz przygasło, za to w oczy chłopców uderzył gryzący dym. Wilgotne drewno dawało mało ciepła i światła, za to ten nieszczęsny dym szedł nisko po ziemi, a teraz zaczął się łączyć z nadciągającym tumanem.

Evah spojrział w górę. Siedzieli już dość długo, więc księżyc przemierzył spory kawałek nieba. Świecił teraz ostro i jasno, jako że lekki opar, który poszybował wysoko w niebo, o wczesnym wieczorze rozwiął się już zupełnie. Tym groźniej wyglądała mgła kłębiąca się pod nimi dookoła. Jasna poświata sprawiała, że doskonale widać było jej zagęszczenia i zawirowania, układające się w najróżniejsze kształty. Patrzenie na to przypominało trochę obserwowanie chmur na letnim niebie i odgadywanie, co można w nich wypatrzyć. Ale tylko trochę, bo w biały dzień człowiek nie odczuwa strachu, nawet jeśli białe i szare kłęby ułożą się w coś mało przyjaznego, a ten nocny tuman, rozświetlany tylko księżycowym blaskiem, zdającym się pochodzić z ciemnej strony świata, czy nawet z zaświatów, budził jedynie grozę.

Dlatego chłopcy próbowali nie patrzeć na mgłę, choć były to daremne starania. Oczy same uciekały od przyjaznego ognia ku zimnej i groźnej przestrzeni. Evah proponował Kellanowi, żeby się przespał, a potem objął wartę, ale Grzywa stwierdził, że na pewno nie zaśnie. Nie zmruży oka przez całą noc, więc to Evah może spokojnie lec blisko ognia. Jednak synowi myśliwego też nie chciało się spać, a na myśl o zamknięciu oczu na dłużej, niż wymaga tego mrugnięcie, poczuł dreszcze.

– Może nic się nie stanie – mruknął, żeby pocieszyć siebie i towarzysza. A potem mówił dalej: – Ludzie różne rzeczy opowiadają o wszystkich bagnach. Zawsze. Ale to samo opowiadają o nocnym lesie. Że włączą się po nim duchy i zjawy, z komyszy wychodzą straszne stwory, które tylko czekają na nieostrożnego wędrowca. A przecież mój ojciec często spędzał w lesie noc, i to nie jedną, lecz wiele z rzędu. Kilka razy mnie też zabrał na taką wyprawę i nic mi się nie stało.

Evah nie chciał, żeby panowała kompletna cisza, przerywana jedynie niepokojącymi odgłosami płynącymi od strony moczarów.

– I co, nic nie spotkaliście? Nic nie widzieliście? – spytał Grzywa.

Evah chciał już skłamać, żeby nie straszyć chłopaka, ale oszukiwanie nigdy mu dobrze nie wychodziło.

– Jak by powiedzieć... – odparł po chwili wahania. – Coś tam może widziałem. Jakieś cienie, białawe postacie, słyszałem dziwne odgłosy, a raz nawet jakby rozmowę w nieznanym języku... – Zadrżał na wspomnienie, ale zaraz się opanował. – Ojciec mówił, że to tylko przywidzenia, a nawet jeśli w

nocnym lesie można spotkać istoty nie z naszej strony świata, to przecież krzywdy nam nie robią. Widzisz przecież, że żyją.

– Tylko że to nie jest las, a przekłete bagno – zauważył Kellan. – W lesie możesz zawsze gdzieś uciec, coś zrobić, a my nie jesteśmy w stanie się stąd ruszyć. Gdzie nie pójdziesz, po ciemku trafisz w bagno i koniec.

Evah musiał przyznać mu rację, chciał powiedzieć jeszcze coś pokrępiającego, ale Grzywa nie dał mu dojść do słowa.

– Słyszałeś, co mówił gospodarz. Ci, którzy nocują na bagnach, bardzo często nie wracają.

– Ale przecież nie wszyscy giną – zauważył Evah.

– Mówimy o dorosłych, silnych mężczyznach, a nie chłopcach – odparł Grzywa.

Evah wiedział, co ma na myśli Kellan. Sam czuł się w tej chwili mały i bezradny. Już mu się zaczęło ostatnimi czasy wydawać, że wyrósł, wydoroślał, że byłby sobie w stanie poradzić w różnych trudnych sytuacjach. Przecież pokonał rozbójnika, potem całkiem dobrze radził sobie ze zbirami w zaułku. Werbel, Kałdun i pozostali żołnierze z eskorty karawany traktowali go jak swojego. Szedł rozprawić się z bestią, przed którą drżeli nawet możni panowie. Ale teraz z powrotem stał się tylko małym przestraszonym chłopczykiem, zupełnie jak wtedy, kiedy wpadł do płytkiego stawu i zdawało mu się, że tonie, chociaż wody było ledwie po kolana. I nie było tutaj ciepłej matczynej ręki, która by go wydobyła z opresji.

– Może nic się nie stanie – powtórzył i w tej chwili rozległo się straszliwe potępięcze wycie.

Chłopcy zerwali się na równe nogi. Podczas rozmowy nie zauważyli nawet, że mgła dotarła już prawie pod szczyt pagórka. Tworzyła bezkresne morze, jak okiem sięgnąć.

– Co to było? – szepnął Grzywa.

Wycie powtórzyło się, a Evah nadstawił ucha. Przydały się nauki ojca, który zawsze podkreślał, by w razie zagrożenia nie uciekać na oślep, ale najpierw upewnić się, z której strony nadchodzi niebezpieczeństwo, bo inaczej można wpaść prosto w jego objęcia. Wprawdzie dotyczyło to raczej spotkania z watahą dzików czy niedźwiedziami, a nie bagiennymi stworami, ale zasada powinna obowiązywać i tutaj, jak sądził chłopiec.

Wprawdzie gęsta mgła przeszkadzała w określeniu kierunku, z którego docierał odgłos, bo dźwięk się w niej nieco rozplątywał, ale kiedy wycie powtórzyło się po raz trzeci, syn myśliwego wiedział już, skąd płynie.

– Coś znalazło resztki zająca – powiedział cicho. – Dobrze, że zaniósłem je daleko.

– A nie przylezie teraz po twoich śladach? – wyraził obawę Kellan.

– Nie powinno. Rzuciłem to daleko w moczary.

Nie dodał, że gdyby coś groźnego chciało za nimi ruszyć, to znajdzie trop na ścieżce, którą tu dotarli. Miał nadzieję, że tak się nie stanie, a nie chciał jeszcze mocniej przestraszyć kompana. Sam bał się wystarczająco mocno. Nagle widmowe postacie, które mógł dostrzec we mgle, stały się mało istotne. Groziło im prawdziwe, zupełnie namacalne niebezpieczeństwo ze strony drapieżników.

Mgła podpełzła pod same stopy chłopców, ognisko przygasło. Wtedy usłyszeli odgłosy stąpania, połączone z czymś w rodzaju cmoknięć. Zdawały się dochodzić ze wszystkich stron.

– Idą po nas! – szepnął Grzywa. Trząśnięty całym, zęby dzwoniły mu teraz donośnie.

Evah przytomnie dorzucił parę bardziej wyschniętych gałązek do ognia. Dzięki temu krąg światła powiększył się, a odgłosy ustały, ale tylko na chwilę. Chłopcy stali w kręgu światła, plecami do siebie, wśród nieubłaganej podnoszącej się mgły. Evah wziął z worków podróżnych ułożony na nich miecz, wy dobył nóż myśliwski. Kellan miał tylko niewielkie ostrze, przeznaczone nie do walki, ale raczej krojenia sera i chleba.

– Trzymaj! – Evah wcisnął mu w rękę dzieło mistrza. – Tym swoim w zębach możesz podłubać.

– Przyda się temu, co nas zeżre – burknął Grzywa. – Też sobie podłubie.

Kiedy zagrożenie podeszło tak blisko, zdołał opanować strach. Zresztą pozostała im tylko walka.

Już nie słyszeli kłaskania, tylko ostrożne, ciche kroki. Stwory najwyraźniej wyszły z bagna i zbliżały się suchym zboczem. Były coraz bliżej i bliżej. Najpierw Evah poczuł zapach błota intensywniejszy niż do tej pory. Stawał się coraz wyraźniejszy, przeradzał się we wstrętny odór. Podobnie cuchnęło truchło rozkładającego się zwierzęcia.

– Bogowie – mruknął Grzywa. – Już po nas.

Słyszeli już nie tylko stąpanie liczących nóg czy też łap, lecz także wyraźne dyszenie w otaczającej ich i podnoszącej się mgle.

Evah znów dorzucił kilka gałązek. Krąg światła nieco się powiększył, a stwory przystały. Teraz chłopcy słyszeli jedynie ich dyszenie.

– Boją się światła – mruknął Evah.

Spojrzał na zapasy. Pozostało trochę niedużych gałęzi i całkiem spora kupa trawy. Zbierali ze zbocza pagórka tę, która już zwiędła i uschła, przypominała raczej wilgotne siano. Świeża, z moczarowych kęp nie przeschnęłyby nawet przez całą noc.

– Nawet jeśli się boją, niebawem nas dorwą – powiedział cicho Kellan. Ścisnął nóż tak mocno, że zaczęła mu drętwieć dłoń. Odetchnął głęboko, postarał się opanować łomotanie serca.

– Tanio nie sprzedamy skóry – odparł Evah.

W tej chwili mgła podpełzła jeszcze bliżej i stwory znów się ruszyły. Chłopcy nie widzieli ich, ale zdawali sobie sprawę, że są już bardzo blisko, ukrywają się na skraju oparów.

Ognisko przygasło, a powietrze rozdarło wycie.

– Koniec z nami! – zawołał Grzywa.

Ale Evah nie zamierzał się poddawać. Podskoczył dwa kroki, porwał pełne garście trawy z wierzchu, cisnął je w ogień. Płomienie na chwilę jeszcze bardziej przygasły, zdawało się, że zaraz zrobi się ciemno, ale luźne źdźbła szybko zajęły się ogniem, rozświetliły mrok.

Chłopiec zobaczył chowające się w tumanie pazury. Były nisko, na poziomie ud chłopców, dokładnie tam, gdzie mgła była już dość gęsta. Evah wrzucił do ognia jeszcze więcej trawy, i jeszcze.

Dał się słyszeć bolesny skowyt. Najwidoczniej oczy nocnych stworów nie nawykły do światła i sprawiało im ból. A Evah dokładał trawy.

– Przestań! – zawołał Grzywa. – Zostaw chociaż trochę!

Evah otrzeźwiał na ten głos, potrząsnął głową. Krąg światła obejmował większość szczytu pagórka. Nagle zobaczył we mgle niewyraźną postać. Przypominała wielkiego psa albo wilka, zdawała się jednak bardziej pokraczna. Wyglądało, jakby próbowała mimo wszystko przedrzeć się do oświetlonego obszaru.

Chłopiec nie zastanawiał się długo, prawdę mówiąc, w ogóle się nie zastanawiał. Skoczył w tamtą stronę, nie bacząc na ostrzegawczy krzyk towarzysza, ciął z całej siły, trzymając miecz oburącz. Celował w obrzydliwy, kudłaty pysk, pokryty jakimiś gruzłami.

Poczuł krótki opór, a potem zabrzmiał skowyt bólu. Paskudna postać znikła we mgle.

Za plecami Evaha Grzywa podsycił ogień, jednak nie chaotycznie, ale oszczędnie, żeby nie marnować skąpych zapasów. Syn myśliwego widział go bardzo wyraźnie i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że straszna mgła zaczęła się cofać. Przełała się przez pagórek, a teraz powoli opadała z powrotem ku moczarom. To pewnie dlatego, że zrobiło się wyraźnie chłodniej, a na dodatek ciepło ogniska rozproszyło w jakiejś mierze opary wokół.

Odgłosy łap oddalały się, dyszenie cichło.

– Odchodzą – powiedział Evah. – Już więcej nie dorzucaj. Musi nam wystarczyć do rana. Kto wie, czy jeszcze nie nadejdzie mgła? A z nią te bestie.

– To chyba jakieś demony – wyszeptał Kellan. Był błydy ze strachu jak kreda, ale przestał dorzucać do ognia. – Utkane z mgły i światła księżyca...

– Raczej nie – rzekł Evah. Zbliżył się do ogniska, pokazał Grzywie ostrze miecza. – Widzisz? Krew. Duchy i demony nie krwawią. No i widziałem

jednego. Okropny, straszny, ale żywy.

– Prawdę mówiąc, nie wiem co gorsze – burknął Kellan.

– Ja też – przyznał Evah. – Ale musimy, po prostu musimy przetrwać przy ogniu, aż się rozjaśni.

– A jak zabraknie gałęzi i trawy? – spytał Grzywa.

– To będziemy palić naszymi rzeczami. Nawet ubraniami – odparł Evah. – Wolę być goły i żywy, niż umrzeć w kaftanie.

Kellan pokiwał tylko głową, wytarł dokładnie miecz, a potem zaczął porządkować gałęzie i trawę. Evah rozejrzał się. Mgła ustępowała, zupełnie jakby wsiąkała w moczar. I tak poniekąd było, bo chłód zmuszał ją do odwrotu. Powinna się podnieść jeszcze o poranku, ale wtedy już będzie jasno, a krwiożercze stwory bały się światła, zapadną do tego czasu w swoich kryjówkach.

Podszedł na skraj kręgu światła, spojrzął w dół. W tej chwili Kemarski Moczar wyglądał spokojnie, księżyc sprawiał, że można było całkiem daleko sięgnąć okiem. Cóż, może srebrzysty blask też był dla bestii nieprzyjemny, skoro nie dało się dostrzec żadnego ruchu? Miał nadzieję, że tak.

Wrócił do ogniska, znów usiedli z Grzywą obok siebie.

– Odważny jesteś – mruknął Kellan. – Nigdy bym się nie zbliżył do takiego stwora.

Evah milczał przez chwilę. To, co powiedział jego towarzysz, było bardzo przyjemne, ale chłopiec chciał być uczciwy.

– Gdybym pomyślał choć przez mgnienie oka, też bym tego nie zrobił – rzekł. – Po prostu mnie poniosło. Nie jestem aż tak odważny.

– Jesteś – upierał się Kellan. – Ja bym tak nie postąpił czy po namyśle, czy bez niego. Gdyby istniała jakaś droga ucieczki, też bym się nie zastanawiał. Nie wtrąciłbym się też w taką sprawę, jak wtedy w zaułku z Trupem i jego ludźmi. Jesteś naprawdę odważny. Zaczyna mi się wydawać, że dopniesz swego. Chyba że wcześniej coś cię zeżre.

Evah roześmiał się. – Liczę na to, że nie jestem zbyt smaczny i poczwara nie będzie miała ze mnie zbyt wiele radości.

Przez chwilę milczeli, a potem jednocześnie zaczęli się śmiać głośno, na całe gardła, niepowstrzymanie. Musieli jakoś zrzucić z siebie napięcie, poradzić sobie z przeżytym świeżo niesamowitym strachem. Właśnie śmiech wydał się ich ciałom, duszom i umysłom najodpowiedniejszy. Przetaczał się nad bagnem, a nocne zwierzęta, które wyszły na żer, kiedy ustąpiła mgła, a wraz z nią odeszły bestie, przystawały zdziwione nieznanym odgłosem. Niektóre chroniły się nawet z powrotem w kryjówkach, żeby aż do następnej nocy nie wychylać nosa. Na wszelki wypadek.

– Może się jednak na chwilę położyć – powiedział Grzywa. – Obudź mnie za jakiś czas, posiedzę potem do rana.

Evah skinął głową. Jemu też zachciało się trochę spać po strasznych przeżyciach i męczącej drodze przez bagna. Wstał więc i poszedł powyrywać trochę trawy, widocznej w kręgu ogniska. Niech sobie schnie, przyda się czy nie przyda, warto mieć jeszcze zapas. Tym bardziej że gałązek nie zostało zbyt wiele, a z grubszych zaledwie cztery. Spojrzał na wschód. Gwiazdy zaczęły leciutko blednąć, czyli nadchodził już brzask, a po nim świt. Trzeba przetrwać jeszcze parę godzin.

Rozdział 18

Trakt do Migry



Obudzili się, kiedy tarcza słońca stała już dobrze nad widnokregiem. Grzywa zastąpił Evaha na warcie, kiedy już zaczęło dobrze świtać. Wprawdzie poranna mgła podnosiła się nad moczarami, ale nie wydawała się już groźna, nic się w niej nie odzywało, dały się słyszeć tylko głosy ptaków.

Pewnie dlatego Kellan, który wstał z najwyższym trudem, zdrzemnął się na warcie. Evah na początku chciał go zrugać, ale potem pomyślał, że sam chyba by nie wytrzymał na jego miejscu, skoro nic się nie działo. Potwory jak wycofały się do kryjówek, tak więc nie dały znaku życia, a w nocy i nad ranem z pewnością żaden człowiek nie plątał się na bagnach. Było nawet bezpieczniej niż w te noce, które spędzali przy trakcie, choć wtedy zaszywali się w gąszcz leśny, żeby nie musieli konieczne wartować na zmianę.

– Tam coś leży – powiedział Grzywa, wskazując łagodne zbocze. – Jak mnie obudziłeś, zdawało mi się, że coś widzę, ale potem przysnąłem i zapomniałem.

Evah zmarszczył brwi, spojrział we wskazanym kierunku. Rzeczywiście, dostrzegł jakiś kształt wśród trawy. Z tej odległości wyglądał jak wielka kretowina.

– Uważaj! – ostrzegł Kellan, kiedy Evah ruszył w tamtą stronę. – Na tych przeklętych moczarach nigdy nic nie wiadomo.

– Będę uważał – zapewnił Evah.

W miarę, jak zbliżał się do dziwnego czegoś, zaczynał się domyślać co to. A woń zgnilizny, narastająca z każdym krokiem, upewniła go ostatecznie w podejrzeniach, zanim jeszcze stanął nad rzekomą kretowiną.

– To ten, którego zdzieliłem mieczem! – zawołał do Kellana. – Nie odpełź daleko! Ale nie miałem pojęcia, że go zabiłem – mruknął do siebie. – Zdawało mi się, że ostrze ledwie zawadziło pysk.

Tymczasem nocna bestia miała rozłupaną czaszkę. Otwarte, pokryte bielmem śmierci oczy spoglądały w niebo. Teraz już światło potworowi nie przeszkadzało. Evah przyjrzał się ciału. Zwierzę wyglądało jak wychudzony wilk, miało tylko zupełnie czarną sierść i paskudny łeb z tępym wielkim nosem. Najdziwniejsze były jednak łapy. Zupełnie jakby łosiowi doczepić do kopyt masywne ostre pazury. Evah przypomniał sobie, że ojciec mówił kiedyś o zwierzęciu nazywanym hieną moczarową. Te poczwary polowały w stadach i były przystosowane do chodzenia po grzęzawisku. Ale rzadko je spotykano w północnych krainach, wołały ciepło południa, więc Kemarski Moczar musiał stanowić w tym względzie wyjątek. Niechlubny wyjątek, biorąc pod uwagę mokradła otaczające Błotniska, i sięgające daleko na zachód. Tam nikt nie słyszał o takich bestiach. Jak się tutaj znalazły? Evah pomyślał, że to pozostanie zapewne dla niego tajemnicą na zawsze. Tyle że nie była to wcale tajemnica, którą koniecznie pragnąłby zgłębiać. Ojciec nigdy jednak nie wspominał, żeby hieny polowały tylko pod osłoną mgły. Ale może zapomniał, może nie uznał tego za ważne albo też poczwary z tych bagien miały własne zwyczaje.

– Niech mnie biesy porwą do Otchłani, jeśli zechcę sobie jeszcze kiedyś skracać drogę – wyburczał pod nosem.

– Prawda – odezwał się nagle Grzywa, a Evah aż podskoczył. Złodziejaszek umiał naprawdę cicho chodzić. – Ależ to śmierdzi!

– Bo te stworzenia są ścierwojadami – wyjaśnił Evah. – Żywią się zazwyczaj padliną, ale potrafią też zapolować w stadzie, jak na nas. No i cuchnie od nich skiśniętym błotem. Pewnie w swoich kryjówkach tym nasiąkają. Albo taki mają już własny zapach, nie wiem. Ale wiem jedno. Gdybym miał blade pojęcie, jak ta bestia wygląda, w życiu bym się do niej nie zbliżył.

Kellan zaśmiał się cicho i odszedł dwa kroki, bo zaczęło go mdlić od przykrej woni i widoku hieny.

– I myślelibyśmy później, że to jakieś mordercze zjawy lub nawet demony z głębi Otchłani. Tak przynajmniej wiadomo, że to istoty z krwi i kości.

Evah pokiwał głową, przyjrzał się darni dookoła zwierzęcia. Tam, gdzie widać było smugi krwi, zieleń zbrązowiała. Trącił zlepek kilku trawek czubkiem buta i ze zdumieniem zobaczył, że rozsypują się w pył.

Wtedy poczuł niepokój. Pobiegł na górę, do skromnego bagażu, na którym ułożył miecz, żeby nie spoczywał na ziemi. Wydobył ostrze i odetchnął z ulgą. Musiał wczoraj bardzo dokładnie wyczyścić ostrze. Tak, teraz sobie przypomniał, że nie tylko przetarł je trawą, lecz także wbił kilka razy głęboko w ziemię, żeby potem wytrzeć klingę skrajem opończy. Ojciec bardzo przestrzegał, aby dbać o broń. Nawet w takim położeniu, jak w nocy chłopiec pamiętał o tym. Na szczęście. Dzięki temu ostrze było całe, chociaż w paru miejscach zobaczył plamki rdzy, której być nie powinno. Żrąca krew hieny nie zdołała zniszczyć

połyskującej stali, ale i tak zostawiła ślad. Strach pomyśleć, co by było, gdyby Evah zaniedbał oczyszczenia głowni.

– Trzeba będzie ruszać – powiedział do Grzywy, który przyszedł za nim. – Trochę zaspaliśmy.

– Śniadanie by się przydało – westchnął Grzywa. – Burczy mi w brzuchu.

– Możesz spróbować hieny – odpowiedział zgryźliwie Evah.

Też był głodny i zły na towarzysza, który zjadł po drodze wszystkie suchary. Gdyby wiedział, że tak się stanie, wzięłyby je do swojego worka. Jednak nie wypomniał już tego Grzywie. Może na przyszłość będzie mądrzejszy. I w końcu zjedli wczoraj zająca, więc nie powinni osłabnąć z niedożywienia. Poza tym wiedział, że bez jedzenia można się obyć długo. Gorzej z wodą – w bukłakach już się skończyła, a pic bagiennej absolutnie nie należało.

– Prędeż bym wolał skoczyć z wieży zamkowej do balii z wodą, niż tknąć ten smród – burknął Kellan.

Evah spojrzał na niego ze zmarszczonymi brwiami. Porównanie mu się podobało, ale było trochę dziwne.

– Co się tak patrzysz? – Kellan wzruszył ramionami. – Widziałem jednego sztukmistrza, który to robił. Szaleniec.

– Jak to niby robił? – zdumiał się Evah. – Może nie widziałem jeszcze wielkiego świata poza Salmarą, ale nawet wieża zamkowa w Rukce jest tak wysoka, że strach by było z niej do głębokiej wody skakać, a co dopiero do byle balii.

– No widzisz... – Kellan kopnął lekko swój worek, potem z westchnieniem zawiązał go, zarzucił ramię na ramiona, podskoczył lekko, żeby lepiej rozłożyć ciężar. – A ten umiał. Na dole pod wieżą stawiali mu balię z wodą. Dużą, nie powiem, że czterech mężczyzn naraz by się w niej wykąpało. Tylko wiesz, co innego skoczyć do takiej z dachu szopy, a inna rzecz z wysokości pięćdziesięciu łokci, albo i więcej. Włazłem raz za tym sztukmistrzem zobaczyć, jak widać balię z góry. Powiem ci, że wyglądała na mniejszą niż skopek na mleko. A on miał w to trafić i jeszcze się nie zabić.

– Przecież to niemożliwe! – zaprotestował Evah. – Coś oszukujesz. Jak niby skakał? Na nogi? A może na głowę? Całe życie mieszkałem nad rzeką. Z gałęzi drzewa jak skoczysz, to wchodzisz głęboko w wodę. A w cebrze ile mogło jej być? Na wzrost dziecka, albo mniej?

– Nic nie oszukuję! – oburzył się Kellan. – Mówię najczystszą prawdę. On nie skakał ani na nogi, ani na głowę. Na płask leciał. Uderzał w wodę piersiami, brzuchem i udami. Fontanna szła wysoko i szeroko, woda zalewała tych, co najbliżej podeszli. Ludzie myśleli, że to magia, ale on mi wyjaśnił, że tak po prostu się dzieje. Rozchlapywał pół zawartości na wszystkie strony, ale nie dosięgał nawet dna balii.

Evah wyobraził to sobie i skrzywił się. Sam nieraz wylądował na brzuchu albo plecach, kiedy próbował w powietrzu robić fikołki.

– Przecież to musi boleć!

– Pewnie, że boli. Ale ten sztukmistrz zakładał skórzaną mocną kamizelę i także portki. A poza tym był chudy i żyłasty, więc uderzenie było mniejsze, niż gdyby próbował to zrobić jakiś grubas. Jak ten twój Kałdun.

Teraz Evah musiał się roześmiać. Kałdun wybiłby chyba dziurę w ziemi, a woda poleciałaby nad chmury.

– No dobrze – powiedział. – Może ci i wierzę. Ale powiedz, za każdym razem tak trafiał? Przecież to trudno.

Kellan wzruszył ramionami.

– Jeden dobrze strzela, inny tańczy, jeszcze inny umie chodzić na linie, a on potrafił robić to. Nie tylko to zresztą, ale nic bardziej cieszącego oczy nie miał wśród sztuczek. Opowiadał mi jednak jego pomocnik, że kiedyś występował w wietrzny dzień. Nie żeby nie umiał sobie z tym radzić, ale wówczas porywy szły takie, że akurat jak leciał, chwyciło go i zniosło kawał w bok. Na szczęście upadł nie na ziemię, ale na stragan bławatnika ustawiony pod murem. Stragan był kryty deszczułkami, a pod spodem miał materiałowe zadaszanie.

– Nie zabił się? – Evahowi trudno było w to uwierzyć.

– Nie. Mówił potem, że spadł całkiem miękko, niewiele mocniej, niż kiedy uderzał w wodę. Lecz od tamtej pory skacze już tylko w bezwietrzne, a najlepiej słoneczne dni. Powiada, że drugi raz takiego szczęścia mieć nie będzie.

– Na pewno – powiedział Evah.

– Ale już się zbieraj – fuknął na niego Grzywa. – Czekam na ciebie, a ty się grzebiesz!

Dopiero teraz Evah dostrzegł, że Kellan rzeczywiście jest już gotów do drogi. Zrzucił więc worek na plecy i klepnął towarzysza w ramię.

– Chodźmy więc. Pan przodem. Potem ja pójde pierwszy.

Ruszyli w dół wzgórza, aby odszukać kępę, przy której mieli skręcić w stronę traktu. Evah starał się zapamiętać, gdzie to było i ile minęli punktów orientacyjnych po drodze, ale obawiał się trochę, czy rozpozna właściwe miejsce. Nie chciał jednak martwić Kellana, dlatego nic nie mówił i udawał, że jest pewny swego.



– Nie przypuszczałem, że będę kiedyś czuł taką przyjemność, idąc zwyczajną drogą – powiedział Grzywa jakiś czas później.

– Tak? Nie pamiętasz, jak jeszcze przedwczoraj narzekałeś na trakt? – spytał Evah. – A przecież był szerszy, wygodniejszy i na pewno lepiej ubity.

Na szczęście obawy chłopca okazały się płonne. Odgadł, gdzie należy skręcić, chociaż oczywiście musiał się przy tym posprzeczać z Kellanem, który twierdził, że to jeszcze za wcześnie. Zamilkł jednak, kiedy Evah przypomniał mu, czym poprzedniego dnia skończyło się jego wymądrzanie.

Poszli więc wąską ścieżyną gęsiego, a syn Krunnaha zastanawiał się przez całą drogę, czy tym razem to nie on pokpił sprawę i znów nie zejdą na manowce. Ale zanim jeszcze słońce osiągnęło południe, ich oczom ukazała się zwyczajnie wyglądająca łąka, a za nią linia drzew, tym razem nie bagiennych olch, ale uczciwych dębów, buków i świerków. Nawet gdyby się okazało, że nie trafili na drogę do Migry, na pewno woleliby iść przed siebie i dojść dokądkolwiek, niż wrócić na Kemarski Moczar.

– Narzekałem, pewnie, że narzekałem – odpowiedział Kellan. – Nie przywykłem tak dużo łązić na własnych giczołach, zawsze dotąd udawało mi się złapać jakąś karawanę albo samotny wóz chociaż na kawałek drogi. A czasem wróżbita wynajmował dla mnie kolaskę, jeśli z czymś bardzo się śpieszyło. Jak wtedy, kiedyśmy się spotkali w Rukce.

– To byłeś wtedy w jakichś sprawach, a nie zwyczajnie kraść? – zdziwił się Evah.

– Tak. Miałem przewieźć Lankornowi pewną przesyłkę – zamilkł na chwilę, a potem dodał: – Dobrze, powiem ci, skoro los nas złączył. Ten niby mistrz wróżbiarstwa szpieguje w Salmarze dla księcia Lapurii. Wiesz, że on i pan del Valdesse pozostają od wielu lat w stanie wojny?

Evah wzruszył ramionami i pokręcił przecząco głową. Nie miał pojęcia o niesnaskach wielkich panów. Baron di Rukkon z nikim nie wojował, a jeśli nawet włączał się w jakieś konflikty, to w podległych mu wsiach nikt o tym nie mówił i pewnie nie wiedział.

– Słuchaj więc – rzekł Grzywa. – Hrabia Lapurii i nasz jaśnie oświecony Ruger del Valdesse nie cierpią się jak wściekłe psy. Szkodzą sobie, gdzie tylko mogą, a nie wodzą się za łby zbrojnie i nie nasyłają jeden na drugiego armii, bo ich państewka oddziela Berwen od północy i Lagen od południa. Władcy tych krain mają zaś na tyle rozsądku, żeby nie mieszać się między wariatów. Mają zresztą swoje kłopoty. Co ciekawe, zarówno jeden, jak i drugi ze zwaśnionych panów w zwyczajnym czasie jest całkiem rozsądny, ale gdy tylko wejdą sobie w drogę, rozum im odbiera.

– A jakie sobie wyrządzili krzywdy? – zdziwił się Evah.

– Oni sobie nawzajem zasadniczo nic. Ale to waśń rodowa, trwa od wielu pokoleń, niektórzy powiadają, że nawet od trzech czy czterech wieków. Ci dwaj, można powiedzieć, dbają o rodzinną tradycję.

Evah pokiwał głową ze zrozumieniem, ale zdał sobie sprawę, że tak naprawdę niewiele pojął.

– Ale tym ich przodkom o coś poszło, tak? Ciekaw jestem, o co.

– Tego też już nikt nie wie. Nie pamięta. Pewnie jakieś zapiski można znaleźć w rodzinnych kronikach, ale kto by tam szperał. Nienawiść to nienawiść, wiele nie trzeba, żeby kwitła. Może któryś antenat któremuś coś zabrał, może porwał córkę albo żonę, może zabił syna. Kto wie? Dość, że patrzeć na siebie nie mogą ani nawet o sobie nawzajem spokojnie myśleć.

– Nie mogliby porozmawiać? – zapytał Evah. – Czy to takie ważne, co się stało tak dawno temu?

– Widać, że nic nie wiesz o możliwych panach – odparł Kellan z uśmiechem pełnym wyższości. – Ale jak miałeś się tego nauczyć w tej swojej wsi.

– Myślałby, że taki złodziejaszek jak ty wie więcej – próbował się odgryźć Evah, ale Grzywa tylko machnął ręką.

– Wiem całkiem sporo. Może nie o ich różnych sprawkach, ale o tym, jak postępują i jakie mają obyczaje. Pewnie, że mogliby pogadać jak ludzie. Jak kupcy, którzy konkurują, mając ten sam towar, ale dochodzą do porozumienia, żeby nie psuć sobie nawzajem interesów. Ale tu nie o pieniądze idzie ani nawet o ziemie czy wpływy. Chodzi o to, żeby jak najbardziej zaszkodzić przeciwnikowi.

– Dlaczego? – dopytywał Evah, chociaż zaczynał już rozumieć.

– W grę wchodzi honor rodziny – wyjaśnił Kellan. – Nikt nie ustąpi ani nie usiadzie do wspólnego stołu, bo obawia się stracić twarz.

– Duma – mruknął Evah. – To bardziej duma niż honor. Można się nawet poddać honorowo. W każdym razie tak mówił mój ojciec.

– Nie wiem. – Teraz Grzywa wzruszył ramionami. – Nie znam się na tym, jestem tylko zwykłym złodziejaszkiem, jak mnie raczyłeś uprzejmie nazwać.

– Pogniewałeś się o to? – Evah uśmiechnął się. – A nóż ze straganu to ja próbowałem ściągnąć? Tylko powiedz, po co? Przecież miałeś jakieś zadanie do wykonania, a gdyby cię wtedy złapali...

– Toby mnie złapali – Kellan wszedł w słowo towarzyszowi. – Najwyżej wróżbita nie dostałby swojej przesyłki, a księżę by się na niego pogniewał. Ale tylko na chwilę. A dlaczego to zrobiłem? Dla tego samego, czemu Lankorn oskubuje naiwnych, niby to przepowiadając im przyszłość. Żeby nie wyjść z wprawy, a przy okazji chociaż trochę się wzbogacić. Pieniądzy nigdy za wiele.

Tego Evah też nie rozumiał. Po co komuś więcej srebra, niż potrzeba na dobre spokojne życie? Wprawdzie młynarz i kowal gromadzili dobra w nadmiarze, ale też przecież nikt ich nie lubił. Nie za bogactwo wcale, choć może znajdowali się i tacy zawistnicy, ale za to, jacy byli. Nie przyznał się jednak kompanowi do tych przemyśleń, bo obawiał się, że tamten go wyśmieje.

– Teraz ty mi coś opowiesz – zażądał Kellan.

Evah skrzywił się w duchu. Przypuszczał, że Grzywa będzie chciał wiedzieć więcej na temat ataku Żelaznego Kruka i tych wszystkich wydarzeń, które

zaprowadziły chłopca na ten trakt. Ale Kellan był ciekaw czegoś innego.

– Ten najemnik, łysy, z bliznami.

– Werbel – podpowiedział Evah.

– Mówiłeś, że z tą jego łysiną i przezwiskiem wiąże się jakaś historia.

– Wiąże się – potwierdził Evah z uśmiechem. – I długo musiałem go namawiać, żeby mi ją opowiedział. Wreszcie się zgodził, ale wtedy Kałdun, ten gruby, przedstawił swoją wersję. Tak więc znam trzy.

– Trzy? – zdziwił się Grzywa. – Przecież dwóch ci to opowiadało.

– Ale usłyszałem trzy. A przypuszczam, że gdyby rozpytać jeszcze jakiegoś znajomka Werbla, znacznie by tych opowieści przybyło.

– Mów! – Kellan zaśmiał się. – Mamy czas nie tylko na dwie, ale i sto opowieści.

Evah odchrząknął, napił się z bukłaka. Zaopatrzyli się w wodę przy źródle bijącym w lesie. Stanowiło początek rzeczutki płynącej później wzdłuż traktu.

– Kałdun rzekł mi, że podczas pewnej wyprawy wojennej daleko na wschodzie zostali wzięci do niewoli przez dzikie plemię. Zaplątali się z niewielkim oddziałem w głuszy i zanim się spostrzegli, zostali otoczeni przez całe mrowie tubylców. Byli wprawdzie marnie uzbrojeni, ale za to wyraźnie nastawieni bojowo. W ośmiu przeciwko stu trudno coś zdziałać, nawet jeśli ma się na sobie pancerz, a w ręku porządny miecz. Tubylcy zabrali żołnierzy do swojej wioski, a tam okazało się, że moi przyjaciele trafili na ludożerców. Jak to powiedział Kałdun, wesoło im nie było. Rzec można, zaproszeni zostali na obiad.

– W charakterze dania głównego! – roześmiał się Grzywa.

– Można tak rzec – zgodził się Evah. – Tylko że ich czarownikowi bardzo spodobał się Werbel. A może nie tyle sam żołnierz, ile skóra na jego głowie. Podobno miał tę łysinę gładką i miękką jak aksamit, nie zaszkodziło mu nawet noszenie hełmu. No i czarownik uznał, że właśnie takiej skóry potrzebowałby na bębenek do obrzędów magicznych. Co gorsza, aby nabrał on pożądaných właściwości, należałoby skórę ściągnąć z głowy żywcem. Krzywisz się? To wyobraź sobie, co musiał czuć Werbel, kiedy domyślił się, o co chodzi. Wyjaśnili mu to na migi, bo przecież językiem dzikusów nikt się nie posługiwał, a i oni nie znali żadnego zrozumiałego narzecza.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego mu to tłumaczyli, zamiast chwycić i zrobić swoje.

– Ja też zapytałem o to Kałduna. Powiedział, że to była sprawa magii – wyjaśnił Evah. – Gdyby ofiara zgodziła się dobrowolnie i bez oporu poddać straszemu zabiegowi, siła czarów bębna byłaby znacznie większa niż przy zastosowaniu przemocy. Werbel, jak to Werbel, zaczął zaraz układać się z czarownikiem i wodzem plemienia, żeby w zamian za jego dar uwolnili

pozostałych, ale o tym nie mogło być mowy. Tubylcy zgodzili się wypuścić tylko jednego z jeńców. Najpierw mieli ciągnąć słomki, kto odejdzie, ale Werbel po namyśle wymógł, żeby wypuścić najmłodszego spośród nich. Ponieważ to łysy miał się najbardziej poświęcić, więc go posłuchali. Zresztą spróbowaliby nie posłuchać, skoro poparł go Kałdun. Nikt nie miał ochoty zadzierać z takimi osiłkami.

– Taki niby twardy najemnik, a serce ma miękkie jak masło w południe – mruknął Kellan.

– Żebyś wiedział – potwierdził Evah. – Własnych dzieci nie ma, żona mu wcześniej umarła, tym bardziej widać dba o innych. Ale wróćmy do opowieści. Chłopak wzdragał się opuścić towarzyszy niedoli, ale Kałdun wytłumaczył mu to i owo, więc odszedł. A czarownik przystąpił do pracy. Można powiedzieć, że mieli szczęście z tą łysiną, bo obrzędy przygotowania do zdarcia skóry miały potrwać parę dni. Dzikus codziennie po kilkanaście razy okadzał głowę Werbla, mruczał i śpiewał, a przez ten czas karmiono więźniów bardzo przyzwoicie.

– Nie bali się, że dostają do jedzenia ludzkie mięso? – spytał Kellan.

– Nie. Kałdun wyjaśnił mi, że ludożercy na co dzień nie zjadają ani obcych, ani siebie nawzajem. Uznają to za obrzęd, coś w rodzaju świąt naszych bogów albo ofiary ku czci Przedwiecznych. Z tym zjedaniem też nie jest tak, że obgryzają człowieka do kosteczki. Każdy w plemienu dostaje tylko kawałek, bo wierzą, że razem z ciałem wroga otrzymują jego siłę. Dlatego żołnierze byli takim łakomym kąskiem. Dusza wojownika jest bardzo cenna. Resztę ofiary składają miejscowemu bóstwu. W zwyczajnym czasie jedzą jak wszyscy i to, co wszyscy.

– Świat jest dziwny – mruknął Grzywa.

– Prawda? – Evah odetchnął głęboko, z przyjemnością wciągając do płuc pachnące drzewami powietrze, tak inne od dusznego oparu wiszącego nad bagnami. Wrócił do opowiadania. – Ale nadszedł wreszcie dzień, kiedy miał się dokonać straszny obrzęd ściągania skóry z głowy Werbla. Przez cały czas żołnierz zachowywał się spokojnie, upewniał czarownika, że jest nie tylko pogodzony z losem, lecz także wręcz dumny z tego, jak bardzo się przyda temu dzikusowi i całemu plemienu.

– Tamten uwierzył? – spytał z niedowierzaniem Grzywa.

– Uwierzył. Pamiętaj, że to był dziki lud. Kałdun mówił, że od takich jak oni kupuje się ziemię za szklane paciorki, nie znają wartości pieniądza ani złota. Czarownik wprawdzie był sprytniejszy od pobratymców, ale nie na tyle, żeby wyczuć podstęp ze strony Werbla.

– Na czym ten podstęp polegał? – Kellan znów nie wytrzymał, żeby nie zadać pytania.

– Już mówię. Ale od razu powiem ci, że był mocno zaskakujący, wcale się nie dziwię, że czarownik dał się podejść. Jakoś się dogadali, że to Werbel poprowadzi pierwsze cięcie. Oczywiście czarownik miał wyznaczać drogę ostrza, ale miało ono tkwić w dłoni żołnierza. Wyszli więc na plac w środku wioski, gdzie zgromadziło się całe plemię i powiązani jak barany jeńcy. Czarownik kazał Werblowi przyklęknąć, włożył mu do ręki kamienny nóż, zacisnął swoje palce na jego i... chyba nietrudno się domyślić, co było dalej. A może trudno?

– Jak to co? Werbel rozbroił czarownika i zabił go. – Kellan wzruszył ramionami. – Tylko jak się zdołali uratować? Plemię na ten widok uciekło?

– Widzisz? Jednak trudno – odparł Evah. – Zgadza się jedno. Werbel zabrał nóż czarownikowi, ale go nie zabił. Zamiast tego zaczął się dźgać po głowie ostrzem i wrzeszczeć: „Żadnego bębna nie będzie, wariacie! Żadnego bębna!”. Na ten widok czarownik wrzasnął wielkim głosem i zemdłał, a wódz plemienia też zaczął coś krzyczeć. Werbel z twarzą zalaną krwią rzucił się na tubylców, cały czas wygrażając i krzycząc o bębnie.

Evah zamilkł na chwilę, znów upił łyk wody.

– I stąd wzięło się jego przezwisko. Z początku kompani wołali na niego Bębenek, ale to nie pasowało do wielkiego chłopiska, więc ostatecznie został Werblem.

– Pięknie, pięknie, ale jak się niby uratowali? – upomniał się o wyjaśnienia Kellan. – Sam Werbel nie rozgonił przecież całego plemienia, a inni byli związani. Zresztą nie daliby rady.

– A to już sprawa odrobiny szczęścia. – Evah machnął ręką. – Ten uwolniony młody żołnierz sprowadził pomoc. Spory oddział wpadł do wioski właśnie w chwili, kiedy tubylcy już otoczyli Werbla. Bronił się dzidą zabraną jednemu z nich. Tak się to skończyło.

Grzywa zaczął się śmiać.

– Żadnego bębna nie będzie – powtarzał co chwila. A potem zamilkł i powiedział: – A ta druga opowieść?

– Och, ona jest bardzo krótka. I opowiedział mi ją sam Werbel. Podczas oblężenia pewnego miasta wspinał się na mury. Nie miał hełmu, bo stracił go jeszcze na dole. I kiedy był już prawie na blankach, obrońcy zrzucili najeżoną gwoździami belkę, a potem na dodatek wylali wrzątek. Werbel oberwał samym końcem belki, ale to wystarczyło, żeby mu pokaleczyło głowę i zostały blizny. A potem wrzątek zrobił swoje. Jakoś zdołał spełznąć po łamiącej się drabinie, miał nawet więcej szczęścia niż inni, bo ludzie lecieli jak jesienne gruszki. Ale od gorącej wody całkiem wyłysiał. Podobno czuprynę miał przedtem niewiele ustępującą twojej.

Kiedy Evah skończył, zapytał:

– I która historia jest prawdziwa?

– Nie chcieli mi powiedzieć, mam sobie wybrać. Za to Kałdun opowiedział jeszcze trzecią, zapewniając, że tę mogę wziąć za pewną. Otóż Werbel nigdy nie miał bujnych włosów, od młodości był zupełnie łysy. A te blizny to skutek wizyty w pewnej wiosce. Stanęli w niej na kilka dni, a Werblowi wpadła w oko pewna dziewczyna. Podobno nie miała nic przeciwko jego zalotom, jednak w całą sprawę wtrącił się jej narzeczony. Wieczorem, kiedy Werbel zmierzał cichaczem pod jej okno, zaczął się i poczęstował go po głowie kłonicą. I blizny są śladami po kolecach tej kłonicy.

– Ta mi się wydaje najprawdziwsza – rzekł Kellan.

– Niby tak – zgodził się Evah. – Ale tak naprawdę sam nie wiem... Pierwsza jest najzabawniejsza, ale niepodobna do wiary. Druga ujdzie, a trzecia rzeczywiście wygląda na najbardziej godną zaufania. Tylko że nie zawsze to, co najbardziej podobne do prawdy, nią właśnie jest. Weź takie patyczaki. Wyglądają niby gałązki i gdyby ci ktoś powiedział, że to części rośliny, bez trudu uwierzysz. A dotkniesz takiego, to się rusza i ucieka.

– Coś w tym jest – odparł Grzywa. – Mnie jednak w tych ludożerców nie chce się wierzyć. A tobie?

– A mnie przecież kazali sobie wybrać, która opowieść jest prawdziwa. – Evah uśmiechnął się. – Dlatego jeszcze się nad tym dobrze zastanowię. Jeśli bogowie pozwolą mi ponownie spotkać się z przyjaciółmi, wycisnę z nich odpowiedź. A teraz zaczekaj na mnie.

Evah rzucił worek w trawę na poboczu, położył na niej miecz, szybko napiął łuk i wybrał z kołczanu trzy strzały.

– Ty dokąd? – zdziwił się Kellan.

– Do lasu. Trzeba coś upolować. Chyba że chcesz się zadowolić samymi jagodami.

Grzywa pokiwał głową. Rozmowa sprawiła, że zapomniał, jak jest głodny. Nic jeszcze nie jedli oprócz garści kwaśnych malin, a teraz głód odezwał się z pełną mocą.

Rozdział 19

Stolica Berwen i okolice



Księstwo Berwen było biedniejsze od Valdesse, to dało się zauważyć już na pierwszy rzut oka. Zarówno chłopskie gospodarstwa, jak i dwa niewielkie grody, które minęli, wyglądały o wiele mniej okazałe niż siedziby, jakie Evah znał z rodzinnej krainy. Wydawało mu się, że nawet krowy czy owce są tutaj mniejsze, a koguty ciszej pieją.

Ale schludności i gościnności poddanym księcia Leonora del Berwena nie można było odmówić. Odkąd chłopcy wyszli z leśnej głuszy, przez którą wiódł trakt, Evah prawie nie musiał już polować, bo chętnie przyjmowano ich pod dach i karmiono. Odwdzięczali się drobnymi pracami w obejściach – a to nanieśli drewna, a to pomogli zwieźć siano z pola, a to popracowali przy zwierzętach. Kilka razy rolnicy proponowali, żeby najęli się za parobków, szczególnie Evahowi, który był silny i umiał się lepiej obrócić w gospodarstwie niż wychowany w mieście Grzywa, choć trzeba przyznać, że złodziejasek też starał się, jak mógł. Tylko raz Evah przyłapał go na kradzieży osełki do noży.

– Sam nie wiem, kiedy ją zwędziłem – usprawiedliwiał się Kellan. – Myślisz, że tak łatwo pozbyć się nawyków?

– Nie wiem, bo nigdy nie kradłem – odparł chłodno syn Krunnaha. – Wiem, że trudno przełamać własną naturę, ale powinieneś po prostu nabrać nowych zwyczajów. Dopóki jesteś ze mną, żadnego zabierania cudzej własności!

– Nie rozkazuj mi, sam wiem! – oburzył się Grzywa. – Ale jak mi się spodoba, uczynię, co zechcę, i co mi zrobisz?

Evah nie odpowiedział, wlepił tylko spojrzenie w Kellana, którego zaczął już nazywać w myślach przyjacielem. W tej jednak chwili, kiedy z chłopaka znów wylazł zwykły przestępca, poczuł, że sympatia nieco odpływa.

Z kolei Grzywa próbował wytrzymać kłujący wzrok młodszego towarzysza, ale wreszcie odwrócił oczy.

– Dobrze już. Masz rację – mruknął. – Będę się pilnował.

Evah skinął głową, ale wyraz twarzy miał bardzo sceptyczny. Dobrze, że pożegnają się w Migrze, bo Kellan gotów jeszcze narobić kłopotów nie tylko sobie, lecz także jemu.

Nie odzywał się tego wieczora do towarzysza podróży, Grzywa również nie próbował nawiązać rozmowy. Evah wziął osełkę i odłożył na miejsce w oborze, w której przedtem robili porządki.

Rankiem też milczeli, idąc traktem na północny wschód. Evah nie myślał już jednak o przewinieniu Kellana. Bardzo źle spał tej nocy. Przyśniła mu się płacząca siostrzyczka i aż do rana zastanawiał się, dlaczego tak się stało. Czy to tylko tęsknota, czy też może działa jej się jakaś krzywda? Jednak młynarzowa nie wydawała się kobietą, która mogłaby dręczyć niemowlę. Pewnie małej brakowało mamy, jej zapachu, ciepła, jedyne w swoim rodzaju smaku matczynej piersi. On również tęsknił. Do nich wszystkich – zamordowanego ojca, pożartej przez bestię matki, zostawionej na cudzej łasce siostry. Z zaskoczeniem stwierdził, że do Arnilki chyba najbardziej. Może przez to właśnie, że najprawdopodobniej zostali sami na świecie.

Kiedy się urodził, wcale nie cieszył się tak bardzo jak rodzice. Miał nadzieję, że na świat przyjdzie chłopiec i zyska brata, którego będzie mógł uczyć różnych rzeczy, a kiedy podrośnie, zaprowadzi go nad rzekę i pokaże, jak się łowi ryby i gdzie biorą najlepiej. Chodziliby też z ojcem na łowy – on jako już doświadczony myśliwy i mały braciszek jako jego uczeń. Ale siostra? Był rozczarowany. Do czego może się przydać taka mała, słaba dziewczynka? Chyba tylko mamie w obejściu i kuchni.

Lecz teraz czuł dojmujący brak Arnilki. Mimo tej niechęci, którą bardziej sobie wmawiał, niż naprawdę odczuwał, lubił jej okrągłą gładką twarzyczkę, małe, ale już kształtne usteczka, które odziedziczyła po matce, podobnie jak ciemne oczy. No i kupił go sobie w pewnej chwili, sprawiła, że rozpląnął się z rozczulenia. Bo właśnie do niego uśmiechnęła się po raz pierwszy. Pochylał się wtedy nad kołyską, bo matka kazała mu sprawdzić, czy mała jeszcze śpi. A ona miała szeroko otwarte oczka i wpatrywała się uważnie w coś nad sobą. Może widziała muchę łązącą na powale, a może obserwowała jakąś plamkę? Lecz na widok chłopca oderwała wzrok od tego, na co patrzyła, skupiła spojrzenie na nim, zmarszczyła małe brewki, a potem nagle posłała mu bezzębny uśmiech.

Zawołał wtedy matkę, żeby popatrzyła, lecz Arnilka już spoważniała, a kiedy pochyliła się nad nią Marunna, zaczęła kwękać i marudzić, żeby dać znać, jak bardzo zgłodniała.

Wtedy zaczął rozumieć, że kocha siostrę, choć sprawiła mu zawód, przychodząc na świat jako dziewczynka. Zaczął się nią chętniej zajmować, nie krzywił się za każdym razem, kiedy proszono go, aby ją ukołysał albo ponosił na rękach. Co więcej, u niego uspokajała się szybciej niż u ojca. Być może dlatego, że prawie cały czas przebywali razem, a Krunnah wyruszał na polowania, więc widywał córkę rzadziej. Ale czasami Evahowi wydawało się, że to maleńkie dziecko, które niby nic nie rozumie, nic nie wie o świecie, miało pełną świadomość, jak zjednać sobie brata, czyli jedyną osobę, która mogła mieć coś przeciwko jej istnieniu.

Zacisnęła zęby na wspomnienie siostry. Musi, po prostu musi wrócić i wziąć ją pod opiekę! Nie porzuci małej na łaskę obcych, nie zostawi ani stryjostwu, ani Rinnahowi i jego żonie. Będzie się opiekował Arnilką, jakby był jej ojcem, a nie bratem.

Tylko najpierw musi pokonać Żelaznego Kruka. Teraz, kiedy o tym myślał, przestawało mu się wydawać, że zwycięstwo nad potworem jest najważniejsze na świecie. Najważniejsze było zabić bestię, aby móc spokojnie żyć i zapewnić ten spokój innym. To właśnie miał na myśli kapłan Hemgara, mówiąc, że ważniejsza od zemsty jest myśl o bliźnich. Wówczas nie dyskutował z mędrcom, choć czuł nieco inaczej, ale teraz zaczynał pojmować głębię rozumowania sługi boga prawdy. Tylko że wciąż nosił w sobie nienawiść do Kruka i jego siepaczy, wciąż pragnął pomścić krzywdy. Nie wiedział, czy kapłan by to pochwalił i zrozumiał, ale jeśli był prawdziwym mężczyzną, zapewne tak.

Odetchnął głęboko, zerknął w bok, na Grzywę maszerującego w ciszy krok przed nim. Ten jakby wyczuł spojrzenie towarzysza, bo odwrócił głowę.

– Długo będziesz się na mnie boczył? – spytał z wyrzutem. – To była tylko osełka. Gospodarz by nie zauważył straty. A gdyby nawet, pomyślałby, że sam ją zgubił.

– Nie boczę się – odparł Evah. – Już o tym zapomniałem.

– To czego jesteś taki nabzdyczony?

Evah wzruszył ramionami. Co mógł odpowiedzieć? Przecież nie prawdę. Zaraz... a dlaczego niby nie? Po co kłamać i kręcić, jeśli nie ma takiej konieczności?

– Nie jestem nabzdyczony – rzekł. – Tęsknię za siostrą. Myślę, czy dobrze jej tam u młynarzy, czy zdołam do niej wrócić. Lepiej chyba dla niej było chować się z bratem, niż u obcych.

Myślał, że Grzywa zaraz powie coś uszczypliwego, może nawet zakpi sobie ze słabości kompana, ale starszy z chłopców tylko machnął ręką.

– Nic nie zmienisz takimi rozmyślaniami – powiedział. – Tylko się od tego gorzej człowiekowi robi. Ale wiesz, zazdroścę ci.

– Czego? – zdumiał się Evah.

– Że masz do kogo tęsknić i że ktoś na ciebie czeka.

– E tam! – Teraz syn myśliwego machnął ręką. – Zapomni o mnie szybko, a tęsknić można tylko za kimś, o kim się pamięta.

– Może i tak – zgodził się Kellan. – Ale ty o niej pamiętasz i jeśli wrócisz, przypomnisz jej o sobie. A ja nie mam nikogo, do kogo chciałbym wracać, nikogo, do kogo bym tęsknił. Kiedyś myślałem, że Trup jest takim człowiekiem, bo dbał o mnie i okazywał mi troskę, ale potem zrozumiałem, że dla niego znaczą tylko tyle, ile przyniosę łupu z wypraw na bazar. Traktował mnie dobrze, owszem, ale tak samo traktuje się dobrego psa myśliwskiego.

– W końcu chciał cię ciężko pobić, a może i zabić – mruknął Evah.

– Nawet nie o to chodzi. Zdradziłem go, miał prawo się zwałnować. Ale już przedtem widziałem, co się dzieje z takimi, którzy przestawali mu być potrzebni, bo połamali ręce, albo trafili do lochów i wyszli, nie mogąc już pracować. Porzucał ich, a oni mogli iść co najwyżej żebrac, ale to też nie takie proste, bo cech żebraczy niechętnie przyjmuje nowych.

– Cech żebraczy? – zdumiał się Evah.

– Oczywiście – odparł Grzywa, wyraźnie zdziwiony nieświadomością towarzysza podróży. – Oni też mają swój cech, jak wszyscy rzemieślnicy. I jak złodzieje.

– Zawsze myślałem, że to nieszczęśliwi ludzie, pokrzywdzeni przez los – mruknął Evah.

– To źle myślałeś. Och, oczywiście są wśród nich i tacy, a może i przeważnie tacy, którym w życiu nie wyszło. Ale to nie znaczy, że mogą spokojnie żebrac i zostawiać sobie zarobek. Nie masz pojęcia, ile sprawny dziad proszalny potrafi zgromadzić grosza przez dzień i jakim bogaczem jest król żebraków.

– Król żebraków? – Evah wytrzeszczył oczy na Grzywę.

– Tak nazywają najwyższego mistrza cechu. Pod nim są książęta, hrabiowie i baronowie. I cała rzesza zwykłych wyrobników, pracujących za ułamek tego, co zgromadzą. Te tytuły wymyślili sobie chyba na uragowisko możliwym tego świata. – Kellan roześmiał się.

Ulżyło mu, że Evah nie gniewa się już o kradzież. I mocno zaskoczyło go to poczucie ulgi. Przecież powinno być mu obojętne, co o nim myśli jakiś chłopak z zapadłej wsi, wiedzący o świecie mniej od niego, dziwiący się oczywistym sprawom. A jednak zależało mu na zdaniu Evaha. Po raz kolejny doszedł do wniosku, że ten wyrostek ma w sobie coś dziwnego, zarazem przyciągającego i zmuszającego do respektu. Chyba że mu się tylko tak wydawało, bo w końcu zawdzięczał synowi Krunnaha zdrowie, a może i życie. Bo przecież Trup ze zbirami nie wahali się ani chwili, żeby chłopaka zaatakować, a potem gonić. Tak, tylko że Trup nigdy nie zwykł się zastanawiać, zanim komuś uczynił krzywdę. I nie miewał wyrzutów sumienia. W ogóle nie miał sumienia. Grzywa

podejrzewał nawet, że mistrz cechu złodziei nie posiada nawet duszy. Chyba, żeby ją komuś ukradł.

– Zjadłbym coś – powiedział. – Niedługo południe, może odpoczniemy?

Evah skinął głową i zszedł na zarosnięte wysoką trawą pobocze. Wprawdzie nic nie jechało ani naprzeciwko nich, ani z tyłu, ale rozkładanie się na środku drogi wydawało mu się nie na miejscu, nawet jeśli ta droga była pokryta tylko niewiele mniej gęstą trawą niż okoliczne łąki.

Kiedy siedzieli i pogryzali zimną pieczoną rzepę z kawałkiem chleba, na drodze rozległ się tętent. Evah spojrział tylko obojętnie przez ramię, ale Grzywa, kiedy rzucił okiem na odległego o kilkadziesiąt kroków jeźdźca, przetoczył się przez ramię i zniknął w trawie. Rozległ się tylko szelest, kiedy dopadł niedalekich zarosli.

Syn myśliwego popatrzył najpierw za nim, a potem na jeźdźca. Niedbałym ruchem zarzucił opończę na pozostawione przez Kellana rzeczy, żeby je zakryć. Konny powstrzymał nieco wierzchowca, mijając chłopca, zlustrował go czujnie wzrokiem. Evah miał ochotę odpowiedzieć zuchwałym spojrzeniem, ale nie chciał prowokować uzbrojonego mężczyzny. Odwrócił więc wzrok, udając, że niewiele go obchodzi, kto i dokąd podąża mało uczęszczanym traktem.

Jeździec chyba nie zauważył przedtem Kellana, którego zasłaniał sobą Evah, bo popędził konia i niebawem zniknął za łukiem zakrętu.

– Możesz wyjść! – zawołał syn myśliwego. – Już odjechał.

Grzywa wychynął z krzaków, odrzucił opończę ze swoich ruchomości i wziął się z powrotem do jedzenia.

– Znasz go? – spytał Evah.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Dałbyś spokój! – zachnął się młodszy z chłopców. – Uciekałeś jak zajac.

Kellan skrzywił się, przełknął twardy kawałek rzepy.

– Po prostu się przestraszyłem. Z natury jestem płochliwy i ostrożny, nie zauważyłeś? Z nas dwóch to z ciebie rośnie bohater. Skąd miałbym znać jakiegoś jeźdźca? To była pewnie poczta książęca, dlatego tak gnał.

Evah czuł, że Kellan nie mówi mu całej prawdy, a właściwie po prostu zwyczajnie kłamie, ale nie dopytywał więcej. Rozstaną się w Migrze, więc po nic mu wiedzieć o Grzywie więcej, niż koniecznie potrzeba.

Pomyślał, że będzie mu jednak brakować tego złodziejaszka. Może i parał się pożałowania godną profesją, ale przecież nie miał paskudnej natury. Życie nauczyło go przestępcą. Życie i źli ludzie.



Wreszcie zobaczyli w oddali miejskie mury. W świetle zachodzącego słońca zdawały się płonąć. Dopiero kiedy chłopcy podeszli bliżej, okazało się, że

odbijają tak mocno promienie, gdyż zostały pomalowane na biał.

Migra w niczym nie przypominała ruchliwej Salmary. Niewielu kupców zapuszczało się w te strony, dlatego na podgrodziach było pusto i spokojnie, próżno by szukać gwarnych obozowisk czy choćby samotnych taborów.

– Czysto i przyjemnie – zamruczał Kellan. – Jak zawsze tutaj.

– Myślałem, że nigdy nie byłeś w Migrze – rzekł ze zdziwieniem Evah.

– Bo nie byłem. Ale mi o niej opowiadali tacy, którzy tutaj jeździli. Spokój, cisza, tylko dwa razy do roku okolica ożywia się podczas jarmarku i święta żniw. Nie to co w Salmarze. Tam ze dwa razy w roku jest spokojnie. W wigilię święta boga zmarłych i następnego dnia po uroczystych obchodach książęcych urodzin.

Zatrzymał się, zapatrzony w odległe o staję miasto. Evah zobaczył na twarzy towarzysza troskę i wahanie.

– Idziemy? – zapytał po chwili. – Jak zajdzie słońce, zamkną bramy i przyjdzie ci nocować w szczerym polu.

– A ty wybierasz się za mury? – spytał Grzywa. – Myślałem, że chcesz ominąć Migrę.

– Ja tak – zgodził się Evah. – Ale ty podobno zamierzasz się tam zaczepić, dlatego miałem ciebie na myśli.

– Zamierzam? – Kellan skrzywił się lekko. – Może i tak było, ale teraz sam nie wiem. Co innego posłuchać, jak tutaj jest, a inna rzecz zobaczyć na własne oczy tę martwość. Książę Berwen słusznie jest zwany Porządnym, skoro nawet stolica jego dziedziny przypomina spokojną wieś w zapyziałej baronii. Tylko że mnie się taki porządek nie bardzo podoba.

Evah roześmiał się mimo woli. Grzywa przywykł do zgiełku i ruchu, ale jemu całkiem się podobał panujący wokoło spokój. Minęła ich chłopska furmanka, wracająca z miasta. Była prawie pusta, a gospodarz podchmielony. Zapewne udał mu się dzień, chłop wiózł do domu przyzwoity zarobek. Na widok chłopców ściągnął lejce i zawołał:

– Bramy zaraz zawrą, młodzi panowie! Jak nie wyciągniecie należycie kulasów, zatrzasną je wam przed nosem!

Evah gestem podziękował życzliwemu rolnikowi i znów spojrzał na towarzysza.

– Idziemy? Odprowadzę cię pod bramę, ale nie wejść. Szkoda mi tracić na myto tego, co jeszcze mam. Tu nikt za mnie należności nie zapłaci ani nie zlituje się nad sierotą.

– Nie bardzo wyglądasz na sierotę – zauważył Grzywa. – Miecz, łuk i strzały, podróżny worek. Na włóczęgę wyglądasz albo na jakiegoś młodego najemnika też, lecz na pewno nie na sierotę.

– Tym bardziej – odparł Evah. – Nie mam czego szukać w mieście, więc po co wchodzić?

– Nie jesteś ciekaw, jak jest za tymi pięknymi białymi murami? – Kellan zmrużył oczy.

– Uwierzysz, jeśli powiem, że nie? – Syn myśliwego wzruszył ramionami.

– Tobie akurat uwierzę. – Grzywa pokiwał głową. – Salmara cię zmęczyła, co?

– Zmęczyła i rozczarowała – zgodził się Evah. – Z początku uważałem, że jest fascynująca, opuszczałem ją nawet z pewnym żalem, ale stanowczo wolę swobodę poza ciasnotą zabudowań i leśne powietrze.

Kellan westchnął ciężko.

– Mnie tam się podoba ścisk, chaos i zaduch ciasnych ulic. Łatwo w cizbie urznąć nieostrożnemu sakiewkę, wyjąć cenne zawiniątko z za pazuchy, ostatecznie skubnąć jakąś ozdobę.

– Naprawdę myślisz tylko o jednym? – Evah skrzywił się z niechęcią.

– Taki nawyk – mruknął Kellan. – Obawiam się, że do samej śmierci będę oceniał ludzi wedle tego, co można im skraść.

Evah nie odpowiedział. Wyglądało na to, że dla Grzywy kradzież była tym samym, co dla obżartucha jedzenie i dla pijaka wino. Nie potrafił żyć bez okradania innych. A bywały przecież chwile, kiedy chłopcu zdawało się, że jego kompan zaczyna nieco zmieniać podejście do życia. Najwyraźniej jednak bardzo się mylił.

– Idziesz? Bo naprawdę zamkną bramy.

Grzywa wahał się najwyraźniej. Patrzył na miasto przez dłuższą chwilę, spojrzął na Evaha, a potem machnął ręką.

– Pójdę najpierw z tobą do tego kapłana. Migra mi przecież nie ucieknie, a jestem ciekaw, co on powie o Żelaznym Kruku.

Evah zerknął czujnie na starszego chłopca. Nie bardzo chciało mu się wierzyć, że Kellan nagle tak bardzo zaczął interesować się jego sprawami. Wyglądało raczej, że z jakiegoś powodu obawia się wejść do Migry. Przypomniał sobie incydent na drodze, spłoszone spojrzenie, jakie rzucił towarzysz podróży nad jego ramieniem, kiedy usłyszał tętent kopyt i zobaczył człowieka na koniu.

– Znasz tamtego jeźdźca, prawda? – zapytał Evah.

– Jakiego jeźdźca? – Grzywa udał, że nie wie, o czym mowa.

– Tego, przed którym uciekłeś w krzaki. Był może jakiś inny? – zirytował się Evah.

– Naprawdę jeszcze o tym pamiętasz? – Kellan potrząsnął głową i wzruszył ramionami. – Gdybym miał rozpamiętywać za każdym razem, kogo i dlaczego się zląkłem, nie robiłbym w życiu chyba nic innego.

Syn myśliwego zostawił dla siebie cierpkie słowa, jakie cisnęły mu się na usta. Do tej pory nie nabrał zaufania do Grzywy, a teraz, kiedy tamten coś kręcił,

poczuł wręcz niechęć. Ale zaraz pomyślał, że to nie jego sprawa. Tak czy inaczej, niedługo się rozstaną, niech więc sobie złodziejasek mówi, co chce. Byle nie wciągał Evaha w swoje sprawy i nie utrudniał mu zadania.

– Jak sobie życzysz – rzekł. – Ja w każdym razie idę do kapłana. Mieszka trzy albo cztery staje za miastem.

– To jeszcze zdążymy, zanim zapadnie pełna noc – ucieszył się Grzywa.

– O nie! – zaprotestował Evah. – Nie wypada nachodzić świątobliwego męża o późnej porze. Przenocujemy gdzieś i dotrzemy do jego domu rano.

Grzywa miał nietęgą minę. Liczył na to, że już tę noc spędzą pod dachem, i to nie w stodole na sianie, ale przy ogniu i po ciepłym posiłku.

– Tak mi poradził kapłan w Salmarze – wyjaśnił Evah, widząc wykrzywione usta towarzysza. – Wolę, żeby sługa Rengara był w dobrym nastroju, jeśli mam się czegoś od niego dowiedzieć.

Kellan rozejrzał się po okolicy skąpanej w krwawej, ale już ciemniejącej łunie.

– Szczere pole – zauważył. – Chcesz się rozłożyć gdzieś tutaj? Będę się czuł jak pchła na łysym psie.

Evah potrząsnął głową.

– Obejdziemy miasto. Kapłan Hemgara wspominał, że świątobliwy Szatri mieszka w lesie za rzeką.

– W lesie? – zdziwił się Kellan. – Świątynia Tazara leży poza miastem? Przecież to patron kupców i złodziei, nie ma czego szukać na pustkowiach! Jaki właściciel karawany będzie jeździł po kniejach, żeby złożyć ofiarę? Żeby to był jeszcze sługa Katraka, boga czuwającego nad zbójami, tobym rozumiał.

– A kto powiedział, że Szatri pełni posługę w chrampie Tazara? – uśmiechnął się Evah. – Podobno odebrano mu prawo do sprawowania obrzędów za jakies przewinienia. W tym lesie odbywa pokutę, naznaczoną przez najwyższą radę kapłańską. Stał się pustelnikiem.

Grzywa zamilkł i spojrzął na Evaha spod przymrużonych powiek.

– Chcesz mi powiedzieć, że idziemy do jakiegoś wyrzutka? A co taki niby może powiedzieć ciekawego? Od wyklętych kapłanów lepiej trzymać się z daleka.

– To się trzymaj – prychnął Evah. Był zmęczony i głodny, więc Kellan coraz mocniej go irytował. – Ja do niego idę, skoro taką otrzymałem radę od mądrego człowieka, ale ciebie przecież nie zmuszam.

Ruszył zdecydowanym krokiem, skręcił z traktu w węższą drogę, obiegając miasto od północy. Grzywa stał jeszcze chwilę, patrząc na Migrę. Zastanawiał się, czy jednak nie zaryzykować i przekroczyć bramę. Miał dość srebra w trzosiku ukrytym nad lewym biodrem nie tylko do tego, żeby zapłacić strażnikom, lecz także wynająć pokój na parę nocy. Nie przyznawał się Evahowi

do małego majątku, bo obawiał się, że towarzysze zechcą, aby odwdzięczali się przyjmującym ich na noc gospodarzom, zamiast odrabiać gościnę i tracić czas. Zastanowił się. A może by i nie chciał? W końcu powtarzał parę razy, że nie pragnie cudzego. Tak, na pewno by nie chciał korzystać z pieniędzy Kellana, ale ten i tak wolał trzymać swoje małe bogactwo w sekrecie. Życie nauczyło go nie wierzyć nikomu, nawet tym, którzy budzili zaufanie. Tak jest bezpieczniej.

Evah odchodził, nie oglądając się za siebie. Niech złodziejaszek robi, co chce, nie zamierzał go przekonywać, żeby z nim poszedł, chociaż wolałby nie spędzać nocy samotnie w zupełnie obcym miejscu, w pobliżu miasta, pod którym mogły kręcić się różne podejrzane indywidua. Dlatego z ulgą usłyszał, jak Kellan najpierw burczy, a potem podbiega do niego.

Po chwili szli już ramię w ramię, podczas gdy mrok otulał świat miękkimi ramionami.

Rozdział 20

Świątobliwy Szatri



Siedziba pokutującego kapłana miała znajdować się pośród lasu, który rozciągał się zaraz za rzeką opływającą Migrę. Dziwnie to wyglądało – aż do brzegu od strony miasta nie było ani jednego drzewa, lecz za wodą wyrastała zwarta puszcza.

Musieli nocować więc na otwartej przestrzeni, bo jedyna łódź, którą można było przepłynąć nurt szeroki na dobre sto kroków, została już wyciągnięta na brzeg i solidnie umocowana do słupa łańcuchem zwieńczonym wielką kłódką.

Kellan oczywiście obejrzał uważnie zamknięcie i orzekł, że zdoła je otworzyć, byle tylko znaleźć gdzieś jakiś gwóźdź. Patrzył przy tym łakomie na hufnal sterczący ze słupa, zapomniany i zupełnie zardzewiały.

A Evah oczywiście na niego fuknęła. Po pierwsze, nie mieli prawa zabierać cudzej własności, a po drugie, Grzywa nie wziął pod uwagę, że przy łodzi nie ma wiosła. Przewoźnik z pewnością zabierał je do domu właśnie dlatego, żeby takich jak Grzywa nie kusiło.

Nie palili ognia, żeby nie przyciągać uwagi wartowników obchodzących miejskie mury. Ostatnie, czego Evah potrzebował, to nowe kłopoty. Poza tym cały czas miał w pamięci tajemniczego jeźdźca i strach Kellana. Coś tu było na rzeczy. Im prędzej się rozstaną, tym lepiej. Tylko że na razie Grzywa najwyraźniej nie zamierzał opuszczać towarzysza.

Zerwali się o szarym poranku, koce pokrywała rosa, znad rzeki unosiła się lekka mgła. Evah uśmiechnął się niewesoło na wspomnienie Kemarskiego Moczaru. Jakże inny był ten pachnący wodą i mułem opar od tamtego gęstego, groźnego tumanu, który skrywał mordercze istoty rodem z samego dna Otchłani.

– Gdyby było trochę czasu, złowiłbym jakąś rybkę na śniadanie – powiedział Evah.

– Masz ze sobą wędkę? – Grzywa przyjrzał się sceptycznie chłopcu. – Chyba że ustrzeliłbyś coś z łuku.

– A po co zaraz wędkę? – Evah wzruszył ramionami. – Wystarczy linka i haczyk. Kawalek kija zawsze się znajdzie, zresztą to nie jest koniecznie potrzebne, tylko wygodniejsze. Zabrałem, co trzeba, i mam w worku, ale do tej pory nie było okazji do łowienia.

– Zjedźmy lepiej, co mamy jeszcze suchego – rzekł Grzywa, oglądając się na miasto.

– I tak musimy czekać, aż przyjdzie przewoźnik – odparł Evah, udając, że nie dostrzega niepokoju Kellana. – To może spróbuję jednak coś złapać przez ten czas. Przynajmniej nie pójdziemy do kapłana z pustymi rękami. Wezmę trochę chleba, bo nie będę kopał i szukał dżdżownic.

– A co ci na chleb weźmie? – parsknął pogardliwie Kellan. – Jakaś ukleja?

– A choćby i ukleja. Bardzo smaczna ryba. Ale możesz się zdziwić, co chleb umie przyciągnąć w rzece.

Grzywa machnął ręką i wziął się do przeżuwania twardej skóry. Tymczasem Evah wydobyl przyrządy do łowienia, umocował pierzasty spławik na lince zakończonyj haczykiem. Znalazł zaciszne zakole za niewielkim wzgórkim, niedaleko łodzi. Rzeka wyżłobiła tu małą zatoczkę. Chłopiec pokruszył trochę ośródk, rzucił do wody i czekał. Już po chwili zakotłowało się, okruszki zaczęły znikać.

Evah uśmiechnął się. Pewnie zazwyczaj nikt nie łowił w tym miejscu, jako że przewoźnik pływał w tę i z powrotem, ale o spokojnym poranku ryby żerowały w najlepsze. Zarzucił linkę z ręki, ściągnął ją lekko i czekał.

Właściciel łodzi zjawił się niedługo po tym, jak odgłos rogu obwieścił otwarcie bram Migry. Podobny głos słyszeli wieczorem, kiedy mijali miasto. W Salmarze zamykano bramy wraz z uderzeniem dzwonu w świątyni boga czasu Amsira. Róg był zaś atrybutem bogini pór roku, Samry. Oznajmiano nim również czas równonocy wiosennej i zimowej.

Na widok łowiącego w zakolu chłopca starszy mężczyzna o pobrużdżonej, opalanej na ciemny brąz twarzy zatrzymał się. Spojrzał na nieduży worek, wypełniony zdobyczą.

– Co ci się udało chwycić, chłopcze? – zapytał.

Evah drgnął, bo pogrążony we własnych myślach, nie usłyszał kroków, tłumionych przez trawę. A ponieważ przewoźnik nadszedł z góry rzeki, Grzywa nie mógł go widzieć, jako że sam się udał w drugą stronę, sprawdzić, czy nie znajdzie brodu. Nie miał ochoty płacić za przewóz.

– Życzę wam dobrego poranka, czcigodny – powiedział grzecznie chłopiec.

– Jaki tam ze mnie czcigodny! – zaśmiał się zgrzytliwie mężczyzna. – Nazywają mnie Ramh. To w mowie ludu z pewnej wyspy na Morzu Zachodnim

oznacza wiosło. Właściwie sam sobie to imię nadałem, kiedy przybyłem tutaj właśnie z tamtych stron, bo mojego nikt nie potrafił wymówić. Powiedz lepiej, co złowiłeś.

– Dwie płotki, leszcza, trzy okonie i sporego klenia. Ryby biorą tu jak szalone.

– Biorą, biorą, bo je codziennie podkarmiam chlebem – zaśmiał się przewoźnik. – Przywykły i się w nim rozsmakowały.

– Wybaczcie, Ramhu. – Evah zląkł się, że rozgniewał mężczyznę. Nikt nie lubi, jak mu się wchodzi w drogę i zajmuje łowisko.

– Niech ci idzie na zdrowie... To znaczy wam – poprawił się, bo w tej chwili nadszedł Kellan, zwabiony głosami. – Rzeka jest pełna ryb, a i mnie nie ubędzie, jak coś tutaj wyciągniesz. Tylko nie waż się komuś mówić o tym miejscu! – przestrzegł.

– Nie zamierzam – odparł poważnie Evah. – Dziękuję, że jesteście tak wyrozumiali.

– Nie ma brodu – powiedział Grzywa, kiedy przywitał się z przewoźnikiem. – Może z tamtej strony.

– Z tamtej strony jest, i owszem – rzekł Ramh. – Tylko trzeba by iść prawie do południa, a i to nie wiadomo, czy znów nie jest zawalony drzewem. Mamy czas spławiania drewna i na tamtej płyciźnie rachmistrz każe je spiętrzać, aby policzyć. Wówczas nie da się przejść nawet i ze trzy dni, bo wielkie belki mogą zmiażdżyć. A próbować wpław nie radzę. To bardzo zdradliwa rzeka, pełno w niej wirów, a pośrodku nurt jest bardzo mocny.

Grzywa spojrzał podejrzliwie. Wydawało mu się, że przewoźnik nie mówi prawdy, żeby nie stracić zarobku. Evah zmarszczył brwi i mrugnął ostrzegawczo, ale Ramh już zauważył wahanie Kellana.

– Możesz iść – rzekł. – Bez tych dwóch miedziaków, które mi zapłacicie, jakoś przeżyję. Ładunku żadnego nie macie, więc na was nie zarobię.

– Nie bądźcie gniewni – powiedział szybko Evah. – Ja nie mam zamiaru nigdzie chodzić. Kiedy nas przewieziecie?

– Jak uzbiera się więcej chętnych – odparł Ramh. – Łódź jest duża, szkoda ją ruszać i tracić siły dla dwóch podróżnych. A gniewać się nie gniewam. Różni ludzie się trafiają.

Evah wyjął z wody linkę, położył ją na ziemi, żeby przeschła, a potem sięgnął po sakiewkę. Wysupłał z trudem dwa miedziaki, podał przewoźnikowi.

– Widzę, że niebogaty jesteś – mruknął Ramh. – Dla takiego jak ty to pewnie spora strata.

– Jakoś dam sobie radę – odpowiedział Evah z uśmiechem. – Pieniądz to tylko pieniądz. Cieszę się, że wy coś zarobicie za uczciwą pracę.

Przewoźnik przymrużył oczy, na jego wąskich, suchych wargach również zagościł uśmiech.

– Zróbmy inaczej – zaproponował. – Dasz mi ze trzy rybki ze swojego połowu i będziemy rozliczeni.

– Jak to? – zdziwił się Evah. – Chcecie, żebym wam płacił rybą, którą nieświadomie bo nieświadomie, ale zrabowałem z waszego łowiska?

Ramh skinął twierdząco głową.

– Sam powiedziałaś, że pieniądz to tylko pieniądz. A ty masz rękę do ryb, widzę. Mnie nigdy nie udało się złowić aż tylu za jednym razem. Poza tym zaniosę je zaraz do domu, to żona nie będzie się głowić, co dzisiaj przyrządzić na obiad. Zgadzasz się?

Evah roześmiał się i zaczął dzielić połów.



Dom kapłana służącego bogu kupców i złodziei wyglądał jak nędzna chata. Został zbity z krzywych desek, a szpary były jak pozapychano mchem. Chłopcom wydawało się, że konstrukcja w każdej chwili może się zawalić.

Siedząc w zaroślach, obserwowali tę samotną chałupę, postawioną na rozległej polanie. Evah chciał najpierw zobaczyć, z kim będzie miał sprawę. Wiedział na pewno, że Szatri nie jest najmiłym z ludzi i nie bardzo lubi nieproszonych gości. Dlatego zdziwił się, kiedy zobaczył, jak z nędznego domostwa wychodzi drobny niepozorny staruszek, przygarbiony, z laską w dłoni, i drepcze do niedalekiej studzienki.

Zaczerpnął wody do niewielkiego cebra, nie spuszczać go wcale w głąb ziemi, i Evah domyślił się, że to nie studnia, tylko otoczone drewnianą cembrowiną źródło. Biegł od niej niewielki strumyk, połyskujący w słońcu i przecinający polanę, aby zniknąć wśród drzew. Ale to chłopiec zauważył dopiero po chwili.

– Nie wygląda groźnie, co? – szepnął Kellan.

– To kapłan – odparł również szepem Evah. – Nigdy nie wiadomo, co potrafi.

Tymczasem staruszek wrócił z wodą do domu, wszedł po chwiejnych stopniach, ale w samych drzwiach odwrócił się i spojrzał prosto w stronę kryjówki chłopców.

– Wyjdźcie! – zawołał. – Hałasujecie jak stado głodnych jeży!

Evah wyprostował się. Grzywa próbował go powstrzymać, ale syn myśliwego uznał, że bezcelowe jest ukrywanie się w chwili, kiedy już zostali odkryci – czy to za sprawą przenikliwego wzroku Szatriego, czy doskonałego słuchu, czy też innych, bardziej tajemniczych mocy.

– Wybacz, świętobliwy – powiedział Evah, podchodząc bliżej. – Nie mamy złych zamiarów, przyszedliśmy po radę... To znaczy, ja przyszedłem...

– Świętobliwy? – Szatri zachichotał. Odstawił na próg cebrzyk. – To by się rada kapłanów zdziwiła, że ktoś mnie tak nazywa.

– Jak więc mam mówić? – zapytał chłopiec.

– Mów sobie, jak chcesz. Dla mnie to nieważne. No dobrze, ty jesteś ten syn myśliwego, który miał do mnie zawitać. A ten drugi cudak? O nim nie słyszałem.

Evah przełknął ślinę, zdumiony i nieco przestraszony.

– Skąd wiesz, świętobliwy, że miałem tutaj przyjść? – zapytał.

– Powiadomił mnie stary przyjaciel, Verdig. Co tak patrzysz? Jego chyba znasz?

Evah domyślił się, że to imię kapłana boga Hemgara, ale wciąż nie potrafił zrozumieć, w jaki sposób wiadomość dotarła tutaj przed nimi.

– Och, mamy swoje sposoby. – Szatri znów zachichotał, widząc zdziwienie chłopca. – Kapłańska brać potrafi rzeczy, o których nie śniło się zwykłym ludziom. Ale niechże ten bojący dudek podejdzie tutaj. Zawsze jest taki ostrożny?

Evah obejrzał się na Grzywę. Chłopak trzymał się z tyłu, na samym skraju gęstwiny krzaków, gotów w każdej chwili czmychnąć.

– Podejdz do nas – powiedział staruszek. – Przecież cię nie zjem. Chyba – dodał, kiedy tylko Kellan się poruszył.

Złodziejaszek natychmiast stanął, a Szatri zaczął rechotać na cały głos.

Evah patrzył zdumiony na kapłana. Spodziewał się spotkać kogoś podobnego do Verdiga, jakiegoś dostojnego męża o szlachetnych rysach i siwej głowie, lecz o wiele bardziej surowego i groźnego. Tymczasem stał przed nim łysy jak kolano niewielki człowieczek z dobrotliwym obliczem przywodzącym na myśl maskarona, jakiego widział na frontonie jednego z budynków w Salmarze. Tylko jasne oczy błyszczały inteligencją w tej brzydkiej fizjonomii. Inteligencją i wesołością.

Zrobiło mu się wstyd za tchórzliwego towarzysza, ale zaraz pomyślał, że to nie on przecież powinien się wstydzić. W końcu nie odpowiadał za poczynania kompana.

Wreszcie Kellan podszedł z ociąganiem i stanął obok Evaha. Wspaniała grzywa nieco mu oklapła, bo nie miał czasu w drodze należycie o nią zadbać, pełno w niej było gałązek i liści. Evah odruchowo przyglądał własną czuprynę. Ale jego długie włosy, związane na karku rzemieniem, wydawały się w całkowitym porządku.

– Dobrze – rzekł kapłan, poważniejąc. – O tobie wiem, Evahu. Miecz i łuk, dzielna mina, wrodzona śmiałość. Opisano mi ciebie dokładnie. A kim jest twój

towarzysz? Zaraz, nie mów!

Szatri zbiegł po schodkach zadziwiająco zwawo jak na swój wiek i ślamazarne ruchy, jakie przedtem wykonywał. Stał przed Kellanem, obszedł go, prawie obwąchał, ujął prawą dłoń chłopca. Ten chciał ją cofnąć, wyrwać, ale chwyt staruszka okazał się nadspodziewanie mocny,

– Złodziejaszek – orzekł kapłan. – Można powiedzieć, że trafiłeś dzisiaj na sługę swojego boskiego patrona.

– Skąd wiesz, świątobliwy? – zapytał Evah.

– Doświadczenie – odpowiedział krótko Szatri. – Doświadczenie i umiejętność obserwacji, a także znajomość ludzi. Ty jesteś wojownikiem, mój chłopcze, a on jest złodziejem. Tylko sobie nie myśl, że mam któregoś z was za lepszego. Obaj jesteście jeszcze młodzi i głupi. A ja nawet wolę takich, którzy umieją się obrócić i radzą sobie w każdych okolicznościach, niż walecznych głupców, nadstawiających karku za innych, czy tamci chcą tego, czy nie.

Evahowi zrobiło się przykro, ale powinien się spodziewać mało uprzejmego powitania. Kapłan Hemgara ostrzegwał go, że trafi na prawdziwego złośliwca.

Za to Grzywa po raz pierwszy uśmiechnął się leciutko. Rzadko się zdarzało, żeby ktoś pochwalił go za to, za co stróże prawa zwykli raczej ścigać, a ludzie wyklinać od najgorszych.

– Z drugiej strony – mówił dalej Szatri – muszę cię pochwalić, Evahu, żeś do swojej szlachetnej postaci przybrał takiego ladaco. Chyba że jesteś tak głupi, żeby ci się zdawało, iż zdołasz sam naprawić duszę tego pacholka.

Evah wzruszył ramionami.

– Los nas połączył, ale nie na długo – wyjaśnił. – Kellan zostanie w Migrze, a ja ruszę dalej.

– W Migrze czy nie – dodał Grzywa – tego jeszcze nie wiem. Ale to prawda, że tylko do tego miejsca przyszedliśmy razem.

– I z wielką ulgą porzucisz tego dzielnego chłopca. – Kapłan pokiwał głową i wydał wargi, a jego chude policzki zapadły się mocno. – Niech ci będzie. Skoro już przyszedliście, zapraszam do środka. Wprawdzie nie mam wiele do jedzenia, ale jakoś sobie poradzimy.

– Zaraz, świątobliwy.

Evah dał znak, żeby kapłan zaczekał, a potem skoczył w zarośla. Wyszedł po chwili, niosąc mały sak z rybami.

– Dwa okonie i całkiem spory kleń – wyjaśnił. – Na suty posiłek dla wszystkich wystarczy, a potem coś upoluję.

Szatri pokręcił głową z mimowolnym podziwem.

– Zaradny z ciebie dzieciak – rzekł. – A klenia wieki całe nie jadłem. Czasem coś rolnicy przyniosą, ale jeśli rybę, to najwyżej jakieś płocie, i to z tych, na

których im właśnie zbywa. Nie zawsze są też pierwszej świeżości. Ale biedny pustelnik nie powinien żalić się na podły los.

Ostatnie zdanie wypowiedział prześmiewczym tonem. Gestem kazał młodym gościom wejść do środka.

Evah przekroczył próg i przystanął zdumiony. W środku chata wyglądała o wiele lepiej niż na zewnątrz. Wydawało się to wręcz niemożliwe. Zupełnie jakby krzywe ściany ukrywały w środku drugi dom, należący do bogatego kupca, a nie skromnego sługi bożego. Na ścianach wisiały pięknie tkane kilimy, pośrodku królował stół, nieduży wprawdzie, ale misternie rzeźbiony, a przy nim cztery krzesła o takich samych zdobieniach. Na niedużym palenisku w rogu płonął ogień, a dym w całości uchodził do komina, w ogóle nie było go czuć, co rzadko się zdarzało. Nawet w zamku barona di Rukkona dało się wyczuć ulotny swąd, chociaż w cieplej porze palono mało i tylko wieczorami.

Do tego przyjemnie pachniało ziołami. Evah już zdążył zapomnieć o wozie pełnym przypraw, więc z przyjemnością wciągnął powietrze.

– Będiesz tak stał, czy przepuścisz biednego starca? – zaskrzyphiał za jego plecami Szatri. – Wybacz, ale nie jesteś małym szczeniaczkiem, którego można wziąć za kark i przenieść.

Evah odsunął się, mrużąc przeprosiny, ale wciąż nie wchodził dalej. Nie chciał pobrudzić barwnego dywanika rozłożonego tuż za drzwiami. Za to gospodarz nie przejmował się zupełnie, przeszedł po nim, zostawiając ślady.

– Po to leży, żeby korzystać – oznajmił, widząc, że Grzywa także zatrzymał się, niepewny i zaskoczony. Mam wysłać po was herolda, żebyście wreszcie weszli i usiedli?

Odsunął od stołu dwa krzesła, wskazał chłopcom, żeby zajęli miejsca. Wziął od Evaha worek z rybami, wytrząsnął je na umocowany pod oknem blat.

– Świeżutkie – mruknął. – Z porannego połowu. Mnie nigdy ryby nie biorą. Ręki do tego nie mam. Ani cierpliwości.

– Też bym nie miał – zaśmiał się Evah – ale nigdy długo nie muszę czekać. Ojciec mówił, że odziedziczyłem talent po dziadku. Bo tatce też z rybami nie szło, chociaż był znakomitym myśliwym.

– Tak, to się zdarza – zgodził się pustelnik. – Powiadają, że niektórzy przyciągają ryby. Nie rzucasz jakichś zakłéc? – ożywił się nagle.

– Nie. – Evah potrząsnął przecząco głową. – Odmawiam tylko krótką modlitwę, jak mnie ojciec nauczył.

Kapłan wyglądał na rozczarowanego.

– Modlitwa to nie to samo. Ta sama tobie pomaga, a innym nie. Wolałbym uczciwe czary.

Evah patrzył na kapłana i nie bardzo wiedział, czy staruszek żartuje, czy mówi poważnie. Wyglądało na to, że tym razem nie kpi.

– Szukam takich rzeczy, jak prawdziwa magia – wyjaśnił Szatri. – Bogowie i Przedwieczni podarowali nam ten świat, ale nie wiem, czy pozostawili na nim dość własnej pradawnej mocy, żebyśmy mogli jej używać.

Evah zmarszczył brwi. Minęło kilka chwil, zanim znaczenie słów kapłana do niego dotarło.

– Wybacz, świątobliwy – rzekł – ale czy właśnie te twoje poszukiwania sprawiły, że zostałeś skazany na pokutę w tym miejscu?

Szatri drgnął wyraźnie, a potem przyjrzał się uważnie chłopcu. Teraz w jego wzroku próżno by było szukać wesołości albo kpiny.

– Verdig ci o tym powiedział? – zapytał ostrym tonem.

– Nie, świątobliwy – odpowiedział Evah. – Tak sobie po prostu pomyślałem. Kiedyś mój ojciec rzekł, iż bogowie bywają bardzo zazdrośni i strzegą swoich tajemnic, a sekrety Przedwiecznych wcale nie są przeznaczone dla ludzi.

Kapłan usiadł przy stole, oparł się łokciami o blat i milczał dość długo. Grzywa czuł się bardzo nieswojo w tym miejscu, w atmosferze narastającej tajemnicy. Ze zdumieniem obserwował młodszego chłopca, któremu zdawało się to nie przeszkadzać. Więcej, zdawał się nawet ożywiony i bardzo zaciekawiony.

– Jest coś w twoim podejrzeniu – odezwał się w końcu kapłan. – Ale nie do końca o to chodziło moim szanownym kolegom z najwyższej rady. Naraziłem się im nie tylko poszukiwaniem pozostałości po magii bogów, lecz także poszukiwaniami różnych rzeczy, które pozostawili Przodkowie.

– Przodkowie? – Teraz Evah patrzył uważnie na rozmówcę. – Chodzi ci o Przedwiecznych?

– Nie, chodzi mi o Przodków – odparł pokutujący kapłan. – O to, co zostawili po sobie ci, którzy zamieszkiwali ten świat przed nami.

Evah milczał. Po raz pierwszy usłyszał o jakichś przodkach. Nikt przy nim nigdy o nich nie wspominał. Zerknął na Grzywę, ale ten wydawał się równie zdziwiony.

Szatri dostrzegł zmieszanie młodych gości i zdawało się, że to sprawia mu przyjemność, bo na jego twarzy zagościł lekki, drwiący uśmiezek.

– Właśnie usłyszeliście coś, co najwyższa rada bardzo by chciała ukryć. O czym nie uczą wędrowni kapłani, czego nie usłyszy się w świątynnych szkołach. Przodkowie. Tak, byli przed nami inni na tych ziemiach i coś po nich pozostało. Według mnie znali magię i umieli rzeczy, o których nam się nie śniło.

– I za to zostałeś ukarany? – Teraz pytanie zadał Kellan. – Za rozgłaszanie tego?

– Za rozgłaszanie? Nie. Za to, że próbowałem dociec prawdy. Nie opowiadam o Przodkach każdemu napotkanemu człowiekowi, możesz mi wierzyć.

– Ale nam jednak napomknąłeś – zauważył Grzywa.

– Wam tak – potwierdził Szatri. – A raczej jemu. – Ruchem brody wskazał Evaha. – Chce odnaleźć coś, czego najodważniejsi nie mają śmiałości poszukiwać. Takim jak on należy się prawda o świecie, w którym żyje. Czy Verdig opowiedział ci o tym, że mieszkamy na wielkiej kuli? – zwrócił się do syna Krunnaha.

Evah pokiwał głową, a kapłan uśmiechnął się kącikami warg. Nie pozostało w nim nic z beztroskiego wesołka, jakim wydawał się na początku znajomości.

– I uwierzyłeś mu?

– Uwierzyłem? – Evah zastanowił się. – Chyba tak, ale nie do końca. Biorę to jednak pod rozwagę. Świętobliwy Verdig to wielki mędrzec.

– Bardzo roztropnie – pochwalił go Szatri. – Wątpić, to znaczy myśleć.

– Kuli?! – spytał z niedowierzaniem Kellan. Dopiero po chwili dotarła do niego niespodziewana informacja. – O czym wy mówicie?

Szatri westchnął ciężko i zaczął mu tłumaczyć. Grzywa słuchał z niedowierzaniem, a kiedy kapłan skończył, zamyślił się głęboko i na bardzo długo.

Rozdział 21

Próba prawdy



Kapłan przyrządził okonie i klenia na blasze, którą wysmarował grubo tłuszczem i wstawił nad palenisko. Przedtem ryby lekko zasolił, oprószył ziołami i wyniósł pod przykryciem na upał, żeby przez dłuższą chwilę należycie się zamarynowały. W efekcie chłopcy poczuli dojmujący głód, zanim jeszcze potrawa wylądowała na blasze, tak ładnie pachniała.

– Jesteś pewien, świątobliwy, że zostałeś sługą właściwego boga? – zapytał Grzywa, oblizując palce. Spomiędzy ości wydobył już całe mięso, jakie zdołał. Szatri tak przyrządził okonie, że zdawały się same pozbywać najpożywniejszych i najsmaczniejszych części. – Może lepiej było poświęcić się Tamonowi, patronowi sztuki kuchennej?

Gospodarz roześmiał się, ale odpowiedział dopiero po chwili, bo sam delektował się ostatnim kęsem klenia.

– Nie jesteś pierwszym, który mi to mówi. Ale tak sobie myślę, że gdybym musiał codziennie zgłębiać tajniki przyrządzania potraw, szybko by mnie to znudziło. Wolę Rengara, bo na jego dziedzinę składają się przygody i niebezpieczeństwa. To prawda, że kupcy i złodzieje mają trochę ze sobą wspólnego. Jedni i drudzy próbują zarobić, ile tylko się da, jak najmniejszym kosztem, jedni i drudzy uważają się za nieszczęśliwych, jeśli zostaną przyłapani na jakimś szalbierstwie, a przede wszystkim jedni i drudzy igrają ze śmiertelnym zagrożeniem. Kupca mogą obrabować i zabić na drodze rozbójnicy, może go też zgładzić i zniszczyć zazdrosny konkurent bądź nieuczciwy wspólnik, a złodziej musi się liczyć z tym, że prędzej czy później zaprowadzą go na szafot, jeśli zostanie ujęty na gorącym uczynku albo wydany przez innych.

Evah musiał przyznać, że Szatri gotował wcale nie gorzej od jego matki. Na wspomnienie o niej ścisnęło go w gardle, ale zaraz się opanował.

– Nieopodal mojej wsi, mniej więcej pośrodku drogi między Przyrzeczem a Łęgami, stała karczma – zaczął opowiadać. – Przychodzili tam gospodarze z obu osiedli. Karczmarzowa gotowała znakomicie, ale to jej mąż posiadał prawdziwą sztukę przyrządzania nie tylko mięsiwa i ryb, lecz także zwykłego bobu ze słoniną. Jednego razu ojciec zabrał mnie i mamę do tej karczmy, bo dostał za skóry dobrą cenę. Ale muszę rzec, że nawet tam nie jadłem nic lepszego niż u ciebie, świętobliwy.

Szatri skinął chłopcu głową w podziękowaniu za uznanie, a Evah mówił dalej:

– Ojciec sam też często tam nie zachodził, bo bardziej dbał o rodzinę niż o własne przyjemności, ale mówił, że kiedyś jeden z zachwyconych potrawami gości wygłosił do karczmarza takie słowa: „Przysięgam na bogów i Przedwiecznych, że gdybyś pan nie był mężczyzną i na dodatek już żonatym, tobym się panu niezwłocznie oświadczył”. I ja mógłbym powiedzieć coś podobnego, gdyby nie to, że mam sprawę z kapłanem, i to znacznie starszym ode mnie.

Szatri przez chwilę patrzył na Evaha, a potem zaczął się śmiać. Nie tak cienko i chichotliwie, jak podczas powitalnej rozmowy, lecz pełnym głosem.

– Chłopcze, nie wiem, czy nie wypowiedziałeś właśnie największej pochwały, jaką słyszałem w moim przydługim już nieco życiu – powiedział, kiedy się uspokoił. – Różni ludzie się zachwycali moją kuchnią, ale nikt do tej pory nie wspominał o małżeństwie.

Grzywa spojrział na Evaha z wyrzutem i pewną niechęcią. Bardzo chciał się przypodobać gospodarzowi, zjednać go sobie, a tymczasem syn Krunnaha bez trudu potrafił Kellana przelicytować. A w dodatku nie zrobił tego celowo, nie miał nic złego na myśli, po prostu taki już był – bezpośredni i szczery.

– Zbierzmy resztki – rzekł Szatri. – Wyniosę je do lasu wraz z łuskami i wnętrznościami, żeby pożywiły się nimi okoliczne duchy.

– Nie obrażą się, że to same ości i odpadki? – zapytał Kellan. – Nie należy drażnić zjaw.

– Nie obrażą się z dwóch powodów – odparł kapłan. – Pierwszy jest taki, że duchy nie mogą jeść jak ludzie, więc jeśli przyjdą, nasycą się samym zapachem. A drugi... Hm... Drugi to ten, że nigdy żadnego leśnego ducha nie widziałem, więc przypuszczam, że ich wcale nie ma. Odpadki padną łupem małych drapieżników, a ostki wezmą w obroty mrówki i zdejmą z nich wszystko, czego myśmy nie zdołali spożyć, wszelkie drobiny na ościach, ale też części dla człowieka niestrawne. Odkąd zamieszkałem w lesie, zacząłem uważnie obserwować mrowiska. Fascynujące i niezmiernie pouczające zajęcie. Gdyby ludzie potrafili się rządzić tak, jak te małe istoty, świat wyglądałby o wiele porządniej.

Evah również lubił patrzeć na życie i obyczaje tych owadów. Niedaleko za obejściem zbudowały duże mrowisko i chłopiec spędzał całe godziny, patrząc, co się wokół niego dzieje. Kiedyś nawet próbował zajrzeć do środka, żeby sprawdzić, jak zwierzątka zachowują się w miejscu dla niego niewidocznym, ale wówczas przekonał się, co oznacza powiedzenie „włożyć kij w mrowisko”. Z miejsca zaczęła się dzika krzątanina, a mrówki były najwyraźniej gotowe zaatakować i zgładzić tego, kto im zagrażał. Oczywiście chłopcu wydawało się to całkiem zabawne i grzebał dalej, ale przyłapała go na tym matka. Na szczęście, bo nie zdążył zniszczyć mrówczego domu. „A gdyby jakiś olbrzym zaczął walić maczugą w dach nad twoją głową? Jak byś się czuł?”. Te słowa utkwily mu w pamięci na zawsze. Wyobraził sobie, że jest małą mrówką, której zagraża ktoś niezmiernie ogromny. Ktoś, kogo nie można osiągnąć i ukarać. Od tamtej pory nigdy nie przeszkadzał małym pracowitym istotom. A niedawno mógł się przekonać na własnej skórze, jak to jest, kiedy ktoś zburzy człowiekowi cały jego świat.

– Pójdę z tobą, świątobliwy – powiedział Evah. – Oczywiście, jeśli pozwolisz.

Szatri spojrzał na chłopca z uśmiechem.

– Oczywiście, że pozwolę. A ty, Kellanie? – zwrócił się do Grzywy.

– A ja bym został, świątobliwy – sapnął starszy z chłopców. – Położę się na tym pięknym dywanie i zdrzemnę się chwilę.

Kapłan skinął głową.

– Zgoda. Ale jednak przestańcie mnie już nazywać świątobliwym, chociaż jestem kimś w rodzaju pustelnika – zażądał. – Możecie mi mówić choćby po imieniu. Zostałem skazany na pokutę i dopóki wysoka rada nie cofnie decyzji o wykluczeniu mnie z życia wspólnoty kapłańskiej, dopóty w obliczu prawa kanonicznego nie zasługuję na żadne tytuły. Zresztą nigdy ich nie lubiłem.

Zakrzętnął się, zebrał wszystkie resztki i wyszedł, a Evah w ślad za nim.

Wyklęty kapłan poprowadził chłopca między drzewa. Szli wzdłuż strużki wodnej wypływającej z ujętego w karby źródła. Evah rozglądał się ciekawie. Las był mieszany, najwięcej w nim widział sosen, do tego trochę świerków, ale było też całkiem sporo dębów i buków. Chłopiec schylił się, podniósł żołądz.

– Z tymi owocami drzew jest jak z ludźmi – rzekł Szatri, widząc, co robi chłopiec. – Jeśli taki zarodek trafi na dobry grunt i ma trochę szczęścia, aby zyskać choć odrobinę wolnej przestrzeni, wyrośnie wysoko. Jeżeli spocznie w miejscu cieniastym i wygodnym, ale otoczonym przez inne rośliny, najczęściej nie wybije się zbyt wysoko nad ich poziom. Ale gdy padnie na suchy piach lub w zupełną gęstwinę, uschnie, stanie się karmą dla zwierząt. I takich nasion jest najwięcej. Tak samo jak najwięcej otacza nas ludzi, którzy wiedą jałowe życie,

nie rozglądają się, nie patrzą szeroko. To oni są karmą dla wielkich tego świata, ich najmocniej dotyka przemoc.

Evah słuchał kapłana bardzo uważnie. Ze zdziwieniem stwierdził, że ten wesołkowaty, pozornie lekceważący wszystko i wszystkich człowiek jest mędrcom wcale nie mniejszym niż sługa Hemgara. Może nie miał w sobie tego dostojeństwa, ale umiał mówić jak tamten i wyjaśniać rzeczy zawiłe w prostych słowach.

Dotarli wreszcie do mrowiska. Chłopiec aż jęknął z podziwu. Jeszcze nigdy nie widział tak dużej konstrukcji wzniesionej przez owady. Oczywiście widział duże domy mrówek, ojciec pokazywał mu w głębi lasu taki, który sięgał powyżej kolan. Ale ten na pewno był ze dwa albo i trzy razy wyższy.

– Nie podchodźmy za blisko – ostrzegł Szatri. – Jest tu tyle owadów, że łatwo zdeptać ich dziesiątki albo i setki za jedną przechadzką. Zamierzam ogrodzić to miejsce, żeby nie miały do niego dostępu dziki, a przede wszystkim ludzie. Te pierwsze potrafią rozgrzebać mrowisko w poszukiwaniu smakowitych larw, a ci drudzy...

– Zniszczyć z głupiej ciekawości – wszedł mu w słowo Evah.

– Właśnie. – Kapłan spojrzał uważnie na chłopca. – Syn myśliwego, co? Widać, że znasz i kochasz las. Stąpasz tak, żeby nie nadepnąć niepotrzebnie jakiegoś żyjątko. Tego człowiek nie nauczy się w jeden dzień ani nawet w miesiąc. Szacunek dla lasu każdy ma we krwi, ale nie każdy o tym wie. Co więcej, mało kto chce go w sobie odkryć. Ale widzę, że chcesz o coś zapytać. Pytaj więc.

– A czy odpowiesz? – upewnił się chłopiec.

– Wszystko zależy od pytania – zaśmiał się Szatri. Ostrożnie strząsnął z buta zabłąkaną mrówkę. – Nie tylko od tego, o co zapytasz, ale jak to zrobisz. Ostrzegam tylko, że jeśli chcesz teraz rozmawiać o tym, czego szukasz, jest za wcześnie. Muszę cię jeszcze sprawdzić, zanim wyjawię rzeczy, które mogą cię przywieść do śmierci.

– Nie, święto... – Evah w porę przypomniał sobie o życzeniu kapłana. – Nie, Szatri. Kapłan boga poszukujących prawdy ostrzegł mnie, że nie będzie łatwo wydobyć od ciebie wiadomości.

– Bardzo dobrze – mruknął pustelnik. – Znacznie ułatwi nam to decydującą rozmowę.

– Jak to decydującą rozmowę? – zaniepokoił się chłopiec.

– Jeśli chcesz usłyszeć ode mnie ważne wiadomości, musisz najpierw przejść próbę prawdy.

Evah w milczeniu obserwował mrowisko. Owady uwijały się na jego powierzchni, znikwały we wnętrzu, wychodziły, podążały utartymi ścieżkami,

niewidocznymi dla człowieka. Szatri rzucił ości w pobliże kopca, a potem odwrócił się.

– Resztę położymy gdzie indziej. Nie chcę, żeby woń ryby ściągnęła tutaj dziki. Zaraz zniszczyłyby ten piękny pałac naszych maleńkich ulubieńców.

Poszli w drugą stronę, po przejściu kilkuset kroków wąską dróżką kapłan wyrzucił łby i wnętrzności ryb. A potem spojrział uważnie na chłopca.

– Nie jesteś ciekaw, na czym polega próba prawdy? – zapytał.

– Oczywiście, że jestem – odparł Evah. – Ale pomyślałem, że i tak się dowiem, kiedy przyjdzie czas. I doprawdy nie wiem, czy mam się do czego śpieszyć.

Szatri zachichotał tak samo jak wtedy, kiedy ich witał na progu domu.

– Niegłupi jesteś. Rzeczywiście, nie ma się do czego śpieszyć. Ale też i nie ma sensu zwlekać.



Evah zajrzał do pudełka i zadrżał. Do środka nasypało piasku, włożono nieco zeschniętej trawy. A w kącie spoczywało zwierzę przypominające trochę raka, lecz mniejsze i wyglądające o wiele groźniej. Evah domyślił się, co to jest, chociaż nigdy nie widział podobnego stworzenia.

– Skorpion – wyszeptał.

– Skorpion – potwierdził Szatri. – Jad z jednego uderzenia jego kolca mógłby uśmiercić tuzin silnych mężczyzn.

Evah przełknął ślinę.

– I co mam zrobić?

– To bardzo proste. Jak widzisz, w wieku skrzyni jest otwór przy brzegu przeciwnym do miejsca, w którym siedzi skorpion. Musisz włożyć tam rękę, oprzeć ją na piasku. I odpowiadać na moje pytania.

Chłopiec znów zadrżał.

– Przecież on mnie ukąsi... Ojciec mówił, że skorpiony są bardzo groźne i łatwo je rozdrażnić.

– Teraz śpi – wyjaśnił kapłan. – Ale jeśli udzielisz nieprawdziwej odpowiedzi, zbudzi się i zaatakuje.

– Będziesz mi zadawał zagadki?

Szatri potrząsnął głową, zamknął skrzynkę.

– Kiedyś miałem zwyczaj zmuszać ciekawskich do rozwiązywania łamigłówek. Ale zaniechałem tego. Prawda o człowieku jest o wiele ciekawsza niż sprawdzanie jego wiedzy. Przekonałem się, że ludzie zadziwiająco mało wiedzą, za to bywają zadziwiająco pewni siebie.

Przeniósł skrzynkę z kąta na stół, ustawił ją bardzo ostrożnie, żeby nie zbudzić jej mieszkańca, jak wyjaśnił.

– To nie jest zwykły skorpion – rzekł. – Otrzymałem go od pewnego mędrca z dalekiego południa. A nie jest zwykły z dwóch powodów. Po pierwsze, żyje już ponad czterdzieści lat, co jest najzupełniej niespotykane, a po drugie i ważniejsze, doskonale wyczuwa fałsz. Jeśli człowiek kłamie, jego ciało wydziela zapach niewyczuwalny dla innych ludzi, ale niesłychanie nieprzyjemny dla mojego małego przyjaciela.

Szatri zamilkł, a potem powiedział, patrząc Evahowi prosto w oczy:

– Jesteś gotów zaryzykować życie, żeby uzyskać wiadomości, jakich pragniesz?

– A mam wyjście? – odpowiedział Evah pytaniem.

– Masz. Odejść i zaniechać sprawy albo spróbować znaleźć odpowiedź gdzie indziej. To na pewno możliwe.

Evah zacisnął wargi. Nie dawał po sobie poznać strachu, chociaż czuł słabość w kolanach, a serce kołatało mu w piersi. Wskazówki udzielone przez kapłana Hemgara okazały się niewiele warte. Zapewne nie widział od lat swojego znajomka i nie wiedział, że ten zmienił nieco obyczaje. Zaraz... ale przecież się kontaktowali, skoro Szatri wiedział o jego przybyciu i celu odwiedzin. Tak, tylko że pustelnik wcale nie musiał zawiadamiać Verdiga o szczegółach ze swojego życia.

– Miejmy to już za sobą – rzekł chłopiec.

Grzywa przysłuchiwał się ich rozmowie w milczeniu, ale teraz nie wytrzymał.

– Oszalałeś? Chcesz ryzykować śmierć w męczarniach? Ja bym wolał iść, gdzie mnie oczy poniosą, i liczyć na szczęście!

– Nie mogę opierać się tylko na szczęściu. – Evah odetchnął głęboko.

I zanim ktokolwiek zdążył mrugnąć, szybkim ruchem włożył do otworu w skrzyni dłoń. Zacisnął ją w pięść i oparł na chłodnym piasku. Czuł się trochę, jakby obudził się z głębokiego snu w obcym świecie, a na dodatek patrzył na siebie z boku, pozostając jednocześnie we własnym ciele. Domyślał się, że te wrażenia są wynikiem potwornego strachu. A co, jeżeli skorpion zbudzi się i go ukąsi, zanim w ogóle padnie pierwsze pytanie?

Na razie jednak nic się nie działo.

– Widzę, że jesteś naprawdę zdecydowany – mruknął Szatri. – No, no... Zazwyczaj ludzie wkładają ręce ostrożnie i powoli. Dlaczego zrobiłeś to tak gwałtownie?

– Bałem się, że się rozmyślę, jeśli będę zwlekał – odpowiedział Evah. – A poza tym, co za różnica? Mówiłeś, że skorpion zaatakuje, jeśli skłamię. Zatem nie ma znaczenia, czy wykonam ruch szybki, czy powolny. A jeśli oszukiwałeś, prędzej czy później zwierzę mnie ukąszi.

– To prawda – odparł kapłan. – Ale przecież widziałeś, jak ostrożnie przenosiłem skrzynkę na stół. Nie pomyślałeś, że mój mały przyjaciel nie lubi gwałtownych zmian?

– Nie pomyślałem o tym – przyznał Evah. – Ale teraz zacząłem przypuszczać, że zrobiłeś to, żeby mnie jeszcze mocniej nastraszyć.

Grzywa był blady i szybko oddychał. Wyglądało na to, że boi się bardziej niż Evah. Nie miał ochoty patrzeć na śmierć chłopaka, którego zdążył polubić i któremu zawdzięczał ocalenie. Nawet nie raz...

– Jak przypuszczam, mój przyjaciel Verdig opowiedział ci, że zadam kilka zagadek, a ty musisz odpowiadać byle co, byle tylko śmiało i zdecydowanie, nie lękając się konsekwencji?

Evah zacisnął usta, ale skinął powoli głową.

– Odpowiedz! – zażądał Szatri surowym tonem.

– Tak. Powiedział mi, że w próbie nie chodzi o pytania ani odpowiedzi, lecz coś innego. Że mogę pleść, co mi ślina na język przyniesie. Że na pytanie, jakie imię nosi bóg ciemności, mogę podać nawet imię boga ognia.

– Oczywiście o skorpionie nie mówił.

– Nie. Rzekł, że chce mi pomóc, ale nie wolno mu odkrywać wszystkiego, bo to by było nazbyt nieuczciwe względem ciebie.

Pustelnik zamilkł, wpatrywał się długo w twarz chłopca.

– Prawda bywa bolesna – odezwał się w końcu. – Ale jeszcze bardziej boli kłamstwo, kiedy się je ujawni. Uważasz, że Verdig nie wiedział, jak naprawdę wygląda próba?

– Nie znam na to pytanie prawdziwej odpowiedzi – odparł Evah. – Jeśli powiem nieprawdę...

– Mów, co myślisz! To próba prawdy, nie zagadek – przerwał mu kapłan.

Evah oparł się mocniej na zaciśniętej pięści. Miał wrażenie, że słyszy, jak piasek szeleści, kiedy skrada się skorpion.

– Nie mam pojęcia. Może nie wie. Ale możliwe też, że jesteście w zмовie i oszukał mnie, żebym był jeszcze bardziej niepewny i przestraszony.

– Wszystko jest możliwe – przytaknął Szatri. – Ale jak myślisz? Co ci podpowiada rozum? Albo serce?

Evah zastanawiał się przez chwilę. Świadomość, że w skrzyni czai się zabójcza istota, nie pomagała w myśleniu.

– Myślę, że nie wie – rzekł w końcu.

– Wytłumacz.

– Jest sługą boga poszukujących prawdy. Nie oszukałby mnie, bo to by było sprzeczne z zasadami. To właśnie podpowiada mi rozum. A serce mówi, że tak szlachetny i dobry człowiek nie chciałby mi kłamać.

– A jednak wyjawiał ci coś, co miałoby pomóc ci w spotkaniu ze mną. Przecież to bardzo nie w porządku wobec mnie.

Evah znów się zastanowił. Bez wątpienia Szatri miał rację. Kapłan Hemgara próbował mu pomóc, ujawniając coś, co czyniło próbę w istocie rzeczy jałową. Oczywiście gdyby chodziło rzeczywiście o zagadki.

– Skoro rozmawiamy o prawdzie – odpowiedział powoli, z namysłem – to przecież właśnie ją wyjawiał, a właściwie jej część. Nie oszukał też ciebie, bo nie sędzę, aby składał przysięgę milczenia w tej kwestii.

Chłopiec aż drgnął, kiedy Szatri nagle klasnął w dłonie. Przestraszył się, że to może być jakiś znak dla skorpiona, ale kapłan wyglądał na zadowolonego, a nie rozgniewanego.

– Brawo, chłopcze! Bardzo słusznie rozumujesz. Verdig cię nie okłamał. Nie powiedział wprawdzie całej prawdy, ale to dlatego, że zwyczajnie jej nie zna. I mam nadzieję, że nie pozna. – Spowaźniał nagle. – Bo jeśli go kiedyś jeszcze spotkasz, nie piśniesz nic o tym, jak wygląda próba, tak?

Evah w pierwszej chwili chciał potwierdzić, ale nagle zdał sobie sprawę, że wówczas by skłamał.

– Oczywiście, że mu powiem. Może nie z własnej woli, ale jeśli zapyta – rzekł drżącym głosem. – Nie obiecywałem ci dochować sekretu, a nie widzę potrzeby kłamać.

Przymknął oczy, pewien, że rozgniewał gospodarza, a to się dobrze skończyć nie może. Grzywa również wstrzymał oddech i zacisnął powieki. W myślach już żegnał się z towarzyszem podróży.

Tym bardziej obaj byli zaskoczeni, kiedy usłyszeli śmiech pustelnika.

– Bardzo dobrze, chłopcze! Bardzo dobrze! Umiesz nie tylko mówić szczerze, lecz także właściwie rozumować.

Evah odetchnął z ulgą.

– Powiedz mi, co sądzisz o swoim kompanie? – Szatri nagle zmienił temat. – Bardzo jestem tego ciekaw. On pewnie też. Pamiętaj, że nie możesz teraz kłamać.

– Grzywa doskonale wie, co o nim myślę. – Evah chętnie wzruszyłby ramionami, ale nie bardzo mógł w niewygodnej pozycji. – Uważam, że ma złe nawyki i nazbyt często pozwala działać swoim lepkiem palcom. Nie ma się co krzywić, Kellanie, nieraz ci o tym mówiłem.

– Ale kiedy byliśmy sami – burknął złodziejasek. – Co innego gadać takie rzeczy przy obcym.

– Zauważyłeś może łaskawie, że trzymam rękę w skrzyni prawdy? – rzucił zgryźliwie Evah. – Ale i tak bym wyraził, co uważam. Bo sędzę, że paskudnie postępujesz, ale w głębi duszy jesteś całkiem dobrym człowiekiem. Dobrym i uczynnym.

– Ha, ha, ha, tego jeszcze ludzie nie słyszeli – rzekł Kellan bez śladu wesołości. – Niby jestem złodziejem, ale dobrym?

– Tak uważam.

– I wydaje ci się, że od takiego gadania stanę się lepszy?

– Nie wiem. Padło pytanie, udzieliłem odpowiedzi, więc...

– Wystarczy tych pogaduszek! – Szatri uciął dyskusję chłopców. – Wyciągaj rękę ze skrzyni.

– Co? – Evah jęknął. – A kiedy zacznie się właściwa próba?

Szatri zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

– Już się skończyła. Usłyszałem, co trzeba.

– Jak to? – Chłopiec nie mógł uwierzyć w słowa pustelnika.

– Zwyczajnie. Przeszedłeś ją pomyślnie. Tym bardziej że uważasz, iż to był tylko wstęp. Zapewniam cię, że zazwyczaj ludzie nie odpowiadają szczerze na żadne pytanie. A już na pewno zaczynają kręcić, kiedy myślą, że mogą się rozgniewać. Wyjmuj już rękę!

Evah posłusznie wyciągnął dłoń z otworu.

– I co, wszyscy łgarze umierają? – zapytał.

– Raczej nie – odparł kapłan z uśmiechem. – Bo niewielu w ogóle koniec końców odważa się włożyć rękę do skrzyni, a śmiałkowie, gdy tylko skłamią, wyciągają zaraz rękę, żeby skorpion nie zdążył ich dziabnąć. I odchodzą, wyklinając mnie aż do dziesiątego pokolenia.

– I nikogo ten zwierz nie zabił? – Kellan nie mógł w to uwierzyć.

– No dobrze – mruknął Szatri. – Prawda za prawdę. Ale o tym cicho sza. Nikomu ani słowa. No, może z wyjątkiem Verdiga, jeśli już będziesz się z nim widział. Zresztą, i tak by się domyślił, o co chodzi, gdybyś mu opisał skorpiona. Sam pochodzi z południowych krain, więc się wyznaje na tych maleństwach.

Otworzył pudełko i trącił palcem zwierzątko. Evah wstrzymał oddech, spodziewając się ataku. Ojciec opowiadał, że skorpion niewidocznym dla oka ruchem potrafi zaatakować trującym kolcem. Jednak nic się nie stało.

– No już! – Szatri znów trącił czarny pancerz. – Bo moi goście jeszcze pomyśla, że umarłeś!

Teraz skorpion poruszył się, jednak leniwie. Podniósł ogon, zakończony kolcem, lecz nie wyglądał na gotowego do walki.

– To skorpion cesarski – zaczął wyjaśniać Szatri. – Wygląda imponująco i nosi majestatyczną nazwę, bo taki piękniś, jak ten tutaj, potrafi wyrosnąć na wielkiego jak dłoń. Ale naturę ma niezwykle łagodną, nie przypomina swoich mniejszych i wiecznie wściekłych pobratymców. W dodatku nawet jeśli kogoś ukłuje, kończy się to ledwie obrzękiem i gorączką. Nie zabija. Chyba że mysz.

– I nie ma czterdziestu lat? – bardziej stwierdził, niż zapytał Kellan.

– Pewnie, że nie. – Szatri sięgnął, wyjął skorpiona, posadził go sobie na rękę.
– Jest pewien kupiec, który od czasu do czasu dostarcza mi nowego towarzysza niedoli. Kiedy człowiek siedzi sam, przywiązuje się nawet do takiego brzydala.

Stworzenie, wyczuwając znajome ciepło i zapach, zupełnie się uspokoiło, zastygło w bezruchu, ogon powędrował w dół.

– Znowu śpi – rzekł kapłan. – To staruszek, prawie w ogóle nie chce mu się ruszać. Gdyby przebywał na wolności, z pewnością już by go coś zżarło.

Evah z Kellanem przyglądali się skorpionowi. Evah z ogromną ulgą, a Kellan z ciekawością. Obaj myśleli o tym samym, ale to Grzywa odważył się zadać pytanie.

– Po co w ogóle ta cała próba? Przecież jeśli ktoś by kłamał, nie obawiając się ukłucia, nic by się nie stało.

– Słusznie – odpowiedział Szatri. Ostrożnie odłożył zwierzątko do skrzyni, usiadł przy stole i gestem wskazał chłopcom, aby również zajęli miejsca. – Nic by się łgarzowi nie stało. Ale ja bym i tak wiedział, że kłamię, bo wówczas ludzie zachowują się nieco inaczej niż zazwyczaj. Napinają się, odruchowo drapią w czubek nosa, uciekają ze wzrokiem, a przede wszystkim, jeśli zadać dość wiele odpowiednich pytań, zaczynają się płatać i przeczyć samym sobie.

– Tutaj chodzi o coś więcej – zauważył Evah. – Nie tylko o prawdomówność. Bo przecież udzielasz rad i wskazówek w zamian za zgodę na tę próbę.

– Tylko niektórym. Reszcie udzielam bez niej. – Pustelnik wzruszył ramionami. – Ale tylko wówczas, kiedy dotyczą spraw powszednich i mało ważnych. A ty, chłopcze, chcesz zyskać wiedzę groźną, wręcz niebezpieczną, i to nie tylko dla ciebie, lecz dla każdego, kto zechce ci przyjść z pomocą.

– Dla ciebie też? – zdziwił się Evah.

– Dla każdego – potwierdził z naciskiem Szatri. – Domyślasz się już, czemu w istocie rzeczy miała służyć ta próba?

Evah pokiwał głową.

– Chciałeś sprawdzić, czy jestem godny powierzenia mi sekretów. Czy mam w sobie dość... odwagi, czy też zdecydowania... nie wiem, jak to określić.

– Determinacji – podpowiedział mu kapłan. – To oznacza, że jesteś dość odważny i zdecydowany, aby kroczyć obraną drogą aż do celu. Ale też musiałem się przekonać, czy jesteś również dostatecznie mocny duchem. Żeby ryzykować życie, wystawić się na niebezpieczeństwo, włożyć rękę w paszczę lwa, że tak to górnolotnie nazwę, trzeba być albo głupcem, albo siłaczem.

– A ja jestem którym z nich?

– Głupcem – zaśmiał się pustelnik, ale zamachał rękami, widząc zawód na twarzy chłopca. – Wybacz ten niewczesny żart. Oczywiście, że jesteś silny, mieszka w tobie twarda dusza. To znaczy twarda, ale dobra, a nie zatwardziała

złem, żeby wszystko było jasne. Ale też i szaleństwa nie można ci odmówić. Bez niego zresztą nie wypuściłbyś się w drogę. Pamiętaj jednak, że ma ono dwa oblicza. Jedno pozwala trzymać się swego, ale drugie potrafi przywieść do zguby.

Wstał, oparł dłonie o stół i powiedział: – Ale dość o tym na dziś!

– Nic mi nie powiesz? – zapytał z wyrzutem Evah.

– Jutro, chłopcze. Wszystko, co mogę powiedzieć o nurtującej cię sprawie, usłyszysz jutro. Teraz trzeba przygotować posiłek i udać się na spoczynek. Człowiek walczyć oczywiście może czasami, ale jeść musi zawsze.

– Wielka jest w tobie mądrość! – zawołał Grzywa, który już zaczynał odczuwać głód.

Evah pomyślał, że Kałdun również byłby zachwycony takimi maksymami, ale on sam wolałby już się czegoś dowiedzieć. Cóż, nie mógł przecież kapłana do niczego zmuszać. A poza tym rzeczywiście zaczęło się robić późno. Mięso ryb wprawdzie jest pożywne, jednak szybko się zapomina o tym, że się je jadło.

Rozdział 22

Modlitwa i rad



Evah obudził się bardzo wcześnie. W podróży tak przywykł do wczesnego wstawania, że ledwie zaczęło szarzeć, już był gotów zerwać się z miękkiego dywanu, na którym spędził noc. Obok pochrapywał cicho Grzywa, okryty kocem aż po czubek głowy.

Evah wstał bardzo ostrożnie. Nie chciał obudzić Kellana ani pustelnika. Pamiętał, co mawiał dziadek Verilli – jeśli ktoś wstawał przez całe życie do pracy w polu, na stare lata chętnie się wyleguje do południa. A kapłan był przecież stary.

Verilla... Evah poczuł gorycz i żal. Nigdy już nie zobaczy ślicznej twarzyczki dziewczyny, nie weźmie jej za rękę, nie zaprowadzi nad rzekę. Żelazny Kruk zabrał mu także ją. Co ciekawe, zrobiło mu się żal także podstępного Noroga. Kto wie, może z czasem chłopak wyrósłby na całkiem porządnego człowieka? Tego już nikt nigdy się nie dowie.

Jednak kiedy się podniósł, stwierdził z zaskoczeniem, że legowisko Szatriego jest puste. Pustelnik najwyraźniej posiadał umiejętność niezwykle cichego poruszania się, jeśli nie zbudził Evaha. Przecież aby dotrzeć do drzwi, musiał przejść obok chłopca, a on nauczył się budzić od najłżejszego szmeru.

Wyglądało na to, że staruszek nie jest miłośnikiem długiego spania. Pewnie poszedł po wodę. Trzeba mu pomóc, po co ma sam nosić ciężar, nawet niezbyt wielki.

Drzwi leciutko skrzypnęły, Grzywa poruszył się, westchnął i przekręcił na drugi bok. Spokojne noce miewali wtedy, gdy zdołali się wprosić do jakiejś chłopskiej szopy albo stodoły z sianem. Inaczej musieli zachowywać wielką czujność. Niech Kellan odeśpi sobie zmęczenie, tym bardziej że nad rzeką chyba wcale nie zasnął. Evah zastanawiał się, co tak przestraszyło towarzysza podróży

w tym jeźdźcu, który ich przecież tylko minął i nie poświęcił Evahowi większej uwagi.

Chłopiec zeskoczył z wąskiego podestu prosto na ziemię. Schodki mogłyby zaskrzypieć, a nie chciał mącić ciszy poranka. Słysząc było świergot pierwszego zbudzonego ptaka, za chwilę miały dołączyć do niego inne, ale na razie trwała magiczna chwila, kiedy zdawało się, że wszystko zamarło i będzie tak trwać wiecznie.

Spodziewał się zobaczyć pustelnika przy źródelku, ale nie było go tam. Evah rozejrzał się. Gdzie wyklęty kapłan mógł się podziewać o tej porze? Czyżby poszedł do swoich ulubionych mrówek?

Już miał ruszyć w tamtą stronę, kiedy usłyszał ciche mruczenie, dochodzące gdzieś z drugiej strony domu. Ostrożnie okrążył chatę, wyjrzał zza rogu.

Szatri w długiej lnianej szacie klęczał twarzą w stronę jaśniejącego na wschodzie nieba. Ramiona wznosił i rozłożył szeroko, jakby chciał ogarnąć całą okolicę i może cały świat, a z jego ust wydobywały się słowa w nieznanym chłopcu języku. Lecz chociaż ich nie rozumiał, kiedy się wsłuchał, czuł, że są pełne radości i wdzięczności. Zupełnie jakby ktoś wlał prosto w serce kubek ciepłego kojącego nektaru. Wrażenie niesamowitej słodyczy mógł porównać jedynie z tym, kiedy spróbował pierwszy kęs rahat hulqum, tyle że to obecne doznanie zdawało się jeszcze bardziej intensywne.

Chłopiec zamarł, a potem powolutku wyszedł zza rogu, przystanął i zapatrzył się na kapłana. Wreszcie, wiedziony wewnętrzną potrzebą, również uklęknął i rozłożył ręce. Pragnął wypowiadać słowa, które płynęły z ust Szatriego, jednak nie potrafił. Zamiast tego zaczął cichutko i monotonicznie mruścić.

Pustelnik drgnął, odwrócił głowę, a kiedy zobaczył Evaha, uśmiechnął się i znów zapatrzył we wstającą nad koronami drzew świetlistą łunę. Chłopiec zupełnie stracił poczucie czasu. Nie wiedział, czy klęczy kilka chwil, czy kilka godzin. Pozwalał przepływać przez siebie modlitwie, włączał się w nią swoim cichym „mmm”.

Lecz nadszedł moment, w którym poczuł, jak niesamowita więź z nieznanym zanika. A po chwili ujrzał nad sobą kapłana.

– Wstań – powiedział Szatri. – Musimy porozmawiać. Dobrze, że wcześniej wstałeś, bo to, co powiem, nie jest przeznaczone dla uszu Kellana. Masz rację, że to w głębi duszy dobry chłopak, ale został zepsuty przez złych ludzi i niełatwo mu będzie pozbyć się paskudnych nawyków. O ile kiedykolwiek się ich pozbędzie, bo musiałyby tego bardzo chcieć, a na razie nie bardzo dostrzegam w nim chęć poprawy. Masz na niego dobry wpływ, ale to za mało.

– Do jakiego boga się modliłeś? – zapytał Evah. Nie mógł powstrzymać ciekawości. – Myślałem, że masz gdzieś w pobliżu posąg Rengara i do niego się zwracasz.

– Zostałem skazany na pokutę – odparł Szatri. – Wykluczono mnie z kręgu kapłańskiego i pozbawiono praw do odprawiania nabożeństw. Do końca kary nie wolno mi się modlić do bogów. Do żadnych bogów, ani Rengara, ani innych. Mam zakaz zwracać się nawet do Przedwiecznych.

Evah zmarszczył brwi.

– Ale przecież właśnie przed chwilą się modliłeś. Tylko nie wiem do kogo, bo chyba nie do boga słońca. Poranna modlitwa brzmi inaczej...

– Ani do boga słońca, ani do patrona dobrego dnia, ani do bogini jutrzeńki.

– A jednak się modliłeś! – Evah nic nie rozumiał. – Przecież ci nie wolno!

– Nie wolno – przyznał Szatri. – Nie wolno do bogów i Przedwiecznych. Za złamanie zakazu groziłaby mi nawet śmierć.

Chłopiec rozłożył ręce w bezradnym geście.

– W takim razie...

– Do Ojca Przedwiecznych – powiedział pustelnik, wchodząc Evahowi w słowo. – To była modlitwa do Ojca Przedwiecznych. O nim zasady pokuty nic nie mówią.

– Ale przecież do niego nie wolno się modlić! – zaprotestował chłopiec. – Odszedł już dawno, pozostawił świat samemu sobie i nie należy mu zakłócać spokoju. Tak mi zawsze mówiono.

Szatri uśmiechnął się. Evah musiał przyznać, że lubi, kiedy na wąskich wargach starca gości uśmiech. Wydawało się wówczas, że słońce jaśniej świeci.

– Między „nie wolno” a „nie należy” jest spora różnica – zaczął tłumaczyć. – Sam bóg, któremu służyłem całe życie, naucza właśnie tego, że prawa czasem da się naciągać. Nie należy osiągać zbyt wielkich zysków cudzym kosztem, ale można to robić bezkarnie, jeśli druga strona nie wyraża sprzeciwu. Nie wolno kraść, ale czasem okradany sam tego chce, licząc na większe zyski. Życie jest pełne takich „nie należy” i „nie wolno”, które da się ominąć. Czy ktoś kiedykolwiek powiedział ci, że pod żadnym pozorem nie wolno zanosić modłów do Ojca Przedwiecznych?

Evah zastanowił się przez chwilę.

– Wystarczyło, że słyszałem, iż nie należy. Myślałem, że to jedno i to samo.

– Sam widzisz. Najwyższa rada kapłańska ustaliła dawno temu, że nie należy zaprzętać uwagi Ojca Przedwiecznych małymi ludzkimi sprawami, skoro odszedł i pozostawił swoje dzieło bogom i ludziom. I oczywiście Przedwiecznym.

– No właśnie. Skoro odszedł, po co się do niego zwracać?

Uśmiech kapłana stał się odrobinę szerszy.

– Widzisz, moim zdaniem, i nie tylko zresztą moim, Ojciec Przedwiecznych nie tyle odszedł, co rozplynął się w stworzonym przez siebie świecie. Istnieje we

wszystkim, co nas otacza, w każdej trawce, w każdej gałązce, w każdej istocie. We mnie i w tobie również. Także w Kellanie.

– Jak to możliwe? – Evah zmarszczył brwi. – Jak to rozumieć?

– Nie trzeba rozumieć. – Szatri spowaźniał. – Czujęś, jak w czasie modlitwy twoja dusza łączy się ze wszystkim dookoła? Jak przepływa przez ciebie świat, a ty przepływasz przez niego?

– Tak czułem – potwierdził chłopiec. – Jednak...

– To jest właśnie dowód na to, że Ojciec Przedwiecznych naprawdę oszedł, pozostawiając samemu sobie to, co stworzył, a jednocześnie nie opuścił własnego dzieła. Jego nie można o nic prosić, bo sam siebie pozbawił mocy oddziaływania na sprawy świata, ale warto go chwalić i dziękować mu za to, co nam dał. Zaczynasz pojmować?

Evah podrapał się w głowę. Myślał intensywnie nad słowami Szatriego, ale wydawały mu się niezmiernie tajemnicze, wręcz dziwne i nawet niepokojące.

– Nieważne. Kiedyś może zrozumiesz. Na razie przyjmij, że tak właśnie jest. Chłopiec odetchnął głęboko.

– Powiesz mi, ile jeszcze zostało ci tej pokuty? – zapytał.

– Och, w każdej chwili mogę ją zakończyć – odpowiedział pustelnik, znów z uśmiechem.

– Jak to?

– Wystarczy, że ukorzę się przed najwyższą radą, przyznam się do błędów i do tego, iż mylę się, pozwalając sobie na wyrażanie pewnych poglądów, które nie podobają się zgromadzeniu.

– Chodzi o Ojca Przedwiecznych? I o Przodków?

– O nich również. Jednak jest tego znacznie więcej i dotyczy znacznie bardziej zawiłych kwestii niż te, które jesteś w stanie wymieniwać. Wybacz, ale to nie na twój rozum.

Evah pokiwał głową. Rzeczywiście, jeśli sprawa była jeszcze bardziej skomplikowana, z pewnością nic by nie zrozumiał.

– Kiedy zamierzasz to zrobić? – zapytał. – Wrócić z pokuty?

– A co, źle mi tutaj? – roześmiał się Szatri. – Na początku, owszem, odbierałem zesłanie jako karę, ale szybko doceniłem życie z dala od sporów. Myślę, że zostanę już tutaj na zawsze. Zresztą moi szanowni koledzy z najwyższej rady na pewno nie wyczekują z niecierpliwością mojego powrotu.

Milczał przez chwilę, a potem pociągnął chłopca za rękaw.

– Chodź do mrówek. Tam objaśnię ci sprawy, w których tu przybyłeś. Nie chcę, żeby Grzywa nas podsłuchał. Rozmawiamy dość głośno, mógł się zbudzić.

Kiedy znaleźli się z dala od domu, Szatri stanął nagle, choć nie dotarli jeszcze do mrowiska.

*Nie szukasz tego, co chcesz znaleźć,
Ostrożnie idź tam, gdzie to jest.
By spotkać swoje przeznaczenie
Do gardła bestii musisz wejść.*

*A gdy się znajdziesz, gdzie należy,
I wejdiesz już po wiedzy schodkach,
Pamiętaj o mądrości bogów,
Zważ, co zostało nam po Przodkach.*

Słowa popłynęły z ust kapłana jak przedtem modlitwa do Ojca Przedwiecznych, lecz nie były tak przyjemne. Budziły niepokój.

– Co to za wiersz? – spytał Evah. – Jakaś zgadywanka?

– Nie, chłopcze. To wskazówki. Chcesz przecież dokonać zemsty na Żelaznym Kruku, zgładzić go. Te marne rymy, które sam ułożyłem, powinny pomóc. Pamiętaj, że są w życiu takie okoliczności, kiedy wszystko dookoła jest czymś innym, niż się z pozoru zdaje.

– Ale przecież to, co usłyszałem, nie powiedziało mi, gdzie mam szukać potwora! Gdzie jest jego gniazdo!

– Tego dowiesz się później. Ale nie oczekuj, że wskażę prostą drogę. Proste drogi prowadzą nader często donikąd. Na razie naucz się tego wiersza.

– I on pomoże mi zwyciężyć?

– Tego nie powiedziałem. Powiedziałem, że powinien pomóc, choć wcale nie musi.

Evah zacisnął usta. Nie podobało mu się to, co właśnie usłyszał. Przybył do Szatriego, żeby kapłan wskazał mu drogę do siedziby bestii. Przeszedł próbę prawdy i wiele go to kosztowało. I chociaż na koniec wyszło, że nie ryzykował życiem, to przecież w jej trakcie był przekonany, iż w każdej chwili może umrzeć. A teraz miał się uczyć głupiej rymowanki? Po co?

– No już, mów za mną! – rozkazał Szatri. – Nie szukasz tego, co chcesz znaleźć, ostrożnie idź tam, gdzie to jest...

Evah zżymał się przez chwilę, ale wreszcie zaczął powtarzać.

Rozdział 23

Wiedza i zdrada



Kellan siedział przy stole zaspany i czochrał się po bujnej grzywie, a Szatri krzątał się przy blacie pod oknem.

– Powiesz wreszcie, dlaczego tak się zląkłeś tego jeźdźca? – zapytał Evah, choć jeszcze niedawno obiecywał sobie, że nie będzie się interesował sprawami złodziejzka.

– Ty jeszcze o tym? – obruszył się Grzywa. – Ja już zapomniałem...

– Doprawdy? – Evah zaśmiał się drwiąco. – Uwierzyłbym może, gdybyś nie oglądał się tak czujnie na miasto. I z jakiegoś powodu nie chciałeś wejść za mury.

Kapłan kroił marchew i pasternak, wydawał się pochłonięty pracą, ale nadstawiał ucha. Również był ciekaw odpowiedzi Kellana.

– Musisz? – prychnął Grzywa. – Wiesz, że jestem lękliwy, to co się dziwisz, że wtedy uciekłem?

– Nie przypominam sobie, żebyś ukrywał się, widząc na drodze furmankę. Parę razy mijali nas też konni, tyle że podążali od strony Migry. To właśnie była poczta cesarska, a nie tamten jeździec, co chciałeś mi wmówić. Poza tym jak można bać się zwykłego posłańca?

– Daj mi już spokój! – zażądał Kellan. – Nie będę o tym rozmawiał. Rozstaniemy się i...

– Na razie jakoś się nie rozstajecie – przerwał mu nieoczekiwanie ostro kapłan. Odwrócił się od blatu, spojrzał chłodnym wzrokiem na Grzywę. – Na razie to Evah dba o twoją skórę lepiej niż ty sam, o ile się nie mylę. Nie wiem, czy daleko byś zaszedł sam, gdyby nie jego łuk i umiejętności. Na bagnach zachował zimną krew i na dodatek zabił hienę, wspominaliście też wczoraj przy

wieczery coś o awanturze w Salmarze. Uciszyłeś go wprawdzie, żeby za dużo nie gadał, ale tam chyba też uratował ci życie.

– To jeszcze nie powód, żeby mnie wypytywał jak mistrz katowski skazańca – burknął starszy z chłopców.

– Skazańców nie rozpytuje mistrz małodobry – uściślił pustelnik. – Oni już mają to za sobą i wykonuje się wobec nich wyznaczoną karę. Pytania zadaje się podejrzanym i świadkom. Powinieneś to wiedzieć jako początkujący kajdaniarz – dodał złośliwie. – A że twoje zachowanie jest naprawdę podejrzanym, Evah ma prawo pytać.

Grzywie odeszła cała senność, kiedy się rozzłościł na dobre.

– Jesteś kapłanem boga kupców i złodziei! Powinieneś chyba trzymać moją stronę!

– I trzymam – zapewnił Szatri. – Staram się zadbać o twoje bezpieczeństwo, nic więcej.

– A co tłumaczenie się w sprawie jakiegoś jeźdźca ma niby wspólnego z bezpieczeństwem? – zjeżył się Kellan.

– Nie wiem. To znaczy, jeszcze nie wiem. Ale może się dowiem, kiedy wreszcie coś powiesz. I Evah też może coś zrozumie. Kogo się boisz, że kryłeś się po krzakach i nie poszedłeś do Migry, choć podobno taki miałeś zamiar?

– Nie poszedłem do miasta, bo wygląda mi zbyt porządnie! – odparł Grzywa. – To nie jest miejsce dla uczciwego złodzieja!

– Dobry złodziej poradzi sobie wszędzie – odparował z miejsca Szatri. – Szkoda, że Verdig nic o tobie nie wiedział, bo może przekazałby mi coś ciekawego i nie musielibyśmy na ciebie teraz naciskać.

– A bez pomocy przyjaciela niewiele jesteś w stanie wymyślić, co? – Grzywa tracił już panowanie nad sobą. – Nie wtrącajcie się w moje sprawy!

Szatri chciał coś równie ostro odpowiedzieć, ale w tej chwili odezwał się Evah.

– Trup! – zawołał odkrywco. – To musi być Trup!

– Chłopcze, nie przesadzaj – rzekł pustelnik, patrząc z zaskoczeniem na syna myśliwego. – Rozumiem, że drażni cię nasz przyjaciel, ale żeby od razu takie groźby...

– Nie, nie! – Evah zamachał gwałtownie rękami. – On się boi człowieka o takim przezwisku! Naraził mu się w Salmarze. Co? – zwrócił się do Grzywy. – Ten jeździec był od Trupa, tak? Jakoś się dowiedzieli, dokąd zmierzasz, i pchnęli posłańca z wiadomością do tutejszego mistrza cechu złodziejskiego?

Grzywa nie odpowiedział. Siedział ze wzrokiem wbitym w stół i zaciśniętymi na jego krawędzi palcami.

– A zatem tak sprawy stoją – mruknął pustelnik. – Cóż, jutro rozpytam w mieście, czy ktoś czegoś nie wie. I tak miałem iść do kupca Rammona, bo prosił

o radę. Chce założyć faktorię handlową na północnym wschodzie i chciałby wiedzieć, czy może mu się powieść.

– Umiesz wróżyć? – zdziwił się Evah. – Wolno ci?

– A czy mówiłem, że Rammon prosił o wróżbę? Chce porady. Znam się na handlu dość dobrze, żeby umieć przewidzieć to i owo.

– Przepraszam – bąknął Evah.

– Nieważne. – Szatri machnął ręką, a potem spojrzał na Grzywę. – Mów wreszcie, chłopcze, czy chodzi o tego jakiegoś Trupa? I, jak się domyślam, zemstę cechową?

Grzywa pokiwał tylko głową, za to Evah zapytał:

– Jaką zemstę cechową?

– Na to wygląda. Nie wiesz, co to jest? Wyrok śmierci dla obwinionego. Nasz kochany Kellan musiał bardzo się narazić, jeśli obawia się, że rozesłano wici po miastach, aby mu skrócić życie. Taka zemsta cechu złodziei to bardzo groźna sprawa. Co przeszkrobałeś, chłopcze?

Kellan milczał, a pustelnik mówił dalej:

– Za kilka rzeczy ścigają człowieka tak zażarcie. Za zabójstwo dla zysku innego członka cechu, za oszukanie brata w złodziejstwie i za zdradę.

– A jeśli zaszkodzi się interesom kogoś wysoko postawionego? – spytał Evah.

– Wtedy też – zgodził się pustelnik. – Ale to traktują na równi ze zdradą. Cokolwiek uczyniłeś, Kellanie, minie sporo czasu, zanim rzecz przyschnie. Na twoim miejscu nie pokazywałbym się w żadnym większym mieście cesarstwa, a i w małych miałbym oczy dookoła głowy. Co powiesz?

– Nie spodziewałem się, że Trup będzie tak zajadły – mruknął Grzywa. – Nie stracił aż tak wiele.

– Wystarczy, że stracił twarz, albo tak mu się wydaje – odparł pustelnik. – Sądzę, że nie sam wymyśliłeś, jak dopiec temu mistrzowi cechu.

– W ogóle nie zamierzałem mu dopiec – rzekł z goryczą Kellan. – Jakoś tak samo wyszło.

– Trafiłeś na większego od siebie spryciarza, głupiego współnika czy jeszcze głupszego pana? – spytał Szatri.

Evah spojrzał na niego z podziwem. Po raz kolejny pomyślał, że pustelnik jest mędrce, i to równym samemu Verdigowi. Ale to nic dziwnego. W końcu kapłan Hemgara nie przysłałby go do kogoś słabującego na umyśle.

– To ostatnie – przyznał Grzywa.

– Prawdę powiada przysłowie, że lepiej z mądrym zgubić, niż z głupim znaleźć – rzekł Evah.

– Szatri, on mnie od samego początku zadrecza tymi wiejskimi mądrościami! – poskarżył się Kellan. – Ma chyba takie na każdą okazję. Pewnie nawet o

gotowaniu by coś znalazł!

– A znalazłbym – natychmiast przytaknął Evah. – Na przykład o dwóch grzybach w polewce z buraków albo o tym, że gdzie zbyt dużo kucharek, tam...

– Błagam – jęknął Grzywa. – Nie katuj mnie.

Pustelnik zaczął się śmiać. Kręcił głową i patrzył to na jednego chłopca, to na drugiego.

– Może jesteście bardzo różni, ale pasujecie do siebie wyjątkowo.

– Mnie tam nie jest do śmiechu – mruknął Kellan. – Skoro już wiecie, jak ze mną jest, lepiej radźcie, co mam dalej robić.

– Poznałeś tego jeźdźca? – zapytał pustelnik.

– Tak mi się zdaje – odparł Grzywa. – Widziałem go kilka razy przy Trupie. Oczywiście, jeśli to był on.

– Należy przyjąć, że tak – rzekł Szatri. – W takim razie nie możesz się pokazywać w miastach cesarstwa, a na pewno nie w tych, w których mistrzowie cechu z Salmary, Berwen i innych miast mają duże wpływy. Na twoje szczęście droga wypada wam na zachód, a tam zaczną się hrabstwa i księstwa, w których panują inne obyczaje i żyją inni ludzie. Niekoniecznie cenią i lubią mieszkańców tej części cesarstwa.

Kellan spojrział na kapłana z niedowierzaniem.

– Chcesz mi powiedzieć, że mam iść dalej z Evahem?

– Znakomicie, mój drogi – prychnął pustelnik. – Cóż za trafne rozumowanie. Tak, nie masz innego wyjścia, jak trzymać się tego chłopca. Przynajmniej do chwili, aż przejdziecie granicę księstwa Anzi. Tam władza tutejszego cechu złodziei nie sięga.

Evah pokiwał głową, a Kellan zamruczał pod nosem:

– Sporo o tym wiesz, dziadku.

Jeśli liczył na niedoskonały słuch staruszka, srodze się zawiódł.

– A wiem, bezczelny szczeniaku. Wiem więcej, niż ci się zdaje. Pamiętaj, jakiemu bogu służyłem przez całe życie. Lepiej więc trzymaj jęzor za zębami i bądź miły, bo wcale nie wiadomo, czy Evah zechce cię ze sobą zabrać!

Mrugnął przy tym do młodszego z chłopców, a ten odpowiedział, również przymykając powiekę.

Kellan siedział zupełnie już pogębiony. Podniósł wzrok na Evaha.

– Zgodzisz się? – zapytał. – Inaczej będę musiał chyba siedzieć w lesie do końca życia. Mojego albo Trupa.

Evah udał, że się waha, a Grzywa westchnął zrezygnowany. Ale kiedy już miał się poddać i schować twarz w dłoniach, syn Krunnaha klepnął go w ramię.

– Pewnie, że się zgodzę! – zawołał. – Myślisz, że uśmiecha mi się łązić samemu? Poza tym sprawny złodziejasek zawsze się przyda. Wprawdzie stare

powiedzenie mówi, na złodzieju czapka gore, ale ty przecież nie nosisz czapki, tylko kostur.

Grzywa w pierwszej chwili chciał znów zacząć wyrzekania na ludowe powiedzenia Evah, ale zamiast tego zaśmiał się radośnie.

– W dobrej drużynie zawsze przyda się jakiś spryciarz i jakiś wojownik.

Szatri z pełnym pobłażania i zadowolenia uśmiechem przysłuchiwał się rozmowie chłopców.

– Tak czy inaczej, pójdę do miasta – rzekł. – I to nie jutro, ale jeszcze dzisiaj. Rammon na pewno nie będzie narzekał, a muszę zasięgnąć języka w paru innych sprawach, skoro wyruszacie w drogę.



Evah obudził się jeszcze wcześniej niż poprzedniego dnia. W oknie wychodzącym na wschód nawet nie szarzało. Coś go przywołało do przytomności, ale zaraz po przebudzeniu nie wiedział jeszcze co.

Grzywa tym razem leżał odkryty, bo noc była wyjątkowo ciepła, a pustelnik odpoczywał na swoim pościeli. To oznaczało, że do świtu zostało całkiem sporo czasu i można by spokojnie pospać.

A jednak syn myśliwego nie mógł zasnąć. W głowie kotłowały mu się wspomnienia z poprzedniego dnia. Poranek z modlitwą do Ojca Przedwiecznych, rozmowa z Kellanem, smakowita kolacja. Pustelnik przygotował warzywa, ale Evah miał wrażenie, że otrzymał prawdziwe mięso. Posiłek smakował niczym jagnięcina w ziołach. Mama przygotowywała taką na wielkie święta.

Tyle tylko, że niedługo po posiłku poczuł się znowu głodny, a sądząc z zachowania Grzywy, on również chętnie by coś jeszcze zjadł.

– Nic wam nie będzie – orzekł Szatri. – Kto idzie spać z pustym żołądkiem, ten ma spokojniejsze sny.

Położyli się więc wcześniej, żeby w kokonie sennych marzeń przetrwać do rana.

Jednak to nie burczenie w brzuchu zbudziło chłopca. W drodze nieraz z Kellanem zasypiali głodni i nie zakłócało im to wypoczynku. Wprawdzie pod dachem mieli poczucie, że trzeba by zjeść coś bardziej obfitego, aby czuć się naprawdę dobrze, lecz to nie było to.

– Jutro, moi drodzy – obiecał im przed snem kapłan. – Jutro zjemy coś pysznego.

Jednak zaraz po przebudzeniu Evah nigdy nie był głodny. W ogóle rzadko odczuwał głód o poranku, szczególnie jeśli cokolwiek zjadł na kolację. Musiał chwilę się poruszać, najlepiej zrobić coś konkretnego, żeby odezwało się ssanie w żołądku.

Wreszcie zrozumiał, co go zbudziło. Usłyszał za oknem szmery. A do tego jakby szepty, a nawet przyciszone głosy. Pierwszą myślą było, że oto wokół chaty pustelnika zgromadziły się leśne duchy, ale Evah zaraz się z niej otrząsnął. Jakie duchy?! Duchy nie szeleszczą, pod ich stopami nie trzeszczą gałązki. A przede wszystkim raczej nie mają zwyczaju gromadzić się wokół ludzkiego siedliska tuż nad ranem. Poza tym pustelnik śmiał się z tych przesądów.

Chłopca opanowało dojmujące przeczucie, że zaraz stanie się coś złego. Było tak mocne, że na chwilę stracił oddech i musiał usiąść, aby się opanować. Trącił Grzywę.

– Kellan, otwórz oczy! Coś się dzieje!

Starszy z chłopców poruszył się i mruknął coś, a potem znów zapadł w sen.

– No już! – Evah znowu szturchnęła kompana.

Ten wreszcie zbudził się, spojrzał na majaczącą w mroku twarz Evaha.

– Co się dzieje... – zaczął, ale uciszyło go syknięcie z kąta, w którym spał pustelnik.

– Ciszej! Ktoś podchodzi pod dom... Evahu, bierz łuk i miecz, Grzywa, trzymaj kostur w pogotowiu.

Staruszek podkradł się do okna, wysunął głowę tuż nad jego dolną krawędź. A potem cofnął się gwałtownie do środka, bo gruby bełt z kuszy odłupał kawał futryny i upadł ze stukiem na podłogę.

– Przyszli po ciebie – szepnęła Szatri do Kellana. – Evahu, wypuść jakąś strzałę, żeby się chociaż na chwilę zatrzymali. Musimy jakoś dotrzeć do świtu.

Chłopiec nie pytał, o co chodzi z tym dotraniem, skoro już zostali otoczeni przez zbójów z cechu złodziejskiego. Posłusznie napiął łuk, a potem założył strzałę. Stał pośrodku izby i wpatrzył się w mrok. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, ale potem zauważył ruch w ciemności, rozmywanej już nieco przez nadchodzący poranek. Naciągnął cięciwę, doprowadził opierzenie strzały do policzka, a potem jeszcze dalej, aż do ucha, wstrzymał oddech i wypuścił pocisk. Rozległ się świst, a po chwili zabrzmiał okrzyk bólu na zewnątrz.

– Trafiłeś – mruknął z podziwem pustelnik.

Evah, mimo powagi sytuacji, zaskoczony był czymś innym. Jeszcze na Kemarskim Mokradle, a potem podczas polowań w lasach z trudem doprowadzał strzały do brody, a teraz bez większego wysiłku zdołał naciągnąć łuk w całej pełni. Czy nabrał krzepy, czy sprawił to strach? Wiedziony ciekawością, naciągnął łuk bez strzały i zwolnił go ostrożnie. Było nieco trudniej niż przed chwilą, ale zdecydowanie łatwiej niż w ogóle do tej pory.

– Nie baw się, tylko szyj dalej! – napomniał go Szatri.

Evah założył drugą strzałę, znów zaczął wpatrywać się w mrok, tym razem w okno wychodzące na południe. Z tej strony było ciemniej, ale też zauważył, że

ktoś się poruszył. Strzelił bez wahania, łuczysko zatrzeszczało, gdy zmusił je do pracy.

Tym razem nie było okrzyku bólu, ale siarczyste przekleństwo.

– Mało w łeb mnie nie trafił! – zawołał chropawy głos. – Trza chałupę podpalić!

– A palcie sobie na zdrowie – mruknął pod nosem pustelnik. – Zbuduje się następną. Tylko się nie śpieszcie zanadto.

Evah spojrział na niego i zobaczył, że Szatri wykonuje uspokajający gest.

– Ile masz strzał?

– Jeszcze piętnaście – odparł chłopiec.

– Przyszli po mnie – wyjąkał Grzywa.

– Trzeba oszczędzać – orzekł pustelnik. – Celuj dobrze.

– Przyszli po mnie – odezwał się znów Kellan.

– Co zrobimy, jak podpalą dom? – spytał Evah.

– Byle nie za szybko, damy radę.

– Przyszli po mnie! – powtórzył Grzywa znacznie głośniej.

– Przecież sam już to przedtem powiedziałem! Tak, po ciebie! – zirytował się Szatri. – Jak przyjdzie do bitki, machaj tym swoim kosturem ile sił.

Evah wciąż stał pośrodku izby. Wiedział, że z zewnątrz żaden strzelec nie może go na razie dostrzec, ale martwił się, co będzie, kiedy się rozjaśni. Musiał znaleźć lepszą pozycję. Machinalnie pomacał się po lewym boku. Miecz był na swoim miejscu. Przypiął go mimowolnie, kiedy zbierał się z posłania.

– Wydadz nam chłopaka! – rozległ się głos na dworze.

– Którego? – zapytał natychmiast Szatri, a ciszej dodał: – Chcą rozmawiać, to dobrze.

– Najlepiej obu! – odpowiedział mężczyzna, zapewne herszt bandy. – Mistrz z Salmary ucieszy się i wynagrodzi cię, starcze!

– Mistrz z Salmary? – zapytał pustelnik. – Niejaki Trup?

– Nie twoja rzecz, dziadzie! – padła ostra odpowiedź. – Wydadz ich, a odejdziemy i zostawimy cię w spokoju!

– Jak to sobie wyobrażasz, głupcze? – zaśmiał się zgrzytliwie Szatri. – Że zdołam okiełznać dwóch wyrostków naraz? Jak niby? Stary jestem i słaby.

Przez chwilę na zewnątrz panowała cisza.

– Niech ten łucznik razem z tobą obezwładni Grzywę i rzućcie go nam przez okno. Uznajmy, że to nam wystarczy.

– A taka rzecz jest już bardziej możliwa do zrobienia! – zawołał staruszek.

Grzywa słysząc to, skoczył w kąt i wyciągnął przed siebie kostur. Evah i Szatri spojrzeli na niego jak na wariata. Na dworze szarzało, można było dostrzec zwierzęcy strach na twarzy Kellana.

– Uspokój się, głupcze! – wysyczał gospodarz. – Chcę tylko zyskać na czasie!

W tej chwili coś świsnęło i bełt utkwił w ścianie za plecami Evaha. Chłopiec przykucnął. Już było widać z polany zarys jego sylwetki.

– Na co właściwie czekamy? – zapytał pustelnika.

– Na pomoc – odparł sługa Rengara. – Mam nadzieję, że kapitan Moran przybędzie o umówionej porze.

– Pomoc? – zdumiał się Evah. – Wezwałeś wojsko? Spodziewałeś się tej napaści?

– Nie wojsko, a gwardię księcia. I nie spodziewałem się, że złodzieje zaatakują już dzisiaj. Nie zanosilo się na to.

Evah nie zdążył zapytać, po co mianowicie pustelnik wołał zbrojnych, bo po ścianach zadudniły bełty z kusz. Staruszek i chłopcy padli na podłogę.

– To macie na opamiętanie! Jak będzie? Wydacie zdradzieckiego Grzywę?

Szatri westchnął. Zrozumiał, że czas negocjacji dobiegł końca. Złodzieje chcieli dopiąć swego jak najprędzej.

– Przyjdź i go sobie weź! – zawołał, a potem zerwał się i wydobył ze skrzyni stojącej na jego posłaniu ciężki kord. Zawinał nim w powietrzu zaskakująco sprawnie i rzucił do chłopców: – Nadszedł czas walki. Nie zawiedźcie mnie i siebie samych.

– Wybaczcie mi, co uczyniłem wam złego – powiedział Evah. Ojciec powtarzał, że przed walką na śmierć i życie warto poprosić towarzyszy o przebaczenie win, nawet tych najmniejszych.

– Wybaczam i ciebie proszę o to samo – odpowiedział pustelnik.

– Co wy robicie? – jęknął Kellan. – Jakie wybaczenie?! Trzeba się jakoś ratować...

– Milcz! – warknął Szatri. – To obyczaj wojowników.

– Ja nie jestem... – zaczął Kellan, ale zamilkł, słysząc na zewnątrz tupot wielu nóg.

– Evah, łuk! – krzyknął pustelnik.

Chłopiec zerwał się z założoną zawczasu strzałą. Kiedy prostował kolana, doprowadzał już opierzenie do policzka. W szarości poranka zobaczył przez wschodnie okno trzech napastników. „Nie zastanawiaj się, działaj!” – usłyszał słowa ojca. – „Jeśli celów jest wiele, po prostu wybierz jeden”.

Posłał strzałę w tego z prawej. Członek cechu złodziejskiego zwinął się i pokoziołkował, a Evah już kucnął, zakładając następny pocisk. Nad jego głową świsnęła bełt. Chłopiec przetoczył się przez plecy, miecz uderzył go boleśnie w krzyże, ale nie zwracał na to uwagi. Stał i tym razem wypuścił strzałę przez okno wychodzące na zachód. Znowu trafił napastnika, tym razem w udo. Bandyta krzyknął, czy raczej kraknął jak gawron i upadł ciężko na bok.

Nie było już jednak czasu na dalsze strzelanie. Napastnicy dopadli domu, załomotali w drzwi, zaczęli wdzierać się przez okna. Evah odrzucił łuk, wy dobył miecz i skoczył do najbliższego złodzieja, który już przekładał nogę przez ciasny otwór. Pchnął mocno, a tamten z przekleństwem runął z powrotem na zewnątrz. Widział kątem oka, że Grzywa również się poderwał i wali na oślep kosturem, a Szatri z wprawą wywija kordem.

– Bogowie, pomóżcie! – wydyszał Kellan.

Nie zdołał zadać kolejnego ciosu. Wielka łapa przejęła kostur, wyrwała go z rąk chłopca, a potężna pięść posłała nieboraka na ścianę. Grzywa osunął się na deski połogi.

Evah pomyślał, że już po nich, mogą tylko jak najdrożej sprzedać życie.

– Ojczy, idę do ciebie! – krzyknął, a potem rzucił się w stronę drzwi, które właśnie wyleciały z zawiasów, i wpadł przez nie dwaj rośli złodzieje.

Pierwszego położył cięciem w kolano, dla pewności kopnął go jeszcze w głowę, ale drugi zdołał się zastawić ostrzem tasaka. A za nim już cisnęli się następni, dysząc żądzą mordy. Evah zerknął za siebie. Szatri opędzał się przed dwoma osiłkami, którzy byli zdziwieni sprawnością niepozornego staruszka nie mniej niż patrzący na scenę chłopiec.

Evah odbił szerokie cięcie, potem następne, ale zobaczył nad głową najeżoną płytkami metalu krótką maczugę. Nie mógł już nic zrobić...

Lecz wtedy potężny złodziej z buzdyganem nagle rozłożył ręce i padł jak długi. Wytrącił przy tym z równowagi kompanów, co Evah natychmiast wykorzystał, tnąc jednego pod brodę, a drugiego z góry w lewy bark.

– Odwrót! – wrzasnął ktoś. – Odwrót!

Złodziei w jednej chwili jakby wymiotło. W izbie zostali tylko Evah, Szatri i nieprzytomny Grzywa. Oczywiście, nie licząc trzech martwych napastników.

Szatri dyszał ciężko. Upuścił miecz, oparł ręce na kolanach i łapczywie łykał powietrze. Evah też oddychał szybko, ale wiedział, że gdyby przyszło co do czego, może walczyć dalej.

W drzwiach ukazała się jakaś postać i chłopiec od razu stanął w pozycji szermierczej.

– Opuść miecz – mruknął mężczyzna w kolczudze, wchodząc do środka. Spojrzał na kapłana. – Kto to był, pustelniku?

Szatri nie był w stanie odpowiedzieć, ale zbrojny nie potrzebował dalej pytać.

– No, no – rzekł, patrząc na jednego z leżących. – Szuja, Sakwa i Koci Pazur. Starzy znajomi. Nie wspominałeś, Szatri, że zadarłeś z cechem złodziei.

– A bo to człowiek wie, kto się na niego pogniewa? – Gospodarz wreszcie złapał oddech. – Ale nie przyszli po mnie, tylko po tego chłopca...

Wskazał ręką w kąt i zamilkł. Grzywy nie było w miejscu, gdzie legł po uderzeniu.

Starzec potrząsnął głową, przetarł oczy.

– Przysiągłbym, że jeszcze przed chwilą go widziałem – mruknął. – Zbóje na pewno go nie zabrali.

– Uciekł – wyjaśnił Evah. – Widziałem, jak skacze przez okno. Widocznie nie oberwał tak mocno, jak mi się zdawało.

– Spryciarz – zaśmiał się chrapliwie Szatri. – Nie chciał mieć do czynienia ze swoimi, ale ze stróżami prawa też mu nie po drodze.

Kapitan przysłuchiwał się rozmowie ze zmarszczonymi brwiami. Promienie rozświetlające czubki drzew wydobyły z półmroku jego przystojną twarz. Wychylił się za odrzwia.

– Złapaliście kogoś? – zapytał.

– Tylko jednego, panie – doleciała odpowiedź. Wszyscy pozostali uszli i zabrali rannych. Został tylko jeden ze strażą w nodze!

Dowódca gwardii spojrział na pustelnika i Evaha.

– Ale ten tutaj jest właśnie tym chłopcem, którego szukam? – spytał.

Szatri skinął tylko głową.

– Dobrze, mały. Zbieraj się. – Kapitan podszedł bliżej, podniósł z podłogi łuk. – Oddaj miecz, sztylet i co tam jeszcze masz ostrego. Pójdiesz z nami.

– Dokąd niby? – spytał hardo Evah. – Z jakiej racji?

– Z takiej, że księżę chce cię widzieć. Podobno zamierzasz zrobić coś, co wielu może się nie spodobać. Zresztą nie moja rzecz. Ja mam cię tylko odprowadzić do lochu w zamkowej wieży. A kiedy Jego Wysokość Leonor del Berwen zechce z tobą mówić, to już jego rzecz.

Evah poczuł, jak świat dookoła wiruje. Opanowały go zarazem wielki gniew i wcale nie mniejszy żal. Popatrzył na pustelnika.

– Zdradziłeś mnie – powiedział z wyrzutem i goryczą.

– Łatwo przychodzi ci oskarżanie innych – odparł Szatri, patrząc mu prosto w oczy. – Pamiętaj, że nie jestem ci nic winien. A panu del Berwen zawdzięczam spokojne życie pod jego bokiem.

– Zdradziłeś mnie – powtórzył Evah. – Nigdy ci tego nie zapomnę.

Kapitan zniecierpliwił się, klasnął w dłonie i do chaty weszło dwóch gwardzistów.

– Brać go! – Wskazał chłopca. – Ośmiu ludzi do eskorty, reszta zostaje ze mną. Rannego zbója opatrzyć i zostawić, ja go zabiorę. Mam jeszcze do porozmawiania z naszym drogim Szatrim. A wy dobrze pilnujcie szczeniaka, bo zdaje się, że sporo umie i nie brak mu śmiałości.

– Związać go? – zapytał jeden z gwardzistów.

– Jeśli się boisz, że go nie upilnujecie, wiąż – odparł drwiąco kapitan. – Mnie by było jednakowoż trochę wstyd aż tak się obawiać chłopca, nawet jeśli nie jest taki zupełnie zwykły.

Gwardzista trącił w plecy Evaha. Syn myśliwego, wychodząc, nie spojrzał nawet na pustelnika. Nic już nie czuł, nawet gniewu. Pomyślał tylko, że powinien nauczyć się sprytu od Grzywy. Ciekawe, czy kiedyś jeszcze spotka tego złodziejzka. Na razie się na to nie zanosilo, skoro został więźniem księcia Berwen.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO